



Poniewczasie

**Lisa
Kränzler**

przełożyła Dorota Stroińska 

Lisa Kränzler

Poniewczasie

Z języka niemieckiego
przełożyła Dorota Stroińska

Biuro Literackie • Kołobrzeg 2024

CZĘŚĆ

I

1.

Nieprawdopodobne, żebym po przeszło dwudziestu czterech latach mogła jeszcze wskrzesić odczucie, jak dotykam końcówek jej świeżo wykiełkowanych włosków, krótkich jak główki zapalek...

Na szczęście moją pamięć guzik obchodzą prawdopodobieństwa, pozwala mi więc moją małą, pulchną rączką raz po raz głaskać jej dużą, ostrzyżoną na języka dziecięcą główkę.

Z głębi bezlitosne głosy maluchów wykrzykują przezwisko, które dziś brzmi raczej niewinnie: „jeż”.

– Jeeeeż! – drą się małe gardła, przeciągając sylaby tak długo, że „jeż” przekształca się w „jeeeesszszsz” i zaczyna budzić wstręt.

Później twierdziła, że ja jedna wołałam ją po imieniu, po jej prawdziwym imieniu, które brzmiało może Jaśmina, może Celina, a może Justyna, i że ta odmowa naśladowania innych i używania jej zwierzęcego przezwiska dała początek naszej przyjaźni.

Ja natomiast uważam za dalece bardziej prawdopodobne, że to doznanie aksamitu, puszystości perskiego dywanu i zarazem tak przedziwnie niesforne odczucie łaskotania, jakimi obdarzały moją dłoń jej włosy, przyciągało mnie do niej niczym magnes, budziło we mnie nieodparte pragnienie, by jeszcze więcej doznawać wielokrotnego głaskania, wielokrotnego odczuwania, wielokrotnego rozkoszowania się tą nieznaną mi do tej pory fakturą powierzchni głowy i włosów.

A więc JA bym powiedziała, że kamieniem węgielnym naszej przyjaźni była nie tyle moja wstrzemięźliwość w dokuczaniu, ile tamten kamień krawężnika, który rozłupał jej czaszkę na krótko przedtem, zanim poszłyśmy do przedszkola.

Dobrze znam pagórek i miejsce, gdzie się to wydarzyło. W następnych latach często je zaznaczałyśmy czerwonymi iksami, pisząc kredą po ulicy. Przebieg wypadku, o którym wiem tylko z opowiadań, a także postać nieustraszonej kamikadze Jaśminy

czy Celiny czy Justyny na rozklekotanym rowerku, mało bezpiecznym mimo bocznych kółek, w każdej chwili mogę przywołać w pamięci bez najmniejszych trudności i to z niezawodną ostrością, niczym obraz z kamery filmowej. Wyobrażenie wypadku, którego istnienie zawdzięczam wspomnianej już właściwości mojej pamięci, niedbającej o jakiekolwiek prawdopodobieństwo, od – w co trudno uwierzyć – dwudziestu czterech lat broni swojego miejsca w moim zbiorze obrazów, gdy tymczasem wspomnienia innych doświadczeń współprzeżywanych *live* dawno już zatarły się w zgiełku intensywnych wrażeń. Przyczyna tej utraty obrazów pozostała dotychczas niewyjaśniona ani też nie udało mi się na razie udowodnić tezy, że wytworzone w trakcie procesów przemiany materii ciepło powoli rozkłada wszystko, co przechowuje pamięć, a mój gorący umysł stapia nawet najtrwalsze nośniki obrazów, rozgotowuje je, zamienia w parę i upływnia.

Gdy jak teraz doznaję nagłego objawienia, uświadomiwszy sobie, że liczby wrażeń, które stają się ofiarą codziennych wymazywań, nie można przedstawić w żadnej postaci, to czuję zawroty głowy, a krótkie, gwałtowne wstrząsy wewnętrznej równowagi utrudniają mi dalsze życie. Chwieję się, zataczam, w końcu wczepiam, jak zawsze, w jeden z niewielu niezniszczalnych filarów mojej pamięci, rzadkich dla mnie, niewzruszonych pewników w krajobrazie mojego mózgu, które zżarte mogą być jedynie przez demencję i alzheimera, a do których należy również obraz twojego upadku o niemal zgubnych skutkach.

Poszukiwania innych podpór, protez czy poręczy jak na razie nie przyniosły rezultatu.

2.

Pęknięcie podstawy czaszki” i „grzmocić się”.

Te dwa pojęcia poznałam, usłyszałam, zrozumiałam dzięki niej, Jaśminie czy Celinie czy Justynie, która była, jest i będzie po wszystkie czasy ich posiadaczką.

Szczególnie godne uwagi: obie kombinacje liter mówią o dużych przebiciach, o wyciekaniu płynów krwawych, mózgowych, nawilżających czy nasiennych, o ziejących i śliskich szparach, o wchodzeniu i przyjmowaniu, uginaniu i łamaniu, o życiu i śmierci, frontalnym uderzeniu i horyzontalnym pchnięciu, o grzmocie, trzasku i pisku, o ryzyku, upadku i przypadku, o dorostaniu, o twardym na miękkim i twardym na twardym oraz o wszechmocy fizycznych i chemicznych praw, którym od początku podlegało, podlega i będzie podlegać nasze ludzkie istnienie.

„Grzmocić się”...

Słowo mające wielu krewnych, spośród których „akt prokreacji” zalicza się chyba raczej do dalekich kuzynów...

W mojej osobistej rodzinie wyrazów określających stosunek płciowy trzymają się one mimo to za rękę, tak że przeskok od „grzmocić się” do „prokreacji” nie wymaga od moich myśli zbyt wielkiej sprawności fizycznej. Oczywiście nie jest to bynajmniej koniec ciągu skojarzeń myślowych wywołanych słowem „grzmocić się”. Zwykle nasuwa się w tym miejscu wyraz „poczęcie”, który niezawodnie prowadzi mnie do „maminego brzucha”, a ponieważ mój pobyt tam wymyka się mi z pamięci, to zastępczo – do twarzy mojej mamy.

Twarze i brzuchy naszych mam bardziej nie mogłyby się różnić.

Po jednej stronie ulicy, która może miała nazwę Jelenia, może Sarnia, a może Żabia czy Sowa, twarz i brzuch mamy z wykształceniem uniwersyteckim, po drugiej natomiast grube rysy i pępek mamy robotnicy. Po tej stronie plan nauczania, po tamtej plan pracy na zmiany; tu dom na własność, tam mieszkanie czynszowe; po prawej opieprz, po lewej wpieprz. Na wschodzie –

świeże owoce, świeże powietrze i kompost, a na zachodzie puszki, pety i popielniczki.

Niemniej jednak nasze tak różne matki łączyło kilka wcale istotnych cech wspólnych: na nich obu spoczywał ciężar pracy herkulesowej, by utrzymać dom, dorobek i mir w rodzinie, przy czym ich chronicznie przemęczone twarze przyozdabiały ciągle uśmiechy dodające odwagi...

Ale tym, co nas, Jaśminę czy Celinę czy Justynę oraz mnie, dziewczynkę o imieniu może Lotta, może Luiza, a może Łucja, fascynowało najbardziej, a co nas w naszym dziecięcym mniemaniu i przekonaniu zobowiązywało do przyjaźni, jeśli wręcz nie do siostrzeństwa, były otrzymane na chrzcie imiona naszych mam, których korzenie sięgają świata roślinnego. Zarówno po wschodniej, jak i po zachodniej stronie ulicy Jeleniej czy Sarniej, Żabiej czy Sowiej listy, okładki książek i dokumenty rozkwitały w najlepsze, a kiedy nasi ojcowie mieli jakieś życzenia, to przywoływali mamy imionami kwiatów, może Iris, może Margareta, a może Róża czy Liliana.

Logika twoich loków

Oczywiście musiały jej urosnąć loki.

Już kilka tygodni po tym, jak ogolono i pozszywano jej pękniętą czaszkę, oczyszczoną najpierw z masy płaczących się, zlepionych krwią włosów, które zastąpiono potem zygzakami drobnych, guzkowatych linii specjalnej nici chirurgicznej, uwidoczniła się kędzierzawa nierówność – zapewne rezultat potężnego wstrząsu, potwornego uderzenia.

Często wyobrażam sobie jeszcze po upływie wielu miesięcy od wypadku cebulki włosów, lekko drżące, każda z osobna rozedrgana słabymi wstrząsami wtórnymi, przypominającymi o wielkim, druzgocącym nieszczęściu. Tysiące włosowych podpórek pamięci, które chcą zapobiec nierozważnej brawurze i beztrosce. Aby w porę zwrócić uwagę na blaszkę czaszki nieustannie zagrożoną nagłymi, gwałtownymi wstrząsami, wysyłają poskręcane w korkociągi sygnały ostrzegawcze, które opadają na uszy, skronie, czoło i oczy.

Ostrzegające fale.

Morze w tonacji od jasnobrażowej do odcienia średni blond, morze zarejestrowanych drgań, które niesfornym nimbem otoczyły jej twarz. Aureola z loków, grzejących latem niemiłosiernie, których krnąbrność przy czesaniu doprowadzała matkę robotnicę do pasji, a dziewczynkę, skuloną ze strachu pod ciosami szczotki, do płaczu.

3.

Przedszkolanki musiały przewidzieć, że w przyszłości pojawią się te falujące promienie, skoro małą ze szczecina na głowie przydzieliły do grupy Słoneczek („czerwona grupa”).

Mnie natomiast wsadzono do tak zwanej grupy Księżyców („żółta grupa”), co mnie nieco zaskoczyło, gdy się dowiedziałam, że w rzeczywistości Księżyc to rodzaj ubogiego, który przyjmuje jałmużnę od Słońca, bierny odbłask, a nie źródło lśnienia.

Czy my, „żółci”, byliśmy tylko krótkonożnymi biernymi gapiami?

Zgrają tych maluchów, które świecą światłem odbitym?

Czy też raczej powinniśmy, my wszyscy z mieszczańskich lub nowobogackich rodzin, możliwie jak najwcześniej wprawiać się w sztuce *understatementu*, niedomówień, uczyć się wielkodusznie i bezinteresownie ustępować pierwszeństwa innym, dzieciom robotników i cudzoziemców, pozwalając im być w centrum, w środku naszego układu słonecznego w katolickim przedszkolu, zanim w roli małych i najmniejszych trybików rozpoczną pracę w naszych dobrze prosperujących przedsiębiorstwach średniej wielkości?

Kto w sprawie nazw, kolorów i zestawienia grup uwierzy w samowolę czy przypadek?

Ja nie.

Przydzielenie Szczeciny do grupy Słoneczek było równie nieprzypadkowe, jak obsada ról w przedstawieniu teatralnym wystawionym w naszym ostatnim roku w przedszkolu.

Spektakl, raczej musical z tańcem niż sztuka teatralna, który odegraliśmy pod koniec lipca przed mamami o opuszkach palców pokłutych igłami od szycia kostiumów, przed rodzeństwem i nielicznymi ojcami, zapewne bezrobotnymi, zatytułowany był *Safari*.

Jeeeeszszsz/Szczecina/JaśminaCelinaJustyna grała partię Dzikuski czy, mówiąc poprawnie, Plemiennej Wojowniczkki. Mnie natomiast przedszkolanki namówiły do odegrania Przewodniczki

Safari, w związku z czym byłam jedynym dzieckiem z rolą mówioną, tremą i przymusem nauczenia się kwestii na pamięć...

Gdy więc Szczecina mogła do woli zachowywać się na scenie DZIKO i żywiotowo, ja musiałam wlec po scenie nieporęcznego, tekturowego dżipa o niebezpiecznie ostrych krawędziach i recytować:

... po szerokim, błękitnym Niiiiilu
płynie czapla na krokodyyyyylu!!

– wydzierałam się pełna dumy do widowni. Ponadto, aby umożliwić publiczności jak najlepszy widok na moją nabytą specjalnie na tę okazję garderobę wierzchnią, trzeba było możliwie jak najdalej od okna dżipa odepchnąć łokciem chłopca o jasnoblond włosach, który miał się wcielić w męskiego Przewodnika Safari. W przypadku tej moim zdaniem w najwyższym stopniu godnej zobaczenia części ubioru chodziło o bluzeczkę koloru napastrnicy, czyli ciemnofioletowego, wykonaną z materiału, który po krótkim ciągu pięciu guzików rozdzielał się na „dwa końce do wiązania na supeł”, obnażając dzięki tak wymyślnemu fasonowi mój pępek. Tę widoczną na szerokość dłoni nagość odczuwałam jako spektakularną, i nie przesadzę, jeśli powiem, że top odsłaniający brzuch był dla mnie kwintesencją *sexiness*.

Oto ono! Słowo bodziec złożone z czterech liter, tworzące tu rzeczownik z dziarską końcówką *-ness*. Bezwstydnie wciska się między przyimek a czasownik posiłkowy: TO słowo, które odtąd będzie zawsze współbrzmiało we wszystkich wyrazach zawierających literę „x”.

Sexy.

Znaczenie tego słowa rozumiałam jako doznanie kociej zwinności i giętkości mojego ciała, wywoływane wówczas, gdy przesuwałam dłonią po łagodnie pofalowanych krajobrazach na mojej skórze, a także jako obudzone w ten sposób pragnienie, by dotykało mnie więcej palców, obcych palców.

Es, e, iks, igrek.

Tajemnicze słowo dorosłych, które musiało się jakoś łączyć z odkryciem doskonałości własnego kształtu i z zamiarem jego zbadania więcej niż tylko dwiema rękami.

Ale to nie jest, nie, to w żaden sposób NIE MOŻE być wszystko...

Przecucie, że moje doznanie związane z wyrazem zawierającym literę X obejmowało jedynie część jego możliwych znaczeń – a moje doświadczenia ledwie UCIELEŚNIAŁY sugestie i wskazówki co do rzeczywistego, dorosłego znaczenia tego słowa – narastało we mnie z każdym przeżytym rokiem życia. Gdzieś w zawikłanych głębiach przyszłych otchłani, z dala od blasku reflektorów autoprezentacji, czaiło się coś jeszcze: podejrzany, nieco złośliwy mięsożerca, wchłaniający wszystko i wszystkich; wiecznie głodny gad, który z pożądliwości ciała i w szale zabijania zwichnie sobie pewnego dnia żuchwę i udławi się odpryskami kości łapczywie pożeranej zdobyczy. Czułam, że właśnie taki zwierz rośnie we mnie pod warstwami skóry i mięśni, i tylko czeka na odpowiednią chwilę, by zrzucić pęta.

Wróćmy jednak do safari.

Pamiętam, że wygląd pozostałych dzieci, ukrytych za koszmarnymi maskami zwierząt z papier mâché, wcale nie był sexy i wręcz mnie odpychał.

Szczególnie nieatrakcyjni wydawali mi się chłopcy i dziewczynki z szarymi plackami na uszach, wyginający się niezdarnie i naśladujący rękami słoniowe trąby. Również odtwórcy roli olbrzymiego pytona, szczególnie dzieci w środkowej części węża, które nie były ani jego głową, ani ogonem, nie miały nawet cienia szansy, by zyskać moją sympatię.

Muszę jednak przyznać, że raz czy drugi łypnęłam zawistnym okiem na krótką, słomkową spódniczkę JaśminyCelinyJustyny...

Całkiem prawdopodobne, że to moje pożądliwe zerkanie na słomkową miniówkę spowodowało, że na twarzy pękła mi bańka niby dymek, a w nim gorzka i zgryźliwa uwaga wychowawczyni: „Nie można mieć wszystkiego”, w ten sposób zamierzała mi ona dać do zrozumienia, że chcąc nie chcąc trzeba się zdecydować na jeden z dwóch wariantów istnienia, bo urok zdziczałego nagiego zadka i kultura deklamowanych wierszy pasują do siebie jak pięść do nosa.

„Nie można mieć wszystkiego...”

Jak to zdanie mogło kiedykolwiek trafić do przekonania mnie, małemu dwunożnemu stworzeniu, w tym czasie beztrosko recytującemu z obnażonym brzuchem wiersze i sterowanemu przez zmysłny system popędów?

„Nie można...”

Co za bzdura! Ci dorośli!

Zwalczyłam uczucie zawiści dzięki trzeźwej konstatacji, że spódniczka i tak znika za osłoną drzwi dżipa pomalowanych w barwy ochronne, jest więc niewidoczna dla publiczności. Mój nagi brzuch natomiast widzą wszyscy. Wybór między nagością a kulturą jest zbędny.

Moim koleżankom i kolegom w paskudnych kostiumach – skazanym prócz kilku bzdurnych wierszyków na niemotę – nigdy nie zazdrościłam pozornej beztroski wojowników, węży, słoni czy krokodyli.

Przedstawienie przebiegało całkiem po mojej myśli.

Blondynek chętnie zostawił mi miejsce przy oknie oraz prowadzenie programu po tym, jak już w pierwszych minutach przedstawienia położył swoją kwestię. Czerwony jak burak schował się na tylnym siedzeniu tekturowego dżipa i udzielał się odtąd w milczeniu w charakterze napędu tylnego naszego czteronożnego pojazdu.

Uważam, że ta rola pasowała do niego znacznie lepiej, i zaraz o nim zapomniałam.

4.

Mam kości miedniczną i łonową tam, gdzie znajduje się szczęście ziemi.

Dumnie napinam plecy, wciągam brzuch, prosto i pewnie trzymam się tu, na górze.

Siedzę na twoich wygiętych plecach, to popędzając, to zatrzymując cię łydkami przyciśniętymi do twoich już lekko zaokrąglonych bioder. Z prawa i z lewa ściskam w spoconych dłoniach czarne lejce sznurówek, zawiązane na supeł z paskiem, który ciasno jak obróżkę założyłam tobie na szyję. Chcę, aby twoje rzenie, ta seria krótkich, urywanych dźwięków, zaczynających się w wysokim rejestrze, a kończących w niskim, brzmiała jasno i dźwięcznie, dlatego kieruję tobą głównie dzięki kombinacji cmoków, syków i ucisków łydkami. Łapię cię za kędzierzawą czuprynę, zmieniam szeptem kierunek jazdy, dopinguję radosnymi okrzykami „WIO, WIŚTA!”.

Krnąbrne narowy, które poskramiam szarpnięciem za cugle, są na szczęście rzadkie. W momencie, gdy cię przywołuję do porządku, wydajesz z siebie zduszony jęk, nieco głuchy, chrapliwy jak dławiący kaszel. Taki odgłos jest nieprzyjemnie ordynarny i nie przystoi szlachetnym zwierzętom.

– WIO, WIŚTA, rumaku!

Galopujemy po dywanowych krainach, odpoczywamy w cieniu ławy w narożniku. Na postoju wsadzasz nos do worka z obrokiem – płatkami kukurydzianymi.

– Tak... Jedz ładnie! Grzeczna dziewczynka! – chwalę cię lekkim poklepywaniem po jeansowym zadku.

A potem przychodzi pora na mały trening skoków.

Za pomocą kilku szczap, z trudem przywleczonych przeze mnie ze stosu drewna w ogrodzie, których wilgoć dywan wchłania jak bibuła, ustawiam skomplikowany parkur z przeszkodami do ćwiczenia skoków wzwyż i w dal. Powierzchnie jodłowych pniaków, pachnących deszczem, żywicą i zgnilizną, to pola minowe pełne drzazg, prosionków i mysich kup.

Dłonie lepkie od żywicy wycieram o poduszkę do siedzenia.
Zaczynamy trening.

Nie, to nie są skoki wierzchowca... Gdy odbijasz się od podłogi tylnymi nogami, długimi i silnymi, a lądujesz na dywanie przednimi i krótszymi, wyglądasz jak tusty zając polny z przyciętymi uszami. Tak jakoś ociężale.

Nie ma przeszkody, której byś nie zrzuciła.

Sprzątanie po tobie nudzi mnie coraz mocniej.

Podobasz mi się bardziej wtedy, gdy idziesz stępa i biegniesz kłusem, miarowo stawiając dwie przeciwległe kończyny – prawą przednią i lewą tylną bądź odwrotnie.

Wreszcie widzę, czego ci brakuje.

– Czekaj, zaraz coś przyniosę!

Po chwili wracam.

Ja, kowal.

Maminy fartuch majta mi się między nogami. Z tłuczkiem do ziemniaków w lewej ręce i trwałym markerem edding 3000 w prawej podchodzę, szeroko rozstawiając stopy, do zwierzęcia, które trzeba podkuć.

Ochoczo dajesz sobie ozdobić wnętrze dłoni i podeszwy stóp niezmywalnymi podkowami, cuchnącymi rozpuszczalnikiem. Każdy nowy koński but w kształcie litery U dla pewności przybijam dwoma, trzema szybkimi i precyzyjnymi uderzeniami młota-tłuczka do ziemniaków.

Mrukliwy, brzuchaty kowal, nieokrzesany gbur, który woli towarzystwo zwierząt, jest z siebie zadowolony.

Po pracy pomaszeruje do gospody z wyszynkiem, gdzie kelnerka, jędrna brunetka, poda mu do stołu, jak zwykle każdego wieczora, piwo z wkładką.

Wiosną byłby jeszcze czas na bijatykę w knajpie, konną przejażdżkę czy krótkie weterynaryjne badanie twoich małych, błyskających mleczną bielą ząbków żrebacka.

Ale mamy jesień, więc z zachodem słońca musisz być w domu.

5.

Nad krzakami róż unosi się niczym wabik mgielka słodkawej woni.
Brzęczenie w każdym kwiatku.

Dziś jest szczególny dzień.

Dopełnimy rytuału, świętego aktu, który złączy nas ostatecznie i po wszystkie czasy węzłem wiecznego siostrzeństwa krwi.

Poważne, uroczyste miny odbijają się wzajemnie w naszych oczach.

Kolec należy wybrać z rozwagą.

W końcu decyduję się na ten, który wydaje mi się szczególnie spragniony krwi: sterczy niby brązowawo zabarwiona płetwa rekina pośrodku gałęzi grubości kciuka. Malutkie kolce ciągną za nim gęsiego.

Amputuję szpiczasty ząbek z chirurgiczną precyzją.

I co teraz?

Patrzymy na siebie bezradnie.

Szybki, bezlitosny cios ostrym cierniem w mięso palca lub dłoni niewątpliwie wydobyłby na światło dzienne upragnioną kroplę krwi z fioletowego odosobnienia... Jednak nagła myśl o samookaleczeniu wywołuje we mnie gwałtowną odrazę. Nie obgryzam paznokci, nie rozdrapuję ukąszeń komarów, lubię moje pazurki, kocham moje nietknięte ciało.

Chcąc uniknąć skaleczenia, szukam na ramionach śladów po dawnych ranach. I rzeczywiście w okolicy łokcia odkrywam prawie już odpadający strupek, który zacznę skrobać kolcem.

Kątem oka zerkam na ciebie i widzę, że postanowiłaś zastosować podobną metodę. Na brak wyboru nie możesz narzekać.

Już po chwili twój prawy kciuk z obgryzionym paznokciem zaczyna krwawić zuchwale.

A u mnie tymczasem – nic.

Pod strupkiem utworzyła się już świeża, jasna, zdrowa skóra.

Z prawej wyczekujące spojrzenia.

Zawzięcie drapię to miejsce.

W końcu natrafiam na kilkumilimetrową strużkę rózu, którą skrobię kolcem, aż wydaje się lekko krwawić.

Tyle musi wystarczyć.

Przyciskam czym prędzej twój kciuk do mojego przedramienia. W tej nieco dziwnej pozycji trwamy kilka minut.

Trudno ustalić, czy rozmazana czerwona plama, dzięki której – gdy w końcu cofasz swoją dłoń – moje zadraśnięcie wygląda jak wykrzyknik, powstała z twojej czy mojej przyczyny, czy też nas obu.

Chciałam zdusić w zarodku wszelkie podejrzenie o oszustwo, dlatego solennie zapewniałam cię o tym, że moja skóra, wszystko jedno: nietknięta czy skaleczona, twoją krew i tak ssie, zasysa i wsysa „jak wodę”. Na potwierdzenie pokropiłam wierzch mojej dłoni deszczówką z odwiniętego węża ogrodowego.

Trzydzieści sekund później w ogrodzie rozległ się triumfalny okrzyk:

– A widzisz?! Nie ma nic!!

Udowodnienie mojej kryształowości i czystoręczności było dla mnie przynajmniej tak ważne, jak zachowanie nienaruszalności. Kłamstwo równałoby się skalaniu mojego nazwiska, byłoby jak skaza szpecąca muszlę klozetową w publicznej toalecie.

Wyobrażałam sobie, że imiona nałogowych kłamców są wyjątkowo nędzne, pokryte łuszczącym się lakierem i rozrastającymi się jak pleśń brunatnawymi wykwitami rdzy. Jeśli imiona kochających prawdę już raz utracą ochronną warstwę glazury, to wkrótce zaczną też nieodwołalnie kruszyć się ich wnętrza, aż rozpadnie się kiedyś w pył.

Miałam pewność, że rozpad czy utrata słowa, którym od urodzenia nazwane jest własne ja, nieuchronnie oznacza również koniec, zatracenie, śmierć.

Przeprowadziłam eksperyment na sobie samej, aby sprawdzić prawdziwość mojego twierdzenia. Najpierw usiadłam w sypialni rodziców przed dużym lustrem i za pomocą pióra wiecznego kilkoma starannymi esami-floresami napisałam swoje imię. Następnie zbliżyłam rękę z korektorem do ostatniej samogłoski, którą uważałam za literowy odpowiednik moich stóp.

Wymazując atramentowe linie liter, śledziłam sokolim wzrokiem moją postać w lustrze – i chociaż żadnych przeobrażeń w moim odbiciu nie dało się zauważyć ani też dotykiem nie mogłam

stwierdzić żadnego ubytku w moim ja, to jednak nie odważyłam się zetrzeć więcej niż literę A.

Gdy nadeszła pora spania, doszłam do wniosku, że nie mogę mojego nocnego ja odprawić do krainy snów z gołym tyłkiem. Cienkopisem reanimowałam żeńską końcówkę osobową. (Była sina, ale oddychała).

6.

Słowa zawsze brałam poważnie.

Prawdopodobnie dlatego nie mogłam znieść, gdy JaśminaCelinaJustyna z lakonicznym „Idę na siusiu” wybiegała z pokoju zabaw, a potem ukradkiem wkładała na dole buty i znikwała bez pożegnania za drzwiami, podczas gdy ja, siedząc na dywanie, czekałam z utęsknieniem na jej powrót.

Kiedy zdarzyło się to raz czy dwa, nabrałam nawyku uważnego nasłuchiwania odgłosów z korytarza, gdy szła do ubikacji. Jeśli tylko mogłam stwierdzić jakąś nieprawidłowość, podkradałam się do schodów i spoglądałam przez balustradę w dół.

Pewnego dnia wybiła godzina prawdy. Już przez całe popołudnie coś między nami nie grało. Bez entuzjazmu i od niechcienia zaczynałyśmy różne zabawy, by je po chwili znów przerwać, a ja chyba odrzuciłam kilka razy dość stanowczo jej propozycje...

Wreszcie moment upozorowanego pójścia do ubikacji!

Tknięta przeczuciem podeszłam bliżej do poręczy schodów, przykulona jak podkradający się kot na podchodzie.

Proszę! Siedziała tam w kucki! Zdrajczyni! Wygrzebała ze sterty kolorowej skóry przy wieszaku swoje buty i zaczęła zawiązywać sznurowadła.

Krew pulsowała i łomotała mi w skroniach, jakby serce przeciskało się tętnicą szyjną do mojej głowy.

Trzy, cztery karkołomne skoki w dół po schodach i już stałam podparta pod boki przed JaśminąCelinąJustyną gotową do wyjścia w zasznurowanych butach.

Wściekła, zła, zaciskając szczęki tak mocno, że słowa wydobywały się przez zęby i wargi tylko z sykiem, ofuknęłam ją:

– Znowu chcesz się urwać?

Brak odpowiedzi. Tylko wrogie milczenie.

Z oczami wąskimi jak szparki i z pogardliwie uniesioną z lewej strony górną wargą plunęłam jej na koniec w twarz: „Ty nędzny tchórz!”, zanim obróciłam się na pięcie i triumfalnie pomaszero wałam z powrotem do pokoju zabaw.

Mnie nikt nie wykiwa, nie mnie!

Rzeczy, które ciebie nie poruszają

Moje pianino.

Ściśle mówiąc, to wcale nie jest MOJE pianino.

Dawniej to cudo było własnością mojej prababci. Gdy jednak jej niedosłuch z wiekiem zamienił się w absolutną, nieprzeniknioną głuchotę, przypadło w spadku mojej mamie.

W tym czasie, kiedy wydobywałam pierwsze tony na błyszczącym instrumencie z jasnego drewna o klawiszach w kolorach kości słoniowej i lukrecjowych słodyczy, ta nieznana mi zupełnie prababka od dawna już leżała w grobie, a moja mama, poza nieudolnie wykonywaną miniaturą „Dla Elizy”, niemal całkowicie zapomniała gry na fortepianie.

Pianino miało swoje stałe miejsce na wysłanej zielonym dywanem galerii, która nie nazywała się „galerią”, ale „pokojem do gier i zabaw”, kiedy po raz pierwszy wspięłam się na taboret obity skórą, podniosłam klapę instrumentu i palcem wskazującym nacisnęłam przypadkowo wybrany klawisz. Wraz z tym pierwszym uderzeniem pokój do gier i zabaw otrzymał na krótko sześcioliterowy dodatek w określeniu „pokój do gier, zabaw i muzyki”, wyrażenie, które jednak ze względu na swoją drobiazgowość niezbyt długo było w użyciu i szybko zniknęło z naszego rodzinnego słownika. Odtąd galerię nazywamy (prosto, niewyszukanie, pod względem architektonicznym poprawnie) znów „galerią”.

Na królującej nad pokojem dziennym galerii stało więc i nadal stoi: moje pianino.

Codziennie spędzam wiele godzin przed szeroką, liczącą osiemdziesiąt osiem zębów paszczą, która jest wcale podobna do mojej własnej buzi.

Moje mleczaki różnią się od zębów pianina tym, że u mnie „czarne klawisze” to luki, przerwy w białym rządku, a w szczęce pianina czarne, błyszczące paski wystają kawałek nad równiną starannie ułożonych obok siebie białych klawiszy.

Oczywiście wykazujemy z pianinem jeszcze cały szereg innych różniących nas właściwości. W odróżnieniu od tego instrumentu, który mieści w swoim brzuchu – o czym wiem – mnóstwo

młoteczków, mających za zadanie wytrwale uderzać w napięte struny, posiadam tylko to jedno wilgotno-różowe językowe coś, które w drodze na zewnątrz formuje moje dźwięki w słowa.

Nie rozumiem tylko, jak to jest z tymi tak zwanymi strunami głosowymi...

Gdy z ręką na gardle mówię coś na głos, czuję lekkie, brzęczące drganie strun.

Ale to, w jaki sposób język, ten różowy, mięsisty młotek za dwoma rzędami zębów, tak odległy przecież od krtani, może wprowadzić w drżenie te struny, pozostanie nierozwiązaną zagadką, dopóki mojego korpusu nie będzie można otworzyć jak korpusu instrumentu z jasnego drewna, żeby przyjrzeć się dokładnie powstawaniu dźwięków.

Ale może wcale nie trzeba wszystkiego wiedzieć.

W każdym razie kocham pianino, pokochałam je od pierwszego dźwięku.

Uważam, że jest o niebo mądrzejsze od ludzi. Jego alfabet składa się poniekąd z pięćdziesięciu dwóch grubych i trzydziestu sześciu wąskich liter, tymczasem niemiecki alfabet, którego uczymy się w szkole, ma do zaoferowania tylko dwadzieścia sześć liter. W dodatku nauczone w klasie 1a znaki dają się tylko z trudem złożyć w całość, czasem w ogóle pozbawioną sensu. Na pianinie można tymczasem zestawiać ze sobą WSZYSTKO, i wszystko jest muzyką...

Z początku nie miałam odwagi, żeby odległe od siebie głosy porównywać ze sobą. Nie byłam pewna, czy piskliwe, wysokie głosiki po prawej stronie klawiatury nie będą się bały niesamowitego, tubalnego huku na końcu po lewej.

Jednak szybko zdałam sobie sprawę z tego, że te wszystkie dźwięki, zarówno jasne, jak i ciemne, są ze sobą spowinowaczone, skoligacone, spokrewnione, i że tworzą jeden wielki klan, któremu przewodzę, gdy tylko zasiadam na taborecie.

W mojej fazie eksperymentalnej, zanim mama z tatą posłali mnie na lekcje muzyki do pani Lichtel, wykorzystywałam każdą chwilę nieobecności rodziców w domu, żeby wypróbować najróżniejsze uderzenia: jednym palcem, dwoma, trzema i dziesięcioma, pięścią, dłonią i przedramieniem, a wreszcie nawet podbródkiem, twarzą, językiem oraz nosem.

Chcąc się dowiedzieć, jakie dźwięki wytworzy moje ciało wespół ze wszystkimi oktavami, wdrapałam się na taboret, a potem na klawisze i położyłam bokiem wzdłuż klawiatury, co dało masywne, cudownie potężne brzmienie. Rozciągnięta między dźwiękami najwyższym a najniższym unosiłam tułów i z impetem waliłam kościstym biodrem raz za razem w klawisze.

Pani Lichtel nie była, niestety, zbyt zachwycona takimi propozycjami uderzeń. Wymagała, żeby grać wyłącznie palcami.

Nie mogłam już też dowolnie wybierać kolejności różnych dźwięków, lecz musiałam je grać według porządku wyznaczonego w specjalnym podręczniku ze stronami w linie, które były zadrukowane szlaczkami nierówno rozłożonych punkcików.

Każdy z czarnych punkcików z długim ogonkiem, wiszących jak wisienki na pięciu równoległych poziomych liniach, symbolizował jeden biały lub czarny klawisz.

Przeoczenie choćby jednego z nich uchodziło za „błąd”. To samo pomylenie klawisza.

Czy błędne warianty, źle zagrane nuty nie brzmiały czasem elegancko, śmiesznie, dziko, opacznie – ciekawie po prostu, o wiele bardziej niż warianty nakazane w książce – ta kwestia nie miała najmniejszego znaczenia.

Czytanie nut wydrążonych, pełnych, połączonych belkami w grupy lub ozdobionych chorągiewkami nudziło mnie, a bezduszne kategoryzowanie muzyki za pomocą całkowicie pozbawionego fantazji zapisu nutowego budziło mój niesmak.

Aby uniknąć zbierania oczami tych czarnych wiśni o mdłym smaku, przyswajałam sobie utwory w ten sposób, że najpierw bacznie obserwowałam układ palców grającej pani Lichtel, a potem naśladowałam sekwencję jej ruchów.

Podczas lekcji gry na fortepianie otwierały się przede mną dwie perspektywy: perspektywa z lotu ptaka pozwalała mi śledzić pędzące po czarno-białych polach dłonie pani Lichtel, a z perspektywy małej żabki moje oczy mijały skosem zapis nutowy i wędrowały w kierunku regału, gdzie wzrok zatrzymywał się na podniesionych trąbkach setek porcelanowych słoników.

Wkrótce w najdrobniejszych szczegółach znałam zarówno usianą starczymi plamami skórę dłoni pani Lichtel, rozgałęzioną sieć żył prowadzących od nadgarstków aż po kosteczki palców, perłowy blask jej długich, lakierowanych paznokci i szlif małego brylanciku

wtopionego w środkową część obrączki z białego złota, jak też każde zwierzątko z kolekcji ssaków gruboskórnych posortowanych według wielkości i koloru.

Innym negatywnym zjawiskiem towarzyszącym nauce gry na fortepianie w piątki po południu była długa, stromo wznosząca się droga do domu pani Lichtel...

Notacja muzyczna, dłonie starej baby, porcelanowy kicz, męcząca droga pieszo – lekcje okazały się uciążliwym obowiązkiem i irytującą stratą czasu.

O ileż chętniej wykorzystałabym te godziny, których pozbawiały mnie ćwiczenia u pani Lichtel, na moją wielką pasję: akompaniament fortepianowy do opowieści i bajek z kaset, co czyniło je według mnie o wiele doskonalszymi.

7.

Były sobie trzy małe świnki...

OD DŹWIĘKU C JEDNĄ, DWIE OKTAWY W DÓŁ. TRZY TRÓJDŹWIĘKI. KWICZĄCO.
które mieszkały ze swoimi rodzicami w małym domu,
MIESZKAĆ JEST POŚRODKU. TATO ŚWINEK SYMPATYCZNIE NISKI TON, MAMA
ŚWINEK TROCHĘ WYŻEJ.

ale im bardziej świnki rosły...

CORAZ GŁOŚNIEJSZE TRÓJDŹWIĘKI.

tym mniejszy wydawał się dom.

WARIACJA TEMATU MIESZKANIA: MIĘKKIE, WYSOKIE DŹWIĘKI, KRÓTKO
UDERZANE – DZYŃ, DZYŃ.

– Nadszedł czas, żebyście swoje życie wzięły we własne ręce!

NASTRÓJ OŻYWIENIA. PALCE PĘDZĄ PO KILKU OKTAWACH W SZEROKI
ŚWIAT, KU WOLNOŚCI.

Pierwsza świnka zbudowała sobie domek ze słomy...

PIANISSIMO. DELIKATNIE KŁUJĄCE PÓŁTONY JAKO ŻDŹBŁA SŁOMY. SZUM
W SZPARACH. PRZEWIEWNE PAUZY.

Druga świnka zbudowała sobie domek z konarów i gałęzi...

WARIACJA TEMATU MIESZKANIA. MEZZOFORTE. AKOMPANIAMENT STUKÓW
W JASNY, DREWNIANY KORPUS.

A domek trzeciej świnki zbudowany był z kamienia.

STABILNY PIĘCIODŹWIĘK. TON PO TONIE JAK KAMIEŃ NA KAMIENIU.

Rozlega się głos wilka.

CIEMNE, TUBALNE POMRUKI. LEWA RĘKA.

Wilcze kasłanie i sapanie.

EFEKTY DRAMATYCZNIE ZWIELOKRATNIAJĄCE DŹWIĘKI. PRAWY PEDAŁ.

– Nie, o nie! Na szczecinę na karku, nie wpuszczę cię, znam
twoje sztuczki, podstępny chytrusie!

PRZERAŻLIWE ODGŁOSY PANIKI. STACCATOWE KWIKI. „NIE!” – UDERZENIE
PIĘŚCIĄ W KLAWISZE.

DWA RAZY TAKA SAMA GRA: WALĄCE SIĘ DOMKI I UCIEKAJĄCE ŚWINKI. LEWA
RĘKA – NOGI WILKA, PRAWA RĘKA – NOGI ŚWINEK. SZALENIE SZYBKIE
PALCOWANIE. OBURECZNY STUKOT PAZNOKCIAMI (WILCZE PAZURY, ŚWIŃSKIE
KOPYTA).

WILK NA DACHU KAMIENNEGO DOMKU, BLISKI POŻARCIA ŚWINEK JAK
NIGDY...

– Co my teraz poczniemy?

PEŁNE NAPIĘCIA TREMOLOWANIE.

Wilk zsuwa się kominem do środka.

ZJAZD PO WSZYSTKICH KLAWISZACH AŻ DO „CHLUP!”, KLAŚNIĘCIE W DŁONIE
NA ŁĄDOWANIE W GARNKU ZUPY.

Wilk zawył raz głośno,

DUŻO FISÓW. FORTISSIMO.

po czym ucichł na zawsze.

PALCE ODRYWAJĄ SIĘ OD KLAWISZY.

CISZA – ZASKOCZENIE I ULGA.

Radosny taniec świnek w finale.

TREMOLUJĄCE TRÓJDŹWIĘKI I ROZBAWIONE KWIKI.

Koniec.

ZADOWOLONE CHRUMKNIĘCIE NA CAŁE GARDŁO (JEDNA Z OPCJI).

To było świetne!

Naduszam przycisk stopą i kiwam głową z uznaniem w kierunku instrumentu. Rozumiemy się z pianinem również bez nut. Tak, nasza komunikacja przebiega naprawdę gładko, zgodnie i bez zakłóceń, a moja potrzeba nieznannej dotąd klarowności rośnie z tygodnia na tydzień.

Rano cieszę się już na nasze wspólne popołudniowe wznoszenie cichych, głośnych, ładnych, ostrych czy dziwnych dźwiękowych budowli, zdolnych pomieścić wszelkie uczucia...

Dostrzegam w muzyce tylko jedną skazę – jest ona przykuta do nazbyt ciężkiego instrumentu, dlatego mogę ją zabierać ze sobą jedynie w myślach.

Życzyłabym sobie takiego pianina, które zmieściłoby się w kieszeni spodni.

Maleńkimi, cieniutkimi jak czułki palcami, które mi zapewne urosną, gdy tylko pojawi się to moje kieszonkowe pianinko, będę mogła bez trudu trafić w miniaturowe klawiszki.

Odtąd mogłabym pod każdy mój krok podkładać najwspanialsze melodie, i byłoby tylko kwestią czasu, kiedy dzieci, jak w bajce o szczurołapie z Hameln, zaczęłyby mi deptać po piętach.

Może ta kolorowa czereda, która kiedyś, słuchając tych kompozycji, będzie wiwatować na moją cześć i sypać płatki róż,

chowa się już dziś w moim cieniu, słuchając bojaźliwie i nabożnie,
jak gram, i wystarczy się tylko obrócić, żeby –

Krzyki z dolnego piętra brzmią raczej groźnie niż radośnie.

To głos mamy.

Mam skończyć z tymi hałasami i porządnie ćwiczyć.

8.

Sześcioro kociąt.

Cały miot, kłębuszek po kłębuszku, roztrzaskany o ścianę stodoły.

Tylko siódmy ocalał.

Chłop nie robi tego po raz pierwszy. Widać jak na dłoni, że ma dużą wprawę.

Podążam wzrokiem za stwardniałą grabą sięgającą do kosza z kotkami.

Grube paluchy wpijają się w futerko na grzbiecie, wyciągają za nie i szarpiają.

W powietrzu coś macha łapkami.

Chłop bierze zamach. Nie bardzo szeroki, ale wystarczający.

Ramieniem o mięśniach twardych jak stal, wyrobionych od ciągłego kompostowania, zbierania, podnoszenia i trzymania, rzuca pomiaukujący pocisk, który leci szybko i prosto jak strzała, uderza w ścianę z czerwonej cegły i czerwona od kocięj krwi.

Skazane na śmierć zwierzątka w koszu zaciskają lepkie oczka, jakby bały się na to patrzeć.

Strach jest ślepy i pręgowany, czarny i biały, ma puch i króciutki ogonek.

Pierwszy czteronogi pocisk, może braciszek, a może siostrzyczka, odbija się od ściany i podskakuje po betonowej podłodze jak płaski kamyk po tafli wiejskiego stawu. Potem zamiera w bezruchu.

Czasem, gdy chłopski but z czarnej, zmywalnej gumy nie ma pewności, bo futerko jeszcze podejrzanie drży, obcas ani się nie zawaha. Jedno wkurzone tupnięcie i już. Po wszystkim.

Mózg wychodzi z rozłupanej czaszeczki jak rozdrobnione mięso z pękniętej kiszki. W rowkach bieżnika gumowej podeszwy zbiera się krwawa masa zmieszana z odłamkami kości.

Złożona procedura chwytania, rzucania i deptania wymaga pełnej koncentracji.

Niepostrzeżenie wślizguję się do środka. Czekam na kolejny rzut, a kiedy chłop się oddala, sprawdza, a potem depcze, sięgam do kosza i ratuję cię, jak córka faraona ocaliła niegdyś Mojżesza.

Oczywiście nie mogę cię, wyższej i cięższej ode mnie, starszej o półtora roku, nieść całą drogę z Sulpach do domu. Mogłybyśmy zamienić się rolami... Ale nie chcesz.

– Koty potrafią chodzić od urodzenia – mówisz, a ja ci wierzę na słowo.

Ruszamy w drogę. Jesteś potulnym kotkiem i drepczesz za mną po schodkach aż na górę piętrowego łóżka.

Tu leżysz, mały kłębuszek, ciasne zawiniątko kończyn, z głową ułożoną na moich kolanach, i chcesz, bym cię głaskała.

Przesuwam dłońmi po bawełnie i džinsach. Przez materiał wyczuwam twoje mięśnie, stawy i żebra. Interesuje mnie twoja natura, odkrywam jej właściwości: każde miękkie miejsce staje się w pewnym momencie twarde. Wystarczy je tylko dość mocno gnieść.

Rozumiem już dobrze, że nic, co jest mięsiste i puszyste, nie pozostaje takim na zawsze. Przypominam sobie staruszkę na marach, w otwartej wyścielanej skrzyni, przy której stałam, trzymając za rękę moją zapłakaną mamę, całą w czerni. Martwa. Ciało wyniszczone do cna.

Spod cienkiej, żółtawej skóry przeświecały twarde kości, jakby na jej szkielecie rozpostarto chusty z gnieczonego jedwabiu.

Z roku na rok kościec przebija się coraz bliżej na powierzchnię. Pucółowate policzki się zapadają, łokcie zaostwiają. Ciało rośnie, staje się dorosłe, stare, aż w końcu – tuż, tuż zanim żebra i kanciasta szczęka przekłują ostatnią warstwę skóry – umiera. Tak.

Ale nie ty. Ty jeszcze długo będziesz żyć.

Moje dłonie dotarły tymczasem do twojej buzi, skąd w równych odstępach wznoszą się pomrukiwania i pomiaukiwania. Skóra jest tu bardzo delikatna. Dotykam ostrożnie konturów twarzy: wszystkie są zaokrąglone. Dwie policzkowe pyzy, które w uśmiechu przesuwają się ku szparkom oczu jak poduszki pod rzęsy. Perkaty nos. Wałeczki, na których spoczywają twoje brwi.

Moje palce opuszczają suche miejsca i wędrują dalej ku lepkiemu. Im bliżej nasady włosów, tym skóra jest wilgotniejsza, trochę spocona. Czuję twój zapach. To znajoma mieszanina chłodnego dymu i potu, raczej śmierdzi, niż pachnie.

Wszystko to pochłania mnie bez reszty. Kocia miękkość twojej nagiej skóry podrażnia koniuszki moich palców i wywołuje swędzenie. Od ścierania i gładzenia mam już odparzone dłonie. Bez naszych płaszczy ochronnych skóry, zdartych głaskaniem, przywieramy do siebie żywym ciałem.

Nagle, zanurzona do głębi w rysach twojej twarzy, wsysana tysiącami porów, czuję, jak wygładzają się żłobienia na skórze moich dłoni. Subtelnie zarysowane linie papilarne na opuszkach palców znikają. Już nie będzie można ustalić mojej tożsamości na podstawie odcisków.

I wciąż twój piskliwy koci głosik, twoje słodkie miauczenie, które wpada mi do muszelki ucha i płynie stamtąd do gardła, a potem dalej wzdłuż tułowia, w głąb, aż do łądźwi. Brzmienie jak muśnięcie dutką piórka. To całe pocieranie i macanie, które liże mnie niczym języki ognia i kocie języczki, to płomiennie, to czekoladowo, zaczyna mnie niezdolnie ciągnąć i szczypać między udami, i chce mi się bardzo siusiu.

Nagle ogarnia mnie pragnienie szorstkości, ostrej granicy.

Szukając oporu, napinam mięśnie karku, wyginam szyję i przechylam głowę w bok, aż wszystkie ścięgna są tak mocno naprężone, jakby miały się za chwilę zerwać.

Rękami, które najchętniej zacisnęłabym w pięści, ugniatam twoje policzki jak ciasto; skubię, łapię, miętoszę, mogłabym ten przekłety eliksir zmiękczaczy wycisnąć z twojej skóry. Miauczenie staje się coraz głośniejsze. Teraz zaczynasz protestować.

– Przestań się bronić! Jesteś moim kotkiem! Moim, moim, moim – piszczę i szarpię cię za loki. Gdzie są gumowce, żeby wykopać cię z łóżka i położyć kres tej twojej giętkości?!

Mam ochotę cię zepchnąć na dół, na dywan. Chcę być jak szorstki język, który z zachłanną skrupulatnością wylizuje cię z każdego włókna.

Nie może zostać ani trochę. Nic a nic.

W końcu jednak udaje mi się zaklinować ręce pod tyłkiem, gdzie pozostaną rozplaszczone, nieszkodliwe dla otoczenia. Żar mija, wielki piec jest znów piętrowym łóżkiem. Mało brakowało, a stopiłybyśmy się ze sobą.

Ale teraz ty to ty, a ja to ja.

Żadnego kociaka, żadnej słodyczy i żadnych gumowców jak
okiem sięgnąć. Tylko kilka czerwonych plam na twoich policzkach.

9.

Cały dzień pod krzakami na postaniu z resztek sieczeni, ściółki i słomy, nogi we własnym ogrodzie, a głowy u sąsiadów.

Na wysokości naszych pasków niebezpiecznie kolczaste pędy jeżyn oplatają cienkie druciki. Owoce na gałązkach blisko naszych sandałków, łydek i brudnych kolan, wystających spod postrzępionych džinsów, są jeszcze niedojrzałe. Coś zarumieniło się tylko u samej góry, na najdalszej linii słonecznego frontu.

Za granicą działki, gdzie krzewy jeżyn wyginają się już pod ciężarem owoców w łukowate szpalery, rozdziawiamy nasze paszcze, pod gałęziami zakrzywionymi jak kręgosłupy piersiastych dziewczyn.

Setki gładkich, prześwitujących kuleczek wyczekują zbiorów. Są one olśniewająco czerwone, delikatnie żyłkowane i pełniutkie maleńkich nasionek, które rozgryzam na pół.

Tu więc jesteśmy.

Pod cieniodajną, z grubsza przyciętą, czystą zielenią.

Przez luki w listowiu przeciska się stalowoniebieskie niebo.

Jak ryby otwieramy i zamykamy umazane usta. Kolejność ruchów jest zawsze taka sama: najpierw podnieść i odchylić do tyłu głowę, aby kiść zanurzyła się w czeluści gardła. Górne i dolne wargi zamykają się za ostatnim owocem. Potem, ostrożnie, położyć tył głowy z powrotem na ściółkowej poduszce, obrabiając zębami kulistą zdobycz. To, co słodkie, kwaśne, owocowe, oddzielić zębami od łodyżki i ściągnąć w dół.

Czasem, jeśli kiść urosła za długa, trzeba – wbrew dobrym obyczajom krainy mlekiem i miodem płynącej – pomóc sobie rękami.

Nasz system zrywania malin, jeżyn i porzeczek – najpierw z czujnie nastawionymi uszami na obszarze podwyższonego ryzyka, czyli w ogrodzie sąsiadów, potem na pograniczu, a dopiero na końcu zbieranie marniutkich zaróżowień na własnym terytorium – sprawdził się doskonale w ciągu wielu lat.

Tylko jeden jedyny raz, kiedy nasza łupieżcza wyprawa trwała w najlepsze, wyrósł w gąszczu krzaków łysy, naburmuszony sąsiad zza miedzy. W popłochu puściliśmy się biegiem po trawie i grządkach, aż dotarliśmy do bezpiecznej kuchni, zanim zdążył zbliżyć się do nas z łopata.

Teraz dziadzia pokazuje się z rzadka. Może noga daje się mu we znaki. Wtedy jego kuśtykanie znacząco przyczyniło się do powodzenia naszej ucieczki...

Ale ponieważ dobre cechy sąsiada ograniczają się – w tej kwestii jesteśmy z JaśminąCelinąJustyną zgodne – i tak do uprawy tej szczególnej odmiany porzeczek o gigantycznych owocach, którą my, nie znając jej właściwej nazwy, ochrzciłyśmy mianem „porzeczką olbrzymka”, przyjmujemy jego nieobecność do wiadomości nie tyle z troską, ile raczej z obojętnym wzruszeniem ramion. Jesteśmy tak całkowicie zajęte same sobą, że brakuje nam po prostu czasu, by martwić się o starych, łysych facetów.

Plonu z krzewów domagają się nasze rosnące w letnim słońcu ciała. Ich zapotrzebowanie na energię zdaje się nieskończone. Żaden, nawet największy kolec chroniący owoce przed pożarciem nie jest w stanie nas powstrzymać. Oszczędzamy tylko egzemplarze zajęte przez larwy motyli lub obgryzione przez robaki.

Zdarzyło się to chyba w tym męczącym czasie zbiorów, krótko przed twoimi urodzinami. Może to było jakieś święto, a może tylko weekend.

Słońce zanurzyło się w lasu za strefą zamieszkania. Nastaly zorza i wieczera, ale długo jeszcze nie było pożegnania.

Musiałam już chyba spać, kiedy coś nagle u góry zaskrzypiało i na drabince piętrowego łóżka pojawiły się twoje stopy. Pokój tonął w letnim półmroku. O ileż bardziej wolałam mieć oczy zamknięte, ukryte za szczelną osłoną powiek, a nie szeroko otwarte, narażone na widok koszmarnych i dziwacznym kształtów cienia...

Ale teraz jest za późno. Ulotniło się błogosławieństwo przyjęte od mamy przed snem, a mające chronić mnie w nocy od wszelkich niebezpieczeństw.

Obudzić się znaczy: wydać siebie na łup.

Tym skrzypieniem narzucasz mi stan czuwania, popadam w rozpacz i wściekam się jednocześnie. Przez kilka krótkich chwil niezdecydowania rozważam różne możliwości: zostać w łóżku?

Sama wśród armii cieni? Czy jednak wstać, pójść za tobą i ręka w rękę walczyć przeciw ciemności?

Zanim twoja dłoń chwyci za klamkę, już stoję przy tobie.

– Co się dzieje? – pytam czarną, pokrytą lśniącymi na biało cętkami plamę, która jest zapewne twoją twarzą.

Cisza.

Przemykamy razem do łazienki. W odpowiedzi na słabe kliknięcie mojej dłoni żółtość kafelków skacze nam do oczu. Aby móc zobaczyć cokolwiek, skupiam się na brązowym, poprzecinanym beżowymi fugami, kwiecistym deseni. Trwa dobrą chwilę, zanim moje źrenice się zwężą, a oślepienie zamieni się w olicowanie.

Zaciekawionym, świeżo przystosowanym do ciemności, całkowicie już przytomnym wzrokiem wędruję wzdłuż twoich gołych nóg. Z zaciśniętej pięści, która dynda na wysokości obrębka koszuli nocnej, wystaje ci skrawek zgniecionych majtek.

– Co –

Pierwsza kropla odbiera mi mowę. Jasnoczerwone krople spadają z pluskiem między twoje stopy.

Kapie na ceramiczną posadzkę tak, jakby twoje ciało przemieniło ten wczorajszy owocowy skwar w małe, deszczowe chmurki w twoim wnętrzu.

Dopiero gdy po raz kolejny mrużę oczy, dochodzi do mnie, że to krew. Szpanerska krew. Najwidoczniej nie przepuszczasz żadnej okazji, aby się nią przechwalać...

Wtedy za mną pojawia się już sylwetka mojej zmęczonej mamy. To twoje kapanie wyrwało ją pewnie ze snu. Bez zbędnych słów wyjmuję z damskiej szuflady pod umywalką grubą podpaskę. Odgłos, kiedy odrywa ochronny pasek folii, przypomina mi zgubiony album z naklejkami.

Gdy przezroczysta folia znika z głośnym szelestem w koszu na śmieci, mama przykleja podpaskę do materiału wewnątrz twoich majtek. Przyglądam się z ciekawością, jak wsuwasz nogi w otwory bielizny. Szybko podciągasz pod pępek świeżo wyścielane bawełniane desusy w różowe cętki. Tymczasem ceramiczne kwiaty czekają na próżno – przestało kapać.

Ze wstrętem i zarazem fascynacją wyobrażam sobie, jak marmoladową czerwienią plamisz kremową wkładkę grubości kciuka.

Mama posyła nas z powrotem do łóżek.

Ale nie udaje mi się zasnąć... Powiązania między damską szufladą, owocami, krwistymi skórkami przy twoich paznokciach i ukąszeniami komarów, a zwłaszcza dawno minionym złamaniem podstawy czaszki, tym najkrwawszym ze wszystkich wypadków, spędzają mi sen z powiek.

Czy to możliwe, żeby rozdwojenie-o-mały-włos głowy miało konsekwencje jeszcze dziś? Czy twoje ciało obawia się kolejnych złamań? Może chce uprzedzić dalsze nieszczęścia i uczynić z ciebie jak najszybciej kobietę, zanim –?

Nie uszły mojej uwadze wasze konspiracyjne spojrzenia, jakie wymieniłyście między sobą – mama i ty. Wygląda na to, że zdanie się na pieluchowatą ochronę przed wypływem krwi stwarza bliskość i najwidoczniej pozwala kobietom bez względu na wiek czy pochodzenie traktować się na równi. Za drzwiami wszystkich umywalni i toalet, oznaczonych piktogramem postaci w sięgającej do kolan sukience w kształcie litery A, spotyka się, patrząc na siebie ze zrozumieniem, siostrzeństwo, wspólnota, która potakuje, wzdycha i zmienia waciane opatrunki. Obserwuję to już od dłuższego czasu.

Czy mogłyśmy więc zaoszczędzić sobie nieprzyjemnego rytuału skaleczenia? Wydaje się, że ta wspólna kropla krwi tworzy o wiele bardziej niezawodne więzy siostrzeństwa – pod warunkiem, że umie się krwawić.

Krwawienie nie jest jednak moją mocną stroną. Wiem również dlaczego: aby zobaczyć krwawą czerwień, trzeba mieć najpierw otwartą ranę, szczelinę. Nie minęły jeszcze dwa tygodnie, odkąd ostatni raz w sypialni przyglądałam się badawczo mojemu ciału w lustrze, szukając tego rodzaju śladów. Owego popołudnia przysunęłam goły tyłek i nogi rozstawione na kształt litery M bliźniutko do lustra, ale mimo najszczerzych chęci nie udało mi się odkryć nic, co choćby przypominało ranę.

Dwa małe wałeczki przedzielone fałdą skóry, dalej w głębi otwór odbytu. Nic więcej.

Palcem wskazującym – ale też innymi palcami, każdym z osobna – dało się trochę rozchylić tę fałdę i wsunąć koniuszek w szparkę, wilgotną i gładką w dotyku, jakbym opuszkami macała wewnętrzne strony warg.

Bólu przy tym nie odczuwałam. Szparka nie zachowywała się zresztą jak porządna, otwarta rana. Po kilku minutach bezsensownego gmerania i poskubywania musiałam pogodzić się z tym, że po prostu nie znalazłam żadnego zranienia.

Jestem zbyt zdrowa.

Moje ciało zasklepia się, goi i rośnie w pełni automatycznie, nie chce ani ran, ani żadnych innych otworów.

Czy moi rodzice wiedzą o tym?

Kiedy raz po wypiciu soku pomarańczowego, którego nie toleruję, miałam „na dole” podrażnioną skórę i z podkulonymi nogami, kolanami tuż obok ramion, pupą wypiętą do góry leżałam w łazience na dywaniku, mama smarująca mnie bepanthenem musiałaby przecież zauważyć, że coś tam jest nie tak...?

Może nie widzi w tym nic strasznego? Może cieszy się, że nie musi nigdy widzieć, jak krwawię...

W końcu to, że jestem nietknięta i nienaruszona, cała i zdrowa, że aż tryskam strumieniami błogosławieństw i łask, a moje ciało, biorąc pod uwagę jego integralność i zdrowie, przewyższa przeciętne ciało kobiece, jest przecież powodem do radości...

Teraz rzeczywiście czuję, powoli dryfując ku krainie snów, jak wzbiera we mnie rodzaj gniewnego triumfu.

Niech ta damska szuflada będzie sobie zamknięta na cztery spusty – ta przekorna myśl kołacze mi się po głowie, po czym zasypiam.

Kilka godzin później nad ranem w ogrodzie podnosi się codzienny harmider.

Ptasia orkiestra nieźle się przykłada do roboty.

Przez uchylone okno do pokoju wlatują bańki pełne barokowego śpiewu. Wszystko dobrze znane melodie. Świergotanie i szczebiotanie, pimpilenie i czyrykanie, a w przerwach werbel dzięcioła. Ci-ci-be i ci-ci-trn, wit wit i sit sit, przeplatane miękkim fletowym pjuuu w wykonaniu brzuchatego gila zwyczajnego, którego poznaję od razu, bo to mój ulubiony ptaszek. Śpiewa tak cudnie i żałośnie, że trzeba go posłuchać ze szczególną uwagą, przed wszystkimi innymi. Zdaniem mamy gil brzmi „melancholijnie”, a mój tato mówi, że ma „bluesa”... Bez względu na to, co ma, a czego nie, lubię go słuchać, i jeśli pewnego ranka usiądzie po

koncercie na gzymsie, wyciągnie do mnie pazurki, trzymając w nich swoją czarną czapeczkę, żebrząc – dostanie wszystkie moje zaoszczędzone drobniaki, jak nic.

Na dworze ptaki śpiewają dalej jak szalone, a ja nie śpię, nie śpię i nie śpię. Jakże chętnie bym wstała i akompaniowała ptakom... Ale trzymam ręce w ryzach, bo wiem, że konsekwencją wczesnoporannego koncertu fortepianowego jest bardzo zły humor rodziców.

Nie chcąc jednak leżeć całkiem beczynnym, nakrywamy obie – ja i ciągle jeszcze krwawiąca JaśminaCelinaJustyna – stół do wspólnego śniadania.

Uszczęśliwia mnie nietknięty kożuszek śmietanki na mleku wydojonym wczoraj wieczorem w Sulpach.

Wiedziona nagłą inspiracją dzielę stół na stronę krwawiących i stronę niekrwawiących, kobiet i nie-kobiet. Kobięcy bok stołu jest czerwony – marmolada, maliny i salami. Wokół talerzy naprzeciwko gromadzą się masło, mleko i ser. Tutaj, po nie-czerwonej stronie stołu, gdzie zajmiemy miejsce z tatą, powinny znaleźć się jeszcze chleb i płatki owsiane. Ale wolę być mniej rygorystyczna i układam pośrodku pas zboża, którym mogą się żywić jedni i drudzy.

Siadam ze skrzyżowanymi nogami na krześle taty, patrzę na moje dzieło i myślę, że właściwie nie ma żadnego powodu, by nie czuć się dobrze tu, po przeciwnej, maślanej stronie.

10.

W małej miejscowości na południu Niemiec, po zachodniej stronie ulicy o nazwie jakiegoś zwierzęcia, stoi dom wielorodzinny. W mieszkaniu na parterze jest ciemno. Niebieskawe kłęby dymu zasnuwają niczym mgłą światło z telewizora.

Dziewczynka jest zbyt zmęczona, żeby pójść do łóżka. Na coś czeka, ale nie wie za bardzo, na co.

23:21.

Terkot motoroweru. Znajome odgłosy na podwórzu. Jeszcze dwa zamki u drzwi i wejdzie do środka.

Kiedy klucz po raz trzeci nie trafia w dziurkę, wie już, że wieczór będzie niewesoły. A mimo to: krucha nadzieja spowalnia jej kroki.

Zanim dotrze do drzwi pokoju dziecięcego, już słyszy, jak ojciec wtacza się z hałasem do przedpokoju.

Węszy, czuje dobrze znaną, niebezpieczną mieszaninę gorzałki i starego tłuszczu, którą ojciec zwykle przynosi ze sobą do domu. Zapach ten oblepiał przez kilka tygodni również brata, zanim się wyprowadził. Odkąd już tu nie mieszka, ona ma pokój dla siebie. Zaleta tego jest taka, że nie musi jak dawniej udawać, że śpi, gdy on grzmoci swoją dziewczynę. Mimo to czasem jej go brakuje.

Na wszelki wypadek chwilę jeszcze nie kładzie się spać. Może ojciec zechce zapalić papierosa. Żeby tylko nie budził mamy! Przecież idzie jutro do pracy na pierwszą zmianę...

Ledwie rozsznurował buty i rozsiadł się na kanapie z pluszu w kolorze ochry, a już czegoś chce. Niech mu zaraz naleje wina, w kuchni powinna być gdzieś jakaś butelka. Przeszukuje wszystkie kąty. Mijają minuty. A wina nie ma. Ani w lodówce, ani obok skrzynek z napojami.

Z dużego pokoju dochodzi wrzask. Gdzież się podziewa?

Waha się, jej palce nieruchomieją na krawędzi kosza prezentowego. Wie, że jest przeznaczony dla maminej koleżanki z pracy. Jeśli teraz wróci do kanapy z pustymi rękami, to on jej mocno przyłoży. Jeżeli będzie tak stać jeszcze dłużej, to przyjdzie

sam do kuchni, zobaczy flaszkę obok czekolady w koszu, a wtedy dopiero jej przyłoży, bo nie dość się pośpieszyła.

Wrzask się nasila.

Porywa wino i biegnie do pokoju. Na szczęście to butelka z zakrętką. Zawsze się złości, gdy ona nie radzi sobie z korkiem.

Kieliszka nie musi mu stawiać, o tym wie. Już po pierwszych łykach wydaje się niemal spokojny. Kiedy twarz ma odprężoną, widać, że ojciec i córka są do siebie podobni – te same szparki oczu, te same kręcone włosy, tylko u niego już lekko szpakowate, a u niej mają odcień jasnego brązu po średni blond i opadają delikatnymi kędziorkami na ramiona.

Dziesięć godzin harować w papierni. Produkować tony tektury. Odczytywać wyniki pomiarów, wymieniać części maszyn, uzupełniać cieczy chłodząco-smarujące...

Rozumie, że to jest męczące, i rozumie też, że jest głodny.

Kromki chleba umie posmarować już całkiem dobrze. Są też równo pokrojone, odkąd mama kupiła krajalnicę. Ale ojciec nie chce chleba. Chce *leberkäse*.

A ona nie wie, jak się robi taką pieczeń.

23:45.

Chwyta ją za ramię, wlecze do kuchni. Tak jest. No teraz to on jej pokaże, jak się piecze *leberkäse*. Od matki się tego nie nauczy.

Nagle ogarnia ją zmęczenie. Śmiertelne zmęczenie. On właśnie wyjmuje patelnię z szafki, a jej kleją się powieki. Ostrożnie pyta, czy może iść do łóżka. Może jej to przecież pokazać jutro –

Zanim zdąży poderwać ramiona do twarzy, on trzaska patelnią o ścianę. Gładkie szklivo kafelków pęka od uderzenia żeliwnej czerni.

A więc nie chce, co? Dobra, no to jej nie pokaże! Niech sama zobaczy, jak się nauczy! Ale żeby jedno było jasne: jeśli jutro wieczorem na stole nie będzie *leberkäse*, to ją spierze na kwaśne jabłko!

W drzwiach kuchni pojawia się matka.

– Idź do łóżka – szepcze i wypycha małą na korytarz.

– Gównu pójdzie, tu ma zostać! – wydziera się ojciec między jednym łykiem a drugim.

I co teraz? Zostać czy iść do łóżka? Zrozpaczona przestępuje z nogi na nogę, nie wie, co ze sobą zrobić.

– Ech, do licha ciężkiego! To niech spieprza do łóżka, ta niezguła!
Zakuta pała z niej i tyle!

Matka poznaje butelkę z kosza prezentowego.

No i co z tego? To jego mieszkanie! On tu pije, co chce! Nie jego wina, że pustki w domu!

Dziewczynka ostrożnie zamyka za sobą drzwi pokoju. Stłumione krzyki.

Kładzie się do łóżka brata. Jak dobrze, że go nie wziął ze sobą.
Wdycha resztki jego wody po goleniu.

Z kuchni dobiega głucho klaśnięcie. Raz. Drugi. Trzeci.

Słyszy jęki matki.

00:30.

Zza drzwi dochodzi tylko odgłos telewizora.

Na pościeli brata pojawiają się słone, wilgotne i ciepłe plamy.

Ranka po ukąszeniu komara znów krwawi.

11.

Siedzę na taborecie obitym skórą i myślę palcami. Tam, gdzie powinna być *Szkoła na fortepian*, wiszą przymocowane taśmą klejącą rysunki.

„Narysuj swoją koleżankę lub twojego kolegę ze szkolnej ławki” – brzmiało zadanie domowe.

Nadzwyczaj niechętnie dzielę z kimś ławkę, a jeśli już, to tylko na lekcjach przedmiotów odbywających się w pracowniach, a nie w klasie, dlatego powinnam być, ściśle biorąc, zwolniona z obowiązku wykonania tej pracy domowej.

Wiem jednak z doświadczenia, że zarówno nauczyciele, jak i matki rygorystycznie odpierają wszystkie argumenty kwestionujące sens oraz cel zadań domowych. I nie odgrywa przy tym żadnej roli to, że zgłoszone zastrzeżenia są jak najbardziej rozsądne i przekonujące. Uszy dorosłych, wychwalane jako „zawsze otwarte”, w tym przypadku pozostają absolutnie głuche.

Całe więc popołudnie spędziłam na rysowaniu dwóch portretów, leżąc na brzuchu na perskim dywanie. Wybór modeli przyszedł mi dość łatwo. Zanim jeszcze na granatowym polu dywanu ustawiłam w szeregu cały mój arsenał kredek, wiedziałam, że w grę wchodzi tylko dwie osoby z klasy, a mianowicie Egipcjanin i Kopia.

Ale później o tym napiszę więcej.

Tak w ogóle to podoba mi się ten absurdalny pomysł, by za pomocą nagromadzenia grubych, cienkich, zagęszczonych czy pojedynczych kresek utrwalić na papierze świat, który nieustannie zmienia swoje barwy i kształty. Małe rozczarowanie czy poczucie porażki, towarzyszące każdej mojej próbie, w ogóle mnie nie zniechęcają, bo dopóki kredka sunie po papierze, zawsze istnieje nadzieja i wszystko jest możliwe. Poza tym od jakiegoś czasu zauważam pewne pokrewieństwo między rysowaniem a grą na fortepianie...

Czy używamy barw dźwięku czy kolorów drewna – w obu przypadkach postawa, to podstawowe uczucie, z którym zabieramy się do „sprawy”, musi być silna, a jeszcze lepiej – najsilniejsza, absolutnie najintensywniejsza i związana z największym poświęceniem. Połowiczność i zaangażowanie na pół gwizdka prowadzą na obu polach bynajmniej nie do połowy drogi, ale po prostu donikąd.

Zbliżamy się do „więcej” przesuniętego powyżej na później. Jednak przedtem koniecznych jest jeszcze parę zdań w kwestii techniki...

Najpierw muszę ułożyć kredki („tony barw”) równiuteńko w szeregu, jedna obok drugiej, naśladowując niejako moją ukochaną klawiaturę.

W mojej głowie każdy ton barwy ma określony dźwięk, a każdy dźwięk ma określony ton barwy.

Struktura tego porządku osnuwa uszy i gałki oczne siatką, która filtruje krystaliczne dźwięki i kolory.

Odkąd odkryłam ten porządek dla siebie, chcę go też koniecznie zachować.

Nawet nie kiwnę palcem, dopóki moje narzędzia nie będą posortowane jak należy.

Może powinnam w tym miejscu dodać, że kiedyś było inaczej, to dopiero fortepian sprawił, że stałam się taka rygorystyczna...

Wspaniale byłoby oczywiście widzieć kredki i klawisze leżące parami obok siebie, względnie na sobie... Mankamentem jednak takiego konkretnego, widzialnego i namacalnego związku jest to, że po każdy nowy kolor muszę się zrywać z dywanu i biec do pianina. Melodia, którą tworzę, rysując, przeciąga się wówczas niepotrzebnie, brzmi okropnie jednostajnie i urywa się dziwnie z powodu sporych odstępów czasowych między poszczególnymi tonami. Natomiast wymyślone połączenie elementów barwnych i dźwiękowych, ta czysto umysłowa kompozycja, funkcjonuje o niebo lepiej i płynniej... Komponowanie w głowie, czerpanie pełną garścią z przepływających barw i dźwięków pozwala też na więcej spontaniczności. Nie muszę nic więcej robić, jak tylko obserwować z brzegu wiecznie płynący strumień widzenia i wyławiać z niego pstrągi mieniające się najpiękniejszymi kolorami. Ryby barwy same w sobie nie mają zresztą głosu. Gdy się jednak wynurzą, budzą we

mnie ów śpiew, w takt którego otwierają i zamykają pyszczki, jakby śpiewały z playbacku...

Widzenie rodzi śpiewanie. Najpierw więc z maleńkim przesunięciem PO upływie czasu potrzebnego mojej ręce, aby zdążyła przyłożyć kredkę do kartki papieru i zostawić na niej ślad, powstaje PRZED oczami ton. W ten oto sposób, spowalniając tempo zapisującej ręki, mogę odegrać czy wyrysować rodzaj kanonu, dzięki któremu nawet proste melodie brzmią cudownie skomplikowanie.

Podczas tej wyrafinowanej podwójnej gry często przychodzi mi na myśl tęcza, której terytorium stanowi pole za naszym domem.

Jeśli tylko chce, może się ona zwielokrotnić.

Wtedy przez zaledwie kilka ulotnych chwil pokazują się na niebie łuk forte i łuk pianissimo w synchronicznym lśnieniu.

Dotarliśmy do „później”. Teraz zatem będzie „więcej”.

Najpierw rysuję Egipcjanina.

Chłopiec ma włosy blond, a to dlatego, że nie jest prawdziwym Egipcjaninem. Ale bądź co bądź całe pięć lat mieszkał w Kairze na krótko przed pójściem do szkoły.

Dom, w którym mieszka rodzina Egipcjanina tu, w Niemczech, wypełniony jest od góry do dołu pamiątkami z Egiptu. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie są wazony, zwoje papirusu, dywany, małe posążki i obrazy.

Na ścianach wisi poza tym w ramach dużo fotografii, na których jego ojciec ściska dłonie otaczającym go „prawdziwym” Egipcjanom – w większości noszą oni długie tuniki niby koszule nocne, a na głowie mają białe chusty z czarnym sznurkowym krążkiem.

Ojciec Egipcjanina jest archeologiem. Dlatego pod żadnym pozorem nie wolno dotykać większości stojących czy wiszących w całym domu przedmiotów, a już w ogóle ruszać czegokolwiek, co wyglądem przypomina skorupę.

Mimo zakazu dotykania czuję się u nich dobrze.

Dziewczęta, tańczące po papirusach z pucharkami, owocami czy lusterkami w rękach, są trochę do mnie podobne, co potwierdził mój kolega blondynek. Może włosów nie mam takim czarnych, a mój nos nie jest aż tak szpiczasty, ale kształt oczu zgadza się co do joty.

Druga największa zaleta kolegi poza tym, że jest Egipcjaninem, to saksofon. Gra na tym instrumencie, odkąd mu urosły dłonie. „Saksofon” brzmi dla mnie jak „seksofon”, mam to brzmieniowe podobieństwo w uszach prawie zawsze, dlatego nie mogę powstrzymać chichotków, gdy Egipcjanin mi coś czasem gra. Na szczęście nie bierze mi za złe moich wygłupów, wręcz przeciwnie: w przerwach na wdech odrywa ustnik od warg i posyła mi uśmieszek.

W lot rysuję linie. Szybkie pociągnięcia kredki układają się w owalny kształt w żółtym kolorze słońca i piasku Sahary, powodują, że rosną włosy i uszy; tak oto wyłania się twarz z oczami w odcieniu krokodylej zieleni i o jasnorożowej skórze błyszczącej jak glazurowana glina.

Najwięcej czasu zabierają mi wargi i usta, te tajemnicze koralowe hieroglify, a co je tak rozbawia, wiemy tylko my oboje... (sexofon!).

Na Kopię przeznaczam nowy arkusz papieru.

Oczywiście Kopia ma w rzeczywistości imię – Żanna czy Żaklina, czy też jakieś inne zaczynające się od „Ża-”. Moi rodzice wszystkie te imiona razem wzięte uważają za pretensjonalne, mnie natomiast myśl o JaśminieCelinieJustynie napawa smutkiem, zaś o Żannie czy Żaklinie jak najbardziej usposabia pogodnie.

Nazywam ją zresztą Kopią dlatego, że jak na złość wiele moich kolegów i koleżanek z klasy oraz w większości nauczyciele są zdania, że jesteśmy do siebie podobne, a nawet czasem nas mylą, czego wprost nienawidzę.

Za pomocą tego rysunku zamierzam wyjątkowo jasno i wyraźnie podkreślić naszą odmiennność, a tym samym, mam nadzieję, skorygować tę fatalną wadę wzroku moich bliźnich. Najpóźniej wtedy, gdy zobaczą oni portret Kopii, muszą im spaść klapki z oczu – taki jest mój cel.

By oddać barwę jej włosów, wybieram brąz, od średniego po jasny, w odcieniu wybitnie sraczkowatym.

Kolor psiego gówna – myślę zgryźliwie, rysując długie, cienkie linie kosmyków na papierze.

Jeśli ktoś z klasy chciałby narysować moje włosy, musiałby wziąć do ręki kredkę w tonacji hebanu lub zdecydować się na czerń. (Pierwsza, istotna różnica, właściwie nie do przeoczenia!)

Kolej na oczy.

Starannie kreślę dwie duże migdałowe formy, które po prostu koloruję na czarno, bo żadna z moich kredek nie zostawia śladów ciemnych jak gorzka czekolada.

A moje oczy nie wiedzą, co to gorycz.

Kolor miodu firmy Langnese, który moja mama, kategorycznie przeciwna opakowaniom z plastiku, kupuje tylko w awaryjnych i wyjątkowych przypadkach, jest najbardziej zbliżony do odcienia mojej tęczy. Ale tak dokładnie nie da się określić koloru moich oczu, ponieważ on zmienia się jakby w zależności od tego, czy jestem chora, smutna czy radosna... Stare korale dla ząbkujących dzieci z różnokolorowych kuleczek bursztynu, pokrywane się kurzem w szkatułce na biżuterię, najprędzej mogłyby oddać paletę barw mojej kapryśnej tęczy.

Wątpię jednak, żeby tutejsze sklepy papiernicze miały w asortymencie kredki koloru takiego jak „korale dla ząbkujących dzieci” czy „miód firmy Langnese”. Z całą pewnością nie uszłoby to mojej uwadze.

Prawdopodobnie nikt i tak mnie nie narysował, a jeśli już, to zapewne użył przez pomyłkę brązu – nie dlatego, że ten kolor pasował, ale ze względu na to, że barwa żółta przeznaczona jest – rzecz zupełnie niezrozumiała – wyłącznie do malowania słoneczek, blondynek i środków kwiatów stokrotek.

Powinam więc raczej skupić się na tym, by przenieść na papier nos Żanny czy Żakliny, zwisający bardziej w dół, jej prawie nieistniejące wargi oraz małe i ostro zakończone zęby.

Tu należy wspomnieć, że mój nos jest raczej zadarty, wargi są właściwie pełne, a zęby – bardziej duże niż małe.

Rozprostowuję ramiona, patrzę na gotowy portret Kopii i kręcę głową nad ludzką ślepotą. Phi! To niby ma być podobieństwo?

Jedynie, co – pomijając kształt oczu – nas łączy, to długie włosy i klub gimnastyczny, gdzie spędzamy wieczory.

Klub gimnastyczny. Tu zaczyna się kolejny szereg przeciwieństw.

Chodzę na gimnastykę, bo mam, jak twierdzi mama, „za dużo energii”. Poza tym boi się, że od ciągłego grania na pianinie będę się garbić.

Powód, dla którego Żanna czy Żaklina chce być aktywną członkinią klubu gimnastycznego, nie wiąże się ani z nadmiarem energii, ani ze zdrowym kręgosłupem. Żanna czy Żaklina jest tutaj,

aby zaspokoić ambicje matki, gustującej w butach na szpilkach i deseniach w cętki lamparta, najwidoczniej lubiącej pasjami przesiadywać w wolnym czasie na ławeczce obok magazynu sprzętu sportowego, skąd donośnym głosem kibicuje swojej córce.

Szczerze mówiąc, nawet się cieszę, że mojej mamie na coś takiego brakuje zarówno czasu, jak i tupetu.

Jeśli zamiast grzecznie robić rozgrzewkę, chowam się za brudnożółtymi górami szwajcarskiego sera z gumy piankowej, to wcale nie muszę się zbytnio Pietrać, bo nasza trenerka, w przeciwieństwie do lamparciej mamy Żanny czy Żakliny, przyjmuje takie drobne oszustwa z humorem. Leniuchowanie za plecami ogromnych, gąbczastych kostek to przywilej, o jakim taka Żanna czy Żaklina może tylko pomarzyć.

Jeden jedyny raz nocowałam u Żanny czy Żakliny. W tamtym czasie jej rodzice, których mój tato, liczący się zazwyczaj ze słowami, w mało pochlebnym tonie nazwał „nuworyszami”, usiłowali dość nachalnie zaprzyjaźnić się z moimi rodzicami.

Najwidoczniej cząstka „von” w naszym nazwisku przydawała nam atrakcyjności...

Kolacja podczas mojej pierwszej i ostatniej wycieczki z noclegiem w tej jaskini kiczu przeobraziła się w nieprzyjemne przesłuchanie, które z perspektywy Lamparcicy przebiegło niezadowolająco.

Moi rodzice niechętnie mówią o przeszłości, a mojego dziadka, który tak żywo interesował Lamparcicę, nigdy nie poznałam. Nie mogłam więc odpowiedzieć prawie na żadne z naszpikowanych bryzgami potraw i śliny pytań, którymi mnie bombardowała. A nawet jeśli wiedziałabym coś więcej o rodzinie „von Braun”, to i tak nie mogłabym o niej opowiadać z wielkiego obrzydzenia do trzech tłustych, węszących żer persów, które co chwila wskakiwały na stół i między talerze. To kocie trio, które na każdym piętrze domu zostawiało po sobie kłęby włosów i przenikliwy zapach moczu, przyprawiało mnie o gwałtowne fale mdłości, odbijające mi się z chlupotem o gardło.

Jedyne, co z uprzejmości mogłam z siebie wydusić, ale też żeby nie rozczarować zbytnio Lamparcicy, to informacja, że przeważająca część mojej rodziny od dawna mieszka w Stanach Zjednoczonych.

Siedzę na taborecie obitym skórą.

Tam, gdzie powinna być *Szkoła na fortepian*, wiszą przymocowane taśmą klejącą rysunki. Oczami wędruję po ścieżkach kolorowych kredek. Palce, dopiero co brzdąkające po klawiszach w jęklwym wysokim rejestrze, odpowiedniku Lamparcicy i jej świty strachajłów, wracają na bardziej ludzkie niwy i budzą do życia inne melodie wymyślone podczas leżenia na brzuchu.

Pękając z dumy, prezentuję moje nowe utwory, publiczność słucha jak urzeczona. Włożyła czapkę niewidkę, żeby nie spowodować zakłóceń i pozwolić pianistce osiągnąć najwyższy poziom skupienia. Ledwie przebrzmiały ostatnie takty adagia pod tytułem „Kopia”, w galerii rozlegają się huraganowe brawa.

Właśnie wtedy, gdy zamierzam się zsunąć ze skórzanego taboretu i zgodnie z moim od niedawna praktykowanym zwyczajem ukłonić w pas słuchaczom, skromnie spuszczając powieki, między oklaskującą mnie publiczność wdziera się głośnie chrząknięcie. Zirytowana obracam się w kierunku, skąd dobiega odgłos – to mój tato.

Przedarł się jakoś przez gąszcz w swoim gabinecie i dotarł do zielonej polany dywanu na galerii. Odchrząknąwszy, mówi:

- Tego jeszcze nie znam...
- Bo to jest zupełnie nowe. Zobacz, to „Egipcjanin”, a to „Kopia” – podsuwam mu pod nos partytury portretów.
- Uhm... a co to za Lamparcica?
- Jaka Lampa... – aha! To mama Kopii!
- Ach tak?... Mama... – przerwał zamyślony. – Kiedyś był taki sławny pianista, który też podczas gry sobie mamrotał pod nosem... Nazywał się Gould. Glenn Gould.

Nabożnie powtarzam miękka, przymilną kombinację głosek, dającą się rozciągać jak guma do żucia:

- Gleeennn Gooouuuuld.
- Chodź, coś ci pokażę!

Tato prowadzi mnie za rękę do dużego regału z kolekcją płyt. Szybko przesuwając palcem po cienkich grzbietach okładek, z kwadratowego opakowania wyjmuję pewnym ruchem krążek i wciska mi go do ręki.

W górnej części okładki piętrzą się napisane tłustym drukiem litery nazwiska GLENN GOULD w kolorze złotym i czarnym.

Udziesięciokrotnione nazwisko pianisty łączy białe połyskliwe tło w górnej części kwadratu z biało-czarną fotografią u dołu.

Zdjęcie jest ziarniste, trochę zamazane... Przedstawia młodego mężczyznę w prześwietlonej koszuli lśniącej blaskiem. Pianista trzyma obie ręce na klawiaturze, nie może więc odgarnąć z czoła ciemnego, ciut niesfornego kędziora, który opada mu na twarz. Ma lekko otwarte usta, niemal tak, jakby śpiewał. Najbardziej uderzająca jest jednak pozycja jego ciała, sposób, w jaki zgina plecy i pochyla się nisko, bardzo nisko nad klawiaturą.

Snuję przypuszczenia, że może podobnie jak ja chciałby wczłgać się między klawisze...

Tuż nad jego zgarbionymi plecami widać napisy:

„Beethoven: Sonata No. 30 in E Major, Op. 109.

Sonata No. 31 in A-Flat Major, Op. 110.

Sonata No. 32 in C Minor, Op. 111”.

Mój tato nastawia płytę.

Igła wędruje po rowkowanej czerni. Dźwięki fortepianu wypełniają przestrzeń.

Słuchamy w skupieniu, aż na zewnątrz zapadnie zmrok, a wewnątrz cisza.

12.

Wciskam kwadratowy, brudnobiały przycisk dzwonka, koniuszek palca niemal całkowicie znika w ścianie. Głębiej się nie da.

Dzwonek dźwięczy za drzwiami przenikliwie.

Palec dziobie i uparcie dręczy przycisk.

Trzeci raz.

Czwarty raz.

Właśnie przymierzam się do piątego uklucia, gdy w domofonie rozlega się twój trzeszczący głos. Moje ciało odpowiada na trzeszczenie rutynową sekwencją ruchów, zbliżam więc usta do głośnika. Potem zawsze następuje ta sama formułka:

– To ja, LottaLuizaŁucja. Wyjdiesz na dwór?

Krótką chwilą ciszy.

– Hm... mój brat jest akurat u nas... Wejść najpierw!

Rzucam się do brzęczących drzwi i w klatce schodowej łapię kilka ostatnich haustów powietrza bez dymu papierosowego.

Wiele kosztuje mnie wepchnięcie siebie samej za próg i zanurzenie w mętnych wodach twojego mieszkania. Najchętniej wstrzymałabym oddech, zamknęła szczelnie usta, nos i oczy, chwyciła ciebie za rękę i jak najszybciej uciekła na świeże powietrze.

Ale nie robię nic z tych rzeczy.

Zamiast tego skinieniem ręki daję się zaprosić do środka. Przez grzędawisko cieni w przedpokoju bez okien przechodzę po omacku do dużego pokoju. Zezują na mnie podejrzone przedmioty, pograżone w mokradłach półmroku.

Trzymam się prosto jak świeca. Żeby tylko nie okazać strachu! Wszędzie coś się czai i czyha. Złe zamiary spowija siny woal. Zza przymkniętych drzwi sypialni dobiega groźne chrapanie.

Przyjście do ciebie do domu przypomina mi próby pływania w stawie Häcklerweiher, co wywoływało u mnie panikę... Oczami wyobraźni widzę dno jeziora, tysiące sideł, węzowych cielsk i oślizgłych ryb, które uwijają się pod wodą i łapią mnie za nogi...

Niewiedza i podejrzenia o wszystko – to ponagla do pośpiechu każdy mięsień drżący ze strachu.

Przerażenie.

Żarliwe akty strzeliste na chwilę przedtem, zanim tafla wody zamknie się nad głową, a potem z trwożnym sercem, walącym jak oszalałe, podniosę tchórzliwe powieki, by wreszcie rzucić pierwsze pełne lęku spojrzenie przez szkła okularów do nurkowania i – nic nie zobaczyć.

Nic, tylko brunatnozielona toń.

Woda ciągle ukrywa w sobie zagrożenia; ani myśli je wyjawic.

Wszędzie czyhają niebezpieczeństwa. Tak jak tutaj...

Poszłam więc za tobą. Prostą drogą ku błędnemu ognikowi.

Twój brat, na wpół zanurzony w pluszu ochrowej kanapy, celuje pilotem w ekran i zmienia nim kolor.

Dostrzegam zasadzkę i stoję, chcę uniknąć pluszowych siedzeń. W duchu kręcę głową nad łatwownością, z jaką zbliżasz się do miękkich poduch, które przysysają się do ciebie, ledwie na nich usiadłaś.

Nieufnie siadam maleńkim kawałeczkiem pośladka na skraju oparcia. Pluszowe macki kanapy przyprawiają mnie o ciarki pełnzące mi po plecach i ramionach.

Szukając czegoś, co odwróciłoby moją uwagę, zwracam się twarzą do ruchomych obrazów.

Telepatrzydło prezentuje tabliczkę z tajemniczymi znakami. Odczytuję nazwisko „Paula Abdul”, a poniżej „Opposites Attract”.

„Abdul”... brzmi jak z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Oczami wyobraźni widzę latające dywany, na których siedzą Szeherezada, Sindbad Żeglarz, Aladyn, król Salomon, Ali Baba i czterdziestu pachnących złotem, kadzidłem i mirrą rozbójników... Zanim im zdążę pomachać ręką, obraz w telewizorze się zmienia.

Pojawia się młoda, ciemnowłosa kobieta o ustach pomalowanych jaskrawoczerwoną pomadką. Śpiewa, uśmiecha się i mruży figlarnie oczy do kamery. Gdy tylko choć lekko odchyli głowę, ogromne błyszczące kolczyki muskają jej nagie ramiona.

Najwidoczniej moja obecność pobudza twojego brata do rozmowy.

Rzuca obowiązkowe pytanie o szkołę. Nie mogę znieść jego głosu, odpowiadam, nie odrywając oczu od ekranu.

Tymczasem obok piosenkarki z gigantycznymi kolczykami pojawił się towarzysz. Brązowy kocur z kreskówki, zamieszkujący wgniecione pojemniki na śmieci w jakimś obskurnym podwórzu, stara się o jej względy tańcem i śpiewem.

Ni z tego, ni z owego długie, bratnie ramię śmiga ponad plusz i zawisa kilka sekund nad twoją kręconą czupryną, by po chwili rytmicznie popukać cię twardym plastikiem pilota w czoło.

Jasne, że nie mam żadnych problemów w szkole... ale ta tutaj – mówi i puka dalej – ta tutaj to pusta pała!

Paula Abdul ma teraz na sobie krótką sukienkę bez ramiączek. Kocur oparzył sobie palec wskazujący, dotykając jej ramienia. Czerwony spuchnięty palec pulsuje do taktu. Kocur dmucha na niego w popłochu.

Słyszę głos brata, pyta, czy wiem, że musisz powtórzyć klasę. Ze zdziwienia unoszę brwi i obracam się w jego stronę.

Nie, tego nie wiedziałam.

Pod ceglany murem okalającym podwórze stoją dwa wymontowane fotele samochodowe. Kocur rzuca na siedzenia Paulę, która tymczasem zmieniła sukienkę na błyszczącą skórzaną kurtkę oraz obcisłe dżinsy, i przytrzymuje ją za rękę. Pysk przysuwa blisko do jej twarzy.

A ty siedzisz niezwykle cicho, ze wzrokiem utkwionym w przepelnioną niedopałkami popielniczkę.

– No tak... zapomniała języka w gębie... – Michał, Daniel, Rafał, czy jakkolwiek inaczej ma na imię twój brat, ściąga wkurzony brwi. Pod cienki wąsik wtyka papierosa i każe go sobie zapalić.

Srebrny boombox wydaje żółte, niebieskie i jaskraworóżowe nuty. Nierówna para tańczy wśród kominów fabrycznych. Ogon kota wsuwa się pod obrębek sukienki mini i podrzuca ją do góry...

MichałDanielRafał przesuwa się na twoją połowę kanapy i kładzie ci rękę na ramieniu. Parkuje papierosa w popielniczce, mruga do mnie porozumiewawczo i ciągnie za dekolt twojego T-shirtu. Zerka tam pożądliwie.

– No... już coś tam rośnie – śmieje się i skubie cię za sutki.

W tej chwili ogon kota podpełza do dekoltu Pauli, która to zauważa i karze koci wypad energicznym kłapsem.

Ty nie karcisz nikogo. Ani drgniesz.

– Przynajmniej te dwie dobre cechy, co nie? – ryczy brat, obmacując cię dalej. Czerwienisz się jak rak.

Robi mi się niedobrze. Moje ciało protestuje przeciw płytkiemu oddychaniu i powietrzu, które zdaje się gęstnieć z sekundy na sekundę.

Paplanina brata powleka przestrzeń jakby lepкими smugami oleju. Na myśl przychodzą mi katastrofy tankowców i zdychające ptaki morskie, szarpiące się w czarnym szlamie.

Seksowna Paula i jej koci chłopak w okularach przeciwsłonecznych dawno już wzięli nogi za pas.

Mam tego dość. Zrywam się na równe nogi, łapię cię za łokieć i wyciągam z głębi ochry.

– Idziemy stąd! – mówię i wyganiam cię z pokoju na świeże powietrze.

Później, pomiędzy jednym pysznym haustem powietrza a drugim, kręcę nosem, czując zapach mojego T-shirtu. Mam nadzieję, że mieszanina wstydu i dymu, zalatująca znad ramion, zniknie po następnym praniu.

13.

Zamieniam cienką *Szkołę na fortepian*, białą jak porcelana z pewnej kolekcji słoników, na przysadzisty śpiewnik w plastikowej, jaskrawoczerwonej okładce, śmiało mogącej konkurować z księżowskim nosem.

Znowu mam dyżur ministrancki.

Prędko, prędko, buty, kurtka i pędem na wzgórze, dokąd wspinam się również w piątki, kiedy mam lekcje fortepianu. Dlaczego mój czas wolny musi być wypełniony akurat takimi zajęciami, na których trzeba milczeć, siedzieć spokojnie i trzymać dłonie włożone w ramy ustalonej formy, wyznaczającej każdemu paluszkowi – zgiętemu, krzyżującemu się czy uderzającemu – stałe, nieodmienne miejsce?

Na wierzchołku wzgórza z kościołem i fortepianem przebiega szara, długa na jakieś dwadzieścia metrów rura, na którą mówimy „tunel” (wymowa: *tunell*, e i ostatnia sylaba akcentowane). Po dachu tunelu roznosi się szum i huk ruchu na trasie krajowej (Bundesstraße 30). W środku, pod osłoną zabazgranej licznymi graffiti ciemności, kryją się podobno pedofile i faceci w trenczach, którzy swoje nagie ciała podsuwają najchętniej pod nos niewinnym, świeżo upieczonym ministrantom.

Sama jednak nie natknęłam się jeszcze na ani jednego z tych ochoczo obnażających się panów. Egipcjanin też nie. Jasne. W końcu każdy wie, że zboczeńcy lecą wyłącznie na dziewczynki. Przed oczyma Żanny czy Żakliny, jeśli wierzyć jej opowieściom, został rozpięty już niejedyn płaszcz... Tylko mnie, skradającej się co niedziela przez tunel w ogromnym napięciu, duchowo przygotowanej na zaczepki, nagość i molestowanie, mnie najwidoczniej nikt nie chce traumatyzować, co sprawia, że wyjściu za każdym razem cało z tunelowego mroku towarzyszy małe rozczarowanie.

Można mówić o szczęściu, że tyle ministranckich dyżurów egipskich zbiega się z dyżurami von Braunów – okoliczność ta

zmniejsza o połowę katusze śmiertelnej nudy, absolutnego braku jakichkolwiek wydarzeń na tym odcinku drogi, który musimy przebywać.

Również dzisiaj stosujemy się do instrukcji zawartych w dzienniku urzędowym. Wspólnie pielgrzymujemy pod górę, na wzgórzu mijamy klasztor i szkołę dla ociemniałych, aż wreszcie idziemy po chrześzczącym nam pod nogami żwirze przez dziedziniec do zakrystii kościoła parafialnego pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela.

Boża hala produkcyjna to podłużna, prosta, surowa i niemal pozbawiona ozdób budowla z wysokim szczytem i stromym, jasnoczerwonym dachem. Zachodnią ścianę szczytową zwieńcza nie okazała kościelna wieża, lecz pocieszna, sześciokątna wieżyczka, usadowiona okrakiem na kalenicy jak rycerz na koniu. Krótka, klockowata sygnaturka z hełmiastą kopułą przynosi chlubę takiemu porównaniu. Zawzięcie trzyma się budynku; całkowicie zdecydowana ujeżdżać i ujarzmiąć to białe, podłużne coś, żeby wciąż posłusznie przypominało kościół.

Jasne, na architekturę naszego szacownego kościoła prawie w ogóle nie zwracamy uwagi – jego widok już dawno nam się opatrzył. Może czasem zerkniemy w górę na zegar, stwierdzimy, że jak zwykle jesteśmy spóźnieni, i pobiegniemy dalej.

Jedna z niewielu przyjemności, jaką mają ministranci, polega na tym, że do Domu Bożego mogą wśliznąć się tylnym wejściem, oszczędzając sobie wysiłku przy otwieraniu ciężkiego portalu.

Ktokolwiek odlewał kiedyś tę główną bramę o szpiczastych skrzydłach, musiał według nas popełnić błąd w rachunkach. Może poprzestawiał zera, opuścił je lub niechcący dopisał. Wyobrażaliśmy sobie, jakoby solidny na początku mur kościelny z czasem coraz mniej wytrzymał napór tej o wiele za ciężkiej bramy i dlatego pewnego dnia miała się ona cofnąć w głąb budynku o całe sześć łuków portalu, gdzie pozostała do tej pory – pewnie w nieustannej gotowości, by zatrzaskać się bezlitośnie. Byliśmy więc przeświadczeni, że stanowi ona niebezpieczeństwo dla dzieci oraz niedołężnych starców i staruszek...

Razem z Egipcjaninem przetrząsamy zatęchłe szafy w zakrystii w poszukiwaniu ministranckich szat, na tyle długich, by zakryć nasze poplamione trawą spodnie, ale nie tak długich, żeby się w nie zaplątać. Jeden fałszywy krok wystarczy, by nadepnąć na brzeg

tuniki, jedno niezdarne potknięcie i trzask, lichtarz rozbije się w drobny mak. Nie mówiąc już o groźbie poplamienia dziekanowi winem mszalnym haftowanego ornatu, którego z całą pewnością nie można prać w pralce. Nie! O potknięciu się nie może być mowy.

Zakrystianka sprawdza długość szat liturgicznych, jakby od tego zależało zbawienie jej duszy. Oczywiście trzeba też poprawić drewniane krzyże dyndające nam na szyi na długich, jasnych sznurkach; nie mogą one mieć długości psiej obroży ani sięgać do pępka, przy czym największe *faux pas* to krzyż wiszący zbyt nisko, w niebezpiecznej bliskości nieczystych okolic bioder.

W pewnym momencie, pod koniec tego całego zamieszania wokół ubioru, ustawiamy się w szeregu do wymarszu i przy akompaniamencie grzmiących organów ruszamy żwawo ku wiernym: czerwono-biali giermkowie o mlecznobiałych buziach podążający do ołtarza za brzuchem dziekana w brokacie, który błyszczy jasno w świetle wpadającym z ukosa.

Zwykle siedzimy z moim egipskim przyjacielem naprzeciwko siebie. Za jego plecami doczesne szczątki świętych Donata i Bonifacego przeciągają się w szklanych trumnach. A ja mam na karku krzyż morowy.

Pośrodku pływa ozdobiona kwiatami wyspa ołtarza.

Dziekan szybko kursuje między amboną a blokiem z rdzawego piaskowca. Nie widzi, że bawimy się sznurkami, a krzyżyki odwracamy z góry na dół... Tylko niespokojne i czujne oczy zakrystianki niczym ochrona osobista podczas uroczystości państwowej lustrują szereg po szeregu i dostrzegają wszystko. Gestykulacją i sykami grozi nam, że jeśli natychmiast nie przestaniemy rozrabiać, to...!

Ci, którzy przez wiele długich nabożeństw wpatrują się sobie nawzajem w oczy, uczą się właściwie interpretować nawet najsubtelniejsze mimiczne aluzje.

Może się więc na przykład zdarzyć, że klęcząc na stopniach wyspy ołtarzowej i dzwoniąc na podniesienie, na umówione skinienie głową zmieniamy nagle rytm dzwonek, nieźle urozmaicając tym rutynę liturgii, co dziekana i stare babcie w pierwszych ławkach zawsze niezawodnie doprowadza do pasji.

Czasami zdarzało się, że nie tolerowano naszych chichotów i głupich min. Wtedy zakrystianka wyprowadzała nas z kościoła przez nawę boczną, przejściem obok eleganckiej świętej Małgorzaty, wspomóżycielki ludu w potrzebie, która „trzymała szatana na uwięzi jak psa”, i obok obdarzonej stygmatami Dobrej Elżbiety z Reute w mistycznej ekstazie, na żwirowy dziedziniec. Tam musieliśmy przeczekać, aż nabożeństwo się skończy.

Resztę mszy, z której przez grube na metr mury nie przebijało się na zewnątrz niemal ani jedno słowo, spędzaliśmy, dzieląc się jabłkami z przyległego ogrodu klasztornego. Uroczyście podnosiliśmy ręce do nieba, razem wołając w uniesieniu: „To czyńcie na moją pamiątkę!”, po czym odgryzaliśmy pokąźny kęs.

Kiedy wreszcie rozbrzmiewały dźwięki organów do pieśni na zakończenie mszy, zawsze mi było żal, że nie mam odwagi od razu wskoczyć na ołtarz i z podkasaną tuniką radośnie odtańczyć kankana. Wtedy organista oczywiście w lot zdałby sobie sprawę ze zmiany sytuacji, przerwałby majestatyczną grę i podłożył żywiołową muzykę w metrum 2/4 pod mój taniec z wymachami nagich nóg. Wszyscy wierni noszący spódnice lub habity, i ma się rozumieć też dziekan, zachwyceni poszliby za moim przykładem i utworzyli długi rząd zadzieranych w górę nóg oraz kołyszających się bioder.

Umęczony, cierpiący Sługa Boży, który od lat spogląda mi z krzyża przez ramię, ten opuszczony Mąż Boleści o ciele wykrzywionym bólem i usianym kroplami krwi, natychmiast uległby zapomnieniu.

Rany, pręgi, siniaki, wystające żebra, zniekształcone rysy – nic, tylko rozplywające się we mgłę przeszłości wspomnienie niczym obraz malowany techniką sfumato.

Miałam pewność: kto pragnie zbawienia duszy i całkowicie oczyszczonego umysłu, musi zapamiętałe wymachiwać nogami!

Egipcjanin niestety nie palił się zbyt do tańczenia kankana.

Nie chciał choćby spróbować.

Nawet w tunelu, gdzie nikt poza pedofilami i facetami w trenczach nie widziałby go przecież.

14.

21.12.1990

Przysuwam stół przed kanapę do biblioteczki z encyklopediami Brockhousa w okładkach jakby powleczonych czerwonym lakierem do paznokci, a stamtąd wspinam się na górną półkę. Litera B znajduje się na niebezpiecznej wysokości, ale dzięki temu, że napinam maksymalnie mięśnie i ścięgna, wyciągam się jak struna i balansuję ciałem na czubkach wszystkich palców, udaje mi się dosięgnąć tego tomu. Paznokciem prawego środkowego palca zaczepiam o brzeżek grzbietu książki. Pociągam ją do siebie, aż tomisko rusza z miejsca, przechyla się i wyslizguje z obwoluty prosto w moje ręce.

Zejscie z ekwipunkiem jest o wiele trudniejsze, niż myślałam, ale nie daję za wygraną. Niewzruszenie, z książkowym trofeum mocno zaklinowanym między klatką piersiową, pachą i ramieniem, schodzę w dół do bazy założonej w dolinie o nazwie kanapa.

Przesłuchanie podczas noclegu w kiczowatym domu Lamparcicy nie przeminęło bez śladu. Każde pytanie pozostawiło mały, ostry odcisk obcasa na parkiecie mojej głowy, Lamparcica przemaszerowała po nim zupełnie bezmyślnie w szpilkach.

Moja piękna, gładka, absolutnie niewątpliwa przeszłość – w ruinie.

A rodzice?

Ani mru-mru, ani słówka nie pisną, tylko wciąż zbywają mnie niedopowiedzeniami.

Większość moich przodków zdaje się skrywać za ostrzegawczą, czerwoną kurtyną tabu. Dlaczego – nie wiadomo.

Nie lubię żebrać o odpowiedź. Na szczęście mamy regały pełne Brockhausów, obowiązuje więc prosta zasada: biała plama albo lektura, wiedza albo niewiedza, na liście haseł albo poza nią. Niczego nie można przemilczeć.

Na widok książek przychodzi mi nagle na myśl coroczna „Gimnastyka Mikołajkowa”...

Jeden z członków klubu gimnastycznego paraduje w przebraniu wzdłuż drabinek, rozdając wszystkim mandarynki, a towarzyszy mu kompan z ciężkim workiem na zgarbionych plecach – Pacholek Ruprecht... Przebieraniec otwiera oczywiście raz po raz złotą księgę, na co mali i najmniejsi gimnastycy bledną z przerażenia i chowają głowy w swoje żółte trykoty. A przecież „księga” to tylko sama okładka wykonana ze złotej cynfolii przez którąś matkę biegłą w rękodziele...

Ostrożnie przesuwam kciukiem po złoconym brzegu leksykonu. Jeśli rzeczywiście istnieje jakaś „księga wiedzy”, to musi nią być właśnie Brockhaus. Fakt, że potrzeba nie jednego tomu, lecz trzydziestu woluminów oraz całej ściany półek, by objąć wszelką mądrość, umacnia we mnie nadzieję, że jest on nie tylko wiedzący, lecz może nawet wszystkowiedzący. Zdecydowanym ruchem otwieram tomiszczę na pierwszej stronie.

No, książko, teraz możesz udowodnić, ile kryje się w tobie prawdziwej uczoności!

Bl... Bo... Bp... Bra... stop! Tu jest – Braun.

Przeskakuję naukę o kolorach.

Na kolejnych stronach wymieniony jest cały szereg różnych Braunów. Ale żaden z polityków, naukowców, pisarzy czy aktorów nie zbliża mnie ani na cal do odpowiedzi, której szukam.

Moje zaufanie do encyklopedii kurczy się i marszczy jak stary balon. Już chcę dać za wygraną, gdy mój wzrok nagle zatrzymuje się na następującym akapicie:

„Wernher von, właśc. W. Magnus Maximilian Freiherr von Braun. Amer. konstruktor rakiet pochodzenia niem. Ur. 23 marca 1912 w Wirsitz, Niemcy (obecnie Wyrzysk, Polska), zm. 16 czerwca 1977 w Alexandrii, Stany Zjednoczone. Na zlecenie Głównego Urzędu Uzbrojenia Wojsk Lądowych (Heereswaffenamt) od 1932 pracował nad konstrukcją rakiet na paliwo ciekłe, a rok później został dyrektorem techn. w raketowym ośrodku doświadczalnym w Peenemünde (w tym samym roku wstąpił w szeregi NSDAP); w ośrodku (po jego zniszczeniu w 1943 kontynuował prace w obozie koncentracyjnym KZ Mittelbau-Dora koło Nordhausen) był głównym projektantem rakiety na paliwo ciekłe Agregat 4 (później pocisku balistycznego V2), od 1945 prowadził dalsze badania w USA (obywatel Stanów Zjednoczonych od 1955); pracując na kierowniczym stanowisku w agencji kosmicznej NASA (m.in.

dyrektor Centrum Lotów Kosmicznych w Huntsville, Alabama), przyśpieszył skonstruowanie rakiet nośnych w ramach amerykańskiego programu badań przestrzeni kosmicznej, m.in. rakiety Jupiter C, która w 1958 wyniosła na orbitę pierwszego amer. sztucznego satelitę Ziemi Explorer 1, oraz rakiety Saturn V, która została wykorzystana w amer. programie księżycowym Apollo”.

Oho!

Triumfuję, siedzę na moim wyściełanym tronie, w obitym skórą orlim gnieździe wiedzy.

Gdzieś głęboko u moich stóp machający rękami rodzice, a w jeszcze głębszej głębi – Lamparcica.

Ale nie pora teraz na świętowanie zwycięstwa – upominam samą siebie i wbiegam co tchu po schodach, przeskakując po kilka stopni naraz, na galerię. Z brzuchem i twarzą wciśniętymi w dywan przy pianinie wyjmuję spod instrumentu mój ściśle tajny notes w kratkę w rozmiarze DIN A6.

Już w pokoju dziennym przepisuję z leksykonu hasło z oddaniem godnym średniowiecznego mnicha. Nie opuszczam ani jednego nawiasu, ani jednego przecinka, ani jednej kreski i ani jednej kropki.

15.

28.12.1990

Facet w krawacie odczytuje jakiś tekst. Z doniesień zionie nudą.

Audycja składa się w gruncie rzeczy z ciągu podobnych obrazów powtarzanych bez końca: mężczyźni w garniturach, mężczyźni w mundurach. Kobiety i dzieci na tle wypalonych suszą lub zalanych wodą krajobrazów. Podziurawione budynki w ruinie na zmianę z lśniącoymi jak lustro fasadami. Ludzie gestykulujący zza pulpity, to wygrażający pięściami w pułkach. Wychodzą na ulice, niektórzy z gwizdkami, a wszyscy czegoś żądają. Zygzak obrazujący wartość pieniądza robi, co chce. Flagi i plakaty w barwach podstawowych. Ktoś się za czymś opowiada, kogoś o coś oskarża. Zgrywający ważniaków członkowie grup skracają nazwy swoich organizacji do kilku wyrazistych liter. Skrótowce pojawiają się po lewej ręce faceta w krawacie, którego w wolne dni zastępuje gładko uczesana pani w trochę staromodnym kostiumie.

Rodzice siedzą z oczami wlepionymi w ekran. Nie mogą uronić ani jednego słowa i ani jednego gestu z tego codziennie nadawanego piętnastominutowego programu, w końcu wyłącznie z tego powodu sprawili sobie telewizor.

Kto ogląda telewizję już przed godziną 20:00 albo, broń Boże!, jeszcze po godzinie 20:15, jest prostakiem. To oczywiste jak dwa razy dwa.

Nagle w pokoju robi się ciemno. Przed nami migocze mgielna, ziarnista czerń nocy. W ciemności coś się roi i rusza; obraz tworzą jakby biliony mrówczych ciał.

Cienie, nie wiadomo przez kogo rzucone, rozłamują powierzchnię na kawałki. Zarysowują się kontury szarych, brązowych i niebieskawych pól. Chociaż nie widzę ludzi ani domów, wyczuwam ich obecność gdzieś w tej mrocznej kipieli.

Ciemna skorupa pęka bez ostrzeżenia.

Ze środka obrazu tryskają jaskrawozielone strumienie lawy.

Gwiazdy koloru naklejek odbłaskowych rozkwitają na niebie.

Na prawo i lewo jak okiem sięgnąć coś skrzy, trzaska i szumi. Komety ciągną za sobą warkocze. Krzywe się zatrzymują – zieleń nocnych widoków tęczy.

Gdy facet w krawacie wymienia słowo „rakiet”, nadstawiam uszu. Ostrożnie zerkam na rodziców.

Malujące się na ich twarzach przerażenie potwierdza moje przeczucia.

Brockhaus nie kłamał. Ich strapione miny są dla mnie wystarczającym dowodem – to my jesteśmy potomkami konstruktora rakiet, jak amen w pacierzu!

Przeorane zmarszczkami niepokoju czoło taty, jego ramiona kulące się z przygnębienia na widok zielonego jak żaba fajerwerku pokazują wyraźnie – to dziedzictwo go przygniata. Nie chce być ani podżegaczem wojennym, ani też potomkiem kogoś takiego.

Chcę go pocieszyć, tulę w moich krótkich ramionkach. Przecież on nie jest temu winien...

Czuję coraz większe obrzydzenie, gdy widzę, jak język faceta w krawacie liże słowo „wojna”, aż traci ono znaczenie.

Co nasza rodzina von Braun może poradzić na to, że nasze wynalazki nie są używane zgodnie z przeznaczeniem?

Rakiety powinny latać na najwyższych wysokościach i w najdalszej dali, a nie tu, na tej małej, ciasnej kuli ziemskiej – myślę i obejmuję tatę po raz drugi.

Na prognozę pogody twarze się wygładzają. W sylwestra ma spaść śnieg. Świetnie.

16.

31.12.1990

Mama nie chce widzieć w domu ani ziarenka prochu czarnego.

To znaczy, że również w tym roku z naszej działki po wschodniej stronie ulicy Jeleniej czy Sarniej, Żabiej lub Sowiej nie wzniesie się ku niebu żaden efekciarski warkocz iskier.

Odkąd znam przyczynę maminej niechęci, rezygnację z fajerwerków znoszę o wiele lepiej.

17.

Kolejny miesiąc rozkoszy. Pełen słońca, wysokiej, jasnozielonej trawy, w której wytyczamy labirynt ścieżek.

Naprężam się nad zielenią i wyprostowuję jak świeca, zanim upadnę na wznak. Najpierw odrywają się od ziemi palce nóg, potem śródstopie. Już unoszę się na ukos w powietrzu, pod piętami dwa małe wgłębienia. Ziemia przyciąga moje plecy całą siłą ciężenia. Nie stawiam oporu, dłoniom i ramionom pozwalam się swobodnie kołysać. Nie muszą mnie one podpieścić ani podtrzymywać, ani też niczemu zapobiegać. Chwyta mnie i sprężynuje materac z trawy, który zapewnia miękkie lądowanie. Tak powstają niecka, dołek, dziura, czy rynna, rowek, bruzda, powstają przejścia, ścieżki, korytarze – cała sieć naszych dróg przecinających łąki, łany, błonia.

Szlaki przetarte w zielonej krainie mają moją lub twoją, lub swoją szerokość, ścieżki długości kilku naszych sylwetek prowadzą do „pokojów”, do takich okrągławych połaci ziemi w polu, rozwałkowanych i rozplaszczonych naszymi ciałami.

Leżę brzuchem na pistacjowym prześcieradle i liczę kolorowe ciapki. Ależ ono jest poplamione!

Makowe panienki obok mnie tańczą flamenco. Na ich widok rumianki bledną z zazdrości. Żółte mniszki wznoszą do nieba chabrowe oczy. Żłociste nachyłki kłaniają się stokrotkom do samej ziemi. Gdy odwracamy się na plecy, możemy oczami pogłaskać baranki na niebie, a zarazem po omacku podrapać kwiatostany krwawnika wełnistego.

Mijający nas spacerowicze nie mają zielonego pojęcia o nas, czyli o mnie i o JaśminieCelinieJustynie, czy o mnie i Egipcjaninie, czy też o całej trójce. Naszą kryjówkę znają jedynie ptaki. Siadają na drzewach i płotach, pitpilitają i plotkują o wszystkim, popełniają jedną niedyskrecję za drugą, zdradzają nas codziennie. Ale daremnie. Nikt ich gwizdów nie rozumie.

Pozostajemy w ukryciu. Połknięci przez dżunglę żdźbeł.

Niejedna rzecz, zaniesiona w żywe kopy siana, znika tam na zawsze.

Jak Śnieżynka, ten debilowato szczerzący zęby konik z plastiku o fioletowych ślepiach i dwóch rżęsach. Słowo „plastik” czyni tu niemal zbędnym wyjaśnienie, że to ty oczywiście byłaś jej szczęśliwą posiadaczką...

Śnieżynka miała fakturę typową dla piszczących kaczuśzek, tylko bez wentyla, więc nie wydawała odgłosów. Była niemym, złożonym z głowy i tułowia kawałkiem masy plastycznej z ogonem i grzywą do czesania. Miała kolor jaskraworóżowy. Jaskrawy róż z dużą ilością mleka. Wprawdzie stała wszystkimi czterema kikutami kończyn (w miarę) stabilnie na ziemi, łatwo dawała się jednak katapultować aż na wysokość wierzchołka wiśni dzięki wymachom rąk i wyrzutom nóg.

Nienawidziłam Śnieżynki od pierwszej chwili.

To lizusowskie, spragnione czułości podnoszenie głowy i nadstawianie szyi do pogłaskania budziło we mnie potrzebę wsunięcia paznokci w spoinę między łbem a tułowiem i oderwania jednego od drugiego raz na zawsze.

Ta cukierkowata żebranina o okruchy przychylności wywoływała we mnie szczególny rodzaj zniecierpliwienia, które objawia się świerzbieniem rąk i swędzeniem między nogami.

Napięcie wymagające rozładowania. Elektryczne impulsy spływające do dłoni zaciskających się w pięść, żeby trzasnąć jak z pistoletu bolcowego w czaszkę tego Śnieżogówna.

Ale zwierzak nie należał do mnie, więc nie pozostało mi nic innego jak tylko wiecznie go głaskać, przyciskać i obejmować, jak tylko przesuwać dłonią po jego ciele i czasem, gdy JaśminaCelinaJustyna na to pozwalała, wysyłać z impetem to różowe bydłatko w wiśniowo nakrapiane przestworza...

Pewnego razu jednak – a zdarzyło się to podczas naszej zabawy na polu w dniu katapultowania – tor lotu Śnieżynki skończył się zbyt wcześnie. Z pogodnego nieba zabawka runęła nagle w dół, zanim zdążyła dotrzeć na ratunkową platformę drugiego pokoju udeptanego w trawie przez JaśminęCelinęJustynę. Tragiczny upadek w niezgłębioną otchłań zieleni, której nikt nigdy dotąd nie przemierzył, zaskoczył nas kompletnie. JaśminaCelinaJustyna stała jeszcze dobrą chwilę, oczekując na Śnieżynkę z szeroko rozłożonymi ramionami i wzrokiem utkwionym w błękit. Pełne

niepokoju wołania dolatywały z pokoju do pokoju. Trwożliwe głosy znad oceanu wysokich traw.

Zdecydowałyśmy, by natychmiast rozpocząć akcję poszukiwawczą na wielką skalę.

Późnym popołudniem nie było już ani jednego pasemka trawy, którego byśmy nie przeczesaly palcami zabarwionymi na zielonkawo.

Śnieżynka przepadła bez śladu.

Na myśl, że wkrótce pierwsze śliniki będą pełzać po jej mokrym od rosy ciele, zrobiło mi się wesoło. Natomiast los, jaki mógł konikowi zgotować kombajn, nie przyszedłby mi do głowy, gdyby zmartwiona JaśminaCelinaJustyna nie zwróciła na to uwagi. Zaraz jednak oczami wyobraźni zobaczyłam Śnieżynkę w potężnej, uzbrojonej w żelazne kły paszczy młocarni. Pozostanie po niej zaledwie kilka wiórków niestrawnej dla krów sieczki.

W następnych miesiącach widok kombajnów i beli siana nieodmiennie wyginał mi kąciki ust ku górze. W cudowny sposób kłopot sam się rozwiązał. Dla mnie tak było najlepiej.

18.

Lato 1992.

JaśminaCelinaJustyna siedzi zgarbiona nad grą. Palce mają tu niewielki wybór klawiszy: krzyżak ze strzałkami kierunkowymi, dwa przyciski funkcyjne, cztery przyciski akcji i dwa boczne.

Prawy kciuk ślizga się po okrągłych guzikach, wystukuje kolorowe kody. Po czerwonym–czerwonym następuje zielony–niebieski, a po zielonym–niebieskim żółty–żółty–zielony. Potem znów czerwony. Albo czerwony–czerwony. Ten utrzymany w szarej tonacji instrument o kolorowych przyciskach podobny jest do niewielkiej, brzuchatej, Ignącej do dłoni słuchawki telefonicznej z kulistym głośnikiem czy mikrofonem.

Dźwięk rozczarowuje. Aparat nie jest w stanie wytworzyć pełnego brzmienia. Wydaje zaledwie ciche odgłosy klikania. Zmienia się tylko rytm. W takiej grze z tysiącrotnie powtarzanymi kombinacjami kolorów na przyciskach akcji niemożliwe jest doświadczenie przeżyć estetycznych. Niedbałe ślizganie się kciuka po wypukłych i płaskich powierzchniach sprawia, że kształty strzałek i kółka na przyciskach zacierają się i stają nierozróżnialne. Uderzenie nie jest bynajmniej czyste – to raczej jedna wielka mazanina.

Stacjonarna konsola do gier wybacza to jednak. Jak okiem sięgnąć, żadnej pani Lichtel, która nawoływałaby do wzorowego posługiwania się „kontrolerem”. Kontroler – tak nazywa się słuchawka, do której nikt nic nie mówi; ta gruba, szarawa kość z czterokolorowym brajlem i słownictwem ograniczonym do garstki komend.

W PRZÓD! W TYŁ! W DÓŁ! CIOS! CIOS! CIOS!

W TYŁ! W PRZÓD! W DÓŁ! W GÓRĘ! CIOS! CIOS! CIOS!

Kilka rzuconych odłamków imperatywów. Krótkie rozkazy, jednosylabowe kliknięcia rąk. To nie rozmowy, lecz monologi, bo nawet największa gorączkowość w ruchach żarliwie przyciskających i pocierających palców nie jest w stanie trwale rozgrzać kontrolera, który pozostaje plastikowy, twardy.

Właściwe miejsce zdarzeń, zainteresowań, fascynacji znajduje się o dobry kawałek dalej. Oczy JaśminyCelinyJustyny niczym psie pyski grzebią w jaskrawym, napchanym do niemożliwości świetle na ekranie. Zapatrzona w monitor, obłączona mrugającymi punktami rastrowymi, staje się ona członkiem oddziału bezlitosnych wojowników, dla których połowiczne rozstrzygnięcia, takie jak darowanie komuś życia czy okazanie mu współczucia, mogłyby nie istnieć.

Jedno życie to jeden pasek – czerwony i pełny lub żółty i pusty; wszyscy zaczynają walki z tą samą ilością czerwieni w siłomierzu życia, który unosi się poziomo nad krajobrazem jak próbówka z krwią do analizy. Jeśli przeciwnik jest silny, to przysysa się do paska jak pijawka, napełnia się tą jaskrawą czerwienią, wchłaniając ją, a wyczerpując siebie, przypomina to napalone na cukier dzieci wciągające przez słomkę mrożony napój *slush puppie* o smaku malinowym...

Jak łatwo dają się wytrzymać ciosy, nokauty i rozmyte szramy, jak beztrąsko można przemierzać równiny rojące się od setek silniejszych przeciwników, jeśli się wie, że nic nie jest ostateczne.

Wreszcie otwierają się nieskończone szanse powodzenia!

Miriady możliwości, którym nie może zagrozić nic prócz niezapłaconych rachunków za prąd i usterek technicznych.

Jeśli chodzi o nadmiar możliwości repetycji, to Super Nintendo Entertainment System i fortepian są do siebie całkiem podobne. Nieustanne ćwiczenie daje w jednym i drugim przypadku dobre wyniki, pozwala nabrać wprawy, podwyższyć odsetek trafień oraz doskonalić biegłość palców.

Poza tym stacjonarne konsole do gier, obojętnie czy z drewna, czy z plastiku, zawsze czekają na nas grzecznie w domu, gdzie przyjmują i stoicko znoszą nasze niepowodzenia i straty, postępy i sukcesy. To pewne jak dwa razy dwa.

Jesteśmy z JaśminąCelinąJustyną *singleplayer*.

Przez te wszystkie lata ona nie naciśnie żadnego z moich osiemdziesięciu ośmiu klawiszy, a ja żadnego z jej dziewięciu guzików. Każda z nas, własnoręcznie i z osobna, dokona w ciszy i skupieniu własnych odkryć i wynalazków.

To, czego szukamy i co znajdujemy, leży na dwóch przeciwległych biegunach. JaśminaCelinaJustyna, pragnąc

towarzystwa, rozrywki i zapomnienia, przyłącza się do wspólnoty tych bezwzględnych wojowników, ja natomiast dążę do pewnego punktu, którego istnienia się domyślam w najgłębszych pokładach własnego ja. Nic i nikogo nie pragnę spotkać ani poznać oprócz tego punktu, który może stać się odkryciem, odnową. Dźwięki, które podczas gry wydobywam na światło dzienne, rozbrzmiewają tylko dla mnie samej. W ogóle nie pragnę przynależności do świata zewnętrznego czy którejś innej z rzeczywistości wirtualnych.

Sztuczność i przewidywalność, najbardziej natrętne ze wszystkich nudziarstw, widzę we wszystkim, co ma do zaoferowania Nintendo. Stąd mój brak zainteresowania.

Żywiąc niechęć, nie dostrzegam możliwości pogrążenia się w myślach, jaką oferuje ci twój nowy instrument.

Jeśli spojrzeć wstecz, można powiedzieć, że żadne inne wydarzenie nie wpłynęło na nasze zgranie bardziej niż konsola SNES.

Do dziś nie wiem, co mam o tym myśleć.

19.

Cześć LottaLuizaŁucja!

Mam parę pomysłów, jak byśmy mogły rozpocząć grę w sztuki walki, no wiesz! Może się tobie spodobać, a może nie. Jeśli nie, to sama coś wymyśl!

A teraz co do pomysłów rozpoczęcia gry, to mamy oto takie:

Rozmawiasz z Chun-Li i Ryu i żadne z was nie zauważa, że Sagat i Bison chcą was zabić. Ja to zauważam i wskakuję pomiędzy was; zapadam w śpiączkę, ale zostaję przy życiu.

Przypadkiem nasi ojcowie spotykają się ponownie, i tak się poznajemy.

Potrącam cię niechcący; dziwnie na mnie patrzysz, a ja wpadam w panikę bo wiem że jesteś street fighterem i możesz mnie zabić. I chcę uciec, ale mnie przytrzymujesz.

Poznaję cię przez moją koleżankę z klasy.

Obserwuję cię podczas turnieju. Wygrywasz, ale potrzebujesz lekarza, a tego jak nie było tak nie ma więc opatruję cię sama.

Wygrywasz turniej. Denerwuje cię, że obskakują cię dziewczyny + kobiety (oprócz Mnie). Dostrzegasz we mnie szansę rzeby zwać. Bierzesz mnie za rękę i coś mówisz (obojętnie co). Wsiadamy do samochodu i jedziemy do CIEBIE do domu. Gdy cię opatruję, wpadam znów w panikę. (Drzę na całym ciele)

Wybierz sobie coś i zadzwoń do mnie o wpół do trzeciej albo o trzeciej i powiedz mi. To wpadnę do ciebie.

Twoja siostra krwi JaśminaCelinaJustyna”.

20.

Najpierw odczułam ulgę, że nie muszę już grać ról zwierzęcych. W końcu ile lat się mordowałyśmy, odtwarzając postaci ucłowieczonych ssaków, zarówno tych sympatycznych, futerkowych, jak i tych mniej miłych w dotyku gatunków znanej nam fauny tutejszej i cudzoziemskiej, nie zaniedbując przy tym ich zwierzęcych cech...

Tymczasem stworzyłyśmy bogaty repertuar ról zwierząt domowych, dzikich i cuchnących, które – począwszy od szczekającego psa, a na śpiewie wieloryba kończąc – opanowane miałyśmy doskonale.

Jednak niezależnie od tego upływający czas, który, jak wiadomo, wszystko kiedyś przeobraża w nawyk, wyraźnie zmienił moją grę. Zauważyłam u siebie niejaki zniechęcenie. Całkiem nieistotne wydało mi się naraz, czy wcielam się w postać bobra, czy torbacza. Historyjki o zwierzętach straciły dla mnie jakikolwiek urok, z małymi wyjątkami, jak dramat w związku Dodgera, czarusiowatego teriera w brązowe łatki i w czerwonej bandanie na szyi, oraz Rity, perskiej charcicy, szycowej psiej damy o liliowych powiekach oraz długich, trzepotliwych rzęsach, czy też romans zawadiackiego młodego lisa i jego ukochanej, lisicy o imieniu Vixie, narażonych na zgubę przez krwiożerczych kłusowników.

Czysto psie zachowanie Dodgera i Rity – chodzenie na czworakach, szczekanie, zakopywanie kości – radykalnie zredukowałyśmy i ograniczyłyśmy do otwierającej zabawę scenki z cechami charakterystycznymi dla danego gatunku. Najwięcej czasu w zabawie zakochane szczekliwe czworonogi spędzały pod kołdrą, rozbierając się wzajemnie z futerek, przy czym Rita (JaśminaCelinaJustyna) swojego Dodgera (mnie) pobudzała do napadów szału, utrzymując, że pod swoim futerkiem ma jeszcze jedno, a pod tym drugim jeszcze trzecie, a pod tym...

Na koniec terier zrywał z niej zawsze trzy, cztery warstwy futerka naraz, by następnie, będąc rozpalonym do czerwoności, rzucić się całym ciężarem na obnażone wreszcie ciało swojej zniechęconej

ukochanej. Gdy charcica potem spokojnie leżała pod nim na materacu, rozplaszczona jak naleśnik, on pełen pretensji warczał jej do długiego ucha („nie jestem brutalem... to tylko twoja wina, że tak się zachowuję...”), na co ona z sobie właściwą świadomością występkę odpowiadała skomleniem, bo wiedziała, że działa ono uspokajająco.

Amour fou bezpieczeństwa kundli wymagała od nas niemało.

Miałyśmy wszechobecne poczucie zagrożenia, że niczego nieprzeczuwająca mama może nagle wejść do pokoju i przyuważyć, jak ja dostaję szału lub jak obie leżymy jedna na drugiej, spocone i zmęczone daremnym ocieraniem się o siebie brzuchami, i zasypać nas niemiłymi pytaniami.

Wbrew jednak wszelkiemu pierwotnemu napięciu namiętność Dodgera coraz bardziej stygła.

O ile z początku nos psa, czarny i wilgotny, z impetem spadał niczym jastrzęb na jasny brzuch Rity, o tyle wkrótce terier zadawał się tylko trącaniem i szturchaniem od niechcenia. Nie mógł już dłużej ukrywać, że od dawna wie, jak Rita wygląda pod warstwami futer. Stracił precyzję uderzeń w łapach. Pojawiło się poczucie znużenia, dość się już napatrzył.

Świeżo rozpalona miłość JaśminyCelinyJustyny do charakterów ze *Street Fighter II* spaliła w ciągu kilku dni niemal cały las, który zamieszkiwały nasze postaci zwierząt, zostało się tylko jedno drzewo. Pojawiło się duże pogorzelisko, które dawało wreszcie miejsce ludziom.

Nie bawiąc się w nudne odtwarzanie ról mamy, taty, dziecka, zadałyśmy się bezpośrednio z bandą gniewnych wojowników ulicznych, którzy ciosami karate rozłupali pozostałe pniaki.

Ze zdumieniem przyglądałyśmy się ponurym, napakowanym typom, łapiącym śmigające wiewiórki za ogony i odgryzającym im głowy z nieposkromionej żądzы zdobycia bogatego w białko pożywienia.

Na mój czas wolny od zabaw innowacje te nie miały jednak większego wpływu. Gdy nie pozwalałam się zawieść na gimnastykę, siedziałam skulona jak drapieżny kot nad klawiaturą mojego ukochanego instrumentu, z którym mogło mnie rozłączyć

na dłużej jedynie zapalenie pochewek ścięgnistych atakujące czasem prawą rękę.

Natomiast po zachodniej stronie ulicy te niezliczone męczące godziny, zionące kiedyś pustką, nagle wypełniły się po brzegi kopami, ciosami, trikami, a także marzeniami o ostatecznym zwycięstwie nad wszystkimi rywalami. I tak oto ta dziewczynka dzwoniąca zawsze po szkole do moich drzwi stała się forpocztą armii siejących postrach wojowników w jaskrawych kostiumach.

Pałkarzy już nie sposób było spławić. Przyczepili się do twoich loków jak pajęczaki. Każdą próbę pozbycia się ich udaremniały wciąż na nowo tkane sieci, po których fighterzy wspinali się z powrotem na twoją głowę. Nie żebym naprawdę podejmowała pod tym względem poważne „próby”, wręcz przeciwnie: serdeczna zażyłość łącząca ciebie z mściwymi mieszkańcami świata gier wideo była dla mnie fascynująca. Tak jakby za tym wszystkim skrywało się coś „więcej”...

Czasami miałam wrażenie, że rozpoznaję zarysy jakiejś większej prawdy, która musi leżeć gdzieś na dnie jeziora pełnego pikselowej krwi i bitewnej wrzawy. Ale do dalszych dociekań brakowało mi cierpliwości i ciekawości. Dlatego nigdy nie stałam na twoim brzegu na tyle długo, by doczekać całkowitego wygładzenia wzburzonych fal, co umożliwiłoby zrozumienie i sięgnięcie aż do samej głębi.

Pozostawienie tajemnicy bez wyjaśnienia oznaczało przecież kolejne godziny pełne uroku. To było dobre dla mnie, której nic bardziej nie pociągało niż czar i pełnia.

Pragnienie cielesnej i duchowej stymulacji wzmagало się we mnie z miesiąca na miesiąc. Zarazem znacznie nasilał się mój i tak zawsze raczej wydatny pragmatyzm.

Skoro walczący faceci i tak się już pojawili, to dlaczego miałabym ich nie wykorzystać...?

Wcielanie się w postaci innych istot wydawało mi się, zaraz po muzyce, najlepszą z możliwych ucieczek przed tym, co po każdym obiedzie kipiało w ponurych zakamarkach mojej głowy:

Śmiertelna nuda

atakująca jak chmary szarańczy krainę mojego pokoju.

CZĘŚĆ

II

21.

Niedziela rano.

Matka, pomoc kuchenna w domu opieki, jest już w pracy.

W weekendy pensjonariusze jedzą śniadanie godzinę później. Do niektórych przychodzą w odwiedziny goście. Prawie nie zauważają tego przesunięcia. Kobietom w kuchni późniejszy dzwonek budzika nie zdaje się na nic. One wołałyby wcześniej skończyć pracę.

Nie śpi, odkąd za matką zatrzasnęły się drzwi.

Jeśli uniesie się na poduszce, może przez szybę, ponad trawnikiem i jezdnią, zobaczyć podwórze von Braunów i jasną, drewnianą bramę garażu.

Wpatruje się tam już dobrą chwilę. Sama nie wie dlaczego. Nagle, jakby pod naciskiem siły jej wzroku, brama się otwiera. Przez uchylone okno dobiega delikatny, ledwie słyszalny szum elektrycznego napędu. Czarny, błyszczący wóz z dziobem przystrojonym gwiazdą wytacza się na ulicę. Dziewczynka w łóżku jest niewidoczna dla cieni wewnątrz pojazdu. Samochód rzuca ostatnie spojrzenie na swoje odbicie w szybie i znika.

Nad głową dziewczynki unosi się aż pod sufit bańka niby sygnał dymny, a w niej myśl: „No tak. Księżniczka von Braun wyrusza sobie znowu na konną przejażdżkę...”.

Ona sama, dziewczynka, która leżała bezsennie w łóżku, uniosła się na poduszce, zobaczyła i pomyślała, że nienawidzi niedzielnych wycieczek, nienawidzi tego czekania na powrót wycieczkowiczów, nienawidzi czasu, który się wlecze i dłuży w nieskończoność.

Niedziela.

Dzień wystrojony jak na bal. Dzień elegant, który w białych rękawiczkach wyciąga z cylindra niezliczone godziny do przeczekania.

Nie namyślając się długo, postanawia utopić przynajmniej jedną z tych godzin; wstaje z łóżka, człapie do łazienki i napszcza wodę do wanny.

W butelce w kształcie ptaszka Calimero z zakrętką w postaci kapelusika ze skorupki jajka została jeszcze tylko kapka pieniącego się płynu do kąpieli. Z kurka leje się strumień wody, wpada z hukiem w jamę brzuszną Calimero i wypłukuje z wnętrza ostatnie resztki mydła.

Tafla wody podnosi się pomału. Pienista korona majestatycznie i nieśpiesznie pnie się ku brzegowi wanny, która przypomina spęczony i wydłużony kufel, prawie napełniony piwem. Tylko zapach ma ładniejszy.

W biel wrzuca sobie do towarzystwa porowatą gumową kaczkę oraz lalkę Barbie z irokezem na głowie i obgryzionymi czubkami palców u nóg. Gotowe. Wstrzymując oddech, zanurza stopy w kąpieli.

Go-go-rąco.

Ukrop.

Widzi już siebie w roli pożywnej wkładki w garnku zupy gotowanej dla plemienia ludożerców.

Po chwili woda przestaje parzyć. Jest teraz przyjemnie ciepła, przymilna. Opierając się na łokciach, dziewczynka unosi na powierzchnię swój brzuch jak wieloryb wynurzający łeb z oceanu. Co było pępkim, teraz jest otworem nosowym.

Czas mija. Dopiero raptowny odgłos drzwi i zawiasów kładzie znieściska kres ciszy z szelestem baniek mydlanych w tle.

Nic nie widzi, powieki ma zaciśnięte, ręce, włosy w szamponie.

Tymczasem dwa brązowe kapcie suną do szafki z lustrem. Ojciec chce się ogolić. Spogląda nieufnie na zachlapane, poplamione i brudne od kurzu odbicie swojej córki w lustrze. Przynajmniej wyczesuje jej z loków pianę. Ciemne kosmyki mokrych, wijących się włosów opadają na ramiona i plecy, lepią się do szyi.

Dziewczynka otwiera oczy.

Ojciec wykrzywia twarz, napina skórę na przemian to nad górną wargą, to na szczęcie. Ona szuka jego wzroku. Czy nie czuła go na sobie przed chwilą?

Opuszkami palców, pomarszczonymi jak suszone śliwki, po omacku znajduje i wyciąga korek z wanny. Tafla wody obniża się z bulgotem. Ojcowskie oczy podstępnie śledzą wynurzające się z wody dwa mlecznobiałe pagórki. Zezują na piankę spełzającą na prawo od kolistej, koralowej otoczki sutka. Ojciec ma już dawno

gładko wygoloną twarz. Mimo to dalej tkwi na posterunku zwiadowcy.

Skończyła kąpiel. Wyprostowała się na całą wysokość. Na jej biodrach pękają połyskujące bańki mydlane. Po nogach pełzną w dół długie sznury kroplistych perł. Puszysty dzióbek między nogami wypuszcza wąskie strużki wody wzdłuż ud.

Prosi ojca o ręcznik. On bierze jeden z wieszaka i obraca się do niej twarzą. Zauważa wypukłość w kroku jego spodni od piżamy.

Widok obciągniętego bawełną wybruszenia wcale jej nie dziwi. Widziała to już wcześniej. Tak samo wyglądało to również u jej brata... Zastanawia się, dlaczego ojciec nie idzie do ubikacji, skoro tak bardzo chce mu się sikać.

Jest zmieszany jej spojrzeniem. Jakby wcale jej nie przeszkadzało, że mu stanął. Czuje, że fiut mu sztywnieje.

Ona chce sięgnąć po ręcznik.

On go przytrzymuje.

Dzieli ich już tylko krawędź wanny. Ciężkie dłonie lądują na jej wąskich ramionach. Obraca ją twarzą do ściany i przyciska mocno do siebie. Czuje jego siusiaka na swoich plecach. Ohyda.

On zaczyna gwałtownie wycierać ręcznikiem jej piersi, brzuch i podbrzusze. Ciągłe szorowanie spodniami od piżamy nagrzewa miejsce między jej łopatkami.

Właściwie jest już dawno sucha. Nie rozumie, dlaczego ręcznik i spodnie wciąż niewzruszenie szlifują jej ciało.

Zwiększa się napór rozpalonego, śliskiego obrzęku. Czuje twardą równoległą linię przebiegającą niemal w pionie wzdłuż kości pacierzowej.

Żeby tylko jej nie obsusiał!

Tymczasem on trzyma ją w uścisku ramion jak w szczękach imadła. Przestaje czuć jej opór.

U jej stóp dryfuje topielica Barbie.

Gorący oddech ojca jest blisko.

Gumowej kaczce brakuje oka.

Słyszy ostatni niski, gardłowy odgłos, raczej zwierzęcia niż człowieka, i masz ci los – czuje, że to coś spływa jej w kierunku tyłka.

Ona krzyczy ostro, przenikliwie. – Pękł! – myśli. – Pękł i wyciekł!

Gdy ramiona ojca zwalniają uścisk, obmacuje na ślepo wilgotne miejsce. Białawożółte nitki skleją koniuszki jej palców. W nosie

kręci ją stęchły zapach zgniłych, śmiertelnie zakwitłych krzaków.
Siki pachną inaczej. Trochę ją to uspokaja.

Potem dziewczynka ociera łzy, a ojciec ślady wytrysku.

Śluzowato-galaretowate kawałki papieru toaletowego znikają
w muszli klozetowej.

Naciska przycisk spłuczki i wychodzi bez słowa z łazienki.

22.

JaśminaCelinaJustyna podtyka mi pod nos wymiętoszony świstek kolorowego papieru. Kiedyś ta kartka była szesnastą stroną czasopisma „Streetfighters Magazine”. Palcem wskazuje na napakowanego osiłka ubranego od stóp do głów na czerwono. Poniżej jego wielkich stóp atlety czytam podpis „Ken”.

– To ty – rozstrzyga, a ja staram się zapamiętać cechy charakteru, które powinien mieć „Ken”. Tymczasem palec wskazujący przesuwa się niżej, na sam dół strony, gdzie niemal wbija się w obnażoną na wpół klatkę ciemnowłosego mężczyzny z opaską na głowie.

– Ryu – z ust JaśminyCelinyJustyny dobywa się nabożny szept.

–

To ja.

Obaj nie różnią się od siebie prawie w ogóle, z wyjątkiem koloru strojów do karate (Japończyk Ryu ma białe, a Amerykanin Ken krwistoczerwone). Te same ponure spojrzenia spod okiełzanych opaską kłaków; te same masy mięśni wylewające się z głęboko wyciętych karateg. Tu i tam czarne pasy owijają wąskie talie. Do tego gołe stopy. Prowokacyjnie wyprostowana sylwetka, niewzruszona postawa i skrzyżowane ramiona dopełniają wizerunku obu postaci. Jestem bystra, więc zauważam, że półdługie, złote włosy Kena musiały być najpierw „definitywnie” brązowe – to widać po ciemnych brwiach... JaśminaCelinaJustyna nie chce o tym słyszeć. Dla niej Ryu i Ken są i będą zupełnie różni.

Zanim wyjdziemy na ulicę, podwędzam tacie z szafy dwa czarne krawaty, którymi przepasujemy się w talii z braku prawdziwych pasów obi. Tak wyszykowane ruszamy w drogę.

Na wiecznie wilgotnej łące między placem zabaw a laskiem wytyczamy granice ringu, na którym zamierzamy dowieść swojej odwagi. Cztery sękaty leszczynowe paliki, które mają być narożnikami kwadratowej areny, łączę starannie z liniami gruboziarnistego piasku. Przekroczenie piaskowej granicy

spowoduje, że Ryu i Ken, niegdyś bracia krwi, staną się zażartymi rywalami – jak głosi opowieść.

Chcąc nadać mojej aparycji ostatni szlif, zdejmuję T-shirt, rozkładam go na trawie i odrywam rękawki. Głową wskazuję na kieszeń spodni JaśminyCelinyJustyny, z której wystaje rożek kartki wyrwanej z magazynu.

– Przecież widziałaś, że oni walczą bez rękawków...

JaśminaCelinaJustyna znika w lasku, żeby nie rozbierać się na otwartym polu. Po kilku minutach wynurza się zza drzew z rumieńcami na policzkach i dumnym uśmiechem. Triumfalnie wymachuje nad głową rękawkami jak skalpami i biegnie mi naprzeciw.

– No i co, Ryu, szukasz guza?

Ryu milczy.

– Zapomniałeś języka w gębie, hę?

Wykrzywiając pogardliwie usta, małomówny Japończyk zdobywa się na odpowiedź:

– Widzę, że nic się nie zmieniło. Ty nadrabiasz gębą, a za mnie mówią czyny.

– Ha, ha, koń by się uśmieł! Postaw no tylko, trusiu, swoją łapę na moim ringu, a będzie to twój ostatni czyn!

Obaj wojownicy zaczynają ostrożnie skradać się do siebie. Zaciśnięte pięści Kena zbliżają się w zwolnionym tempie do szczęki Ryu. Ciosom towarzyszą nienawistne okrzyki:

– Rozkwaszę ci twarz, aż zagotujesz się z bólu!

Japończyk znosi pierwsze celne uderzenia z właściwym sobie stoickim spokojem.

Ale już po chwili następuje to, co nieuniknione. Napad dzikiej, nieokiełznanej wściekłości zmiata wszelką powściągliwość, pod jej naporem pęka ostatnia tama wpojonych zasad. Z gardła wyrwa się ogłuszający okrzyk wojownika.

– HADOUKEN! HADOUKEN!

– Twój niemrawy kułak nie może się równać z tornadem moich kopniaków!

– HADOUKEN!

– Jestem kosą, która cię skosi!

Ken chwyta z impetem Ryu w pasie i rzuca na ziemię. Tarzają się po trawie. Biały przygniata czerwonego.

– ŁAMANIE OBOJCZYKA!!!

Amerykanin pozostaje nieustraszony. Zwinny przewrót w bok i już blondas podnosi się z ziemi.

– A po co mi obojczyk?

Kopniakami rysuje tysiąc półksiężyców. Głowy na zmianę znikają to w jednym, to w drugim żelaznym uchwycie. Lodowe Młoty, Kamienne Pięści, kanty dłoni pozostawiają okropne wieloodłamowe złamania. Wojownicy upadają, skaczą, podcinają sobie nogi.

Ryu oblewa się potem. Szykuje się do ostatniego ataku, staje w wykroku i wyrzuca wyprostowane ramiona przed siebie:

– H AAAA D OOOO UUUU K E N!!!

Prychnięcie, a po nim wiązka niebieskich błyskawic. Intensywność energetycznego uderzenia jest ogromna.

– Nie ma po tobie śladu, popiołu! – wrzeszczy Japończyk.

– Ale przecież jestem!

– A właśnie, że cię nie ma!

Ken traci ochotę na dalszą zabawę...

– Uderzenie kulą energii jest najsilniejsze... Nie masz żadnej szansy – słyszy pouczenie.

Po twarzy Amerykanina przemyka ulotny uśmiech. Wbija palec w sklepienie niebieskie i grozi:

– Biada ci, Ryu... Źle skończysz! – krzyczy Ken, grożąc dalej palcem jak oszalały. – On nadejdzie z przestworzy... sędzić oprawców swojego syna ze złotymi lokami!

– Kto?

– Wielki, straszny, wszechmogący MAGNUS VON BRAUN!

– Nie ma kogoś takiego.

– No pewnie, że jest!

Magnus von Braun spada niczym grom na Ziemię. To miotacz rakiet. Amunicja nigdy mu się nie kończy. Ściszone głosem z bojaźnią opowiada się o jego nieomyślności i niezawodności jego pocisków.

Siła, z jaką rakietą razi cel, jest o wiele większa, niż to było zamierzone. Powalony na ziemię Ryu leży na plecach jak chrząszcz przewrócony do góry odnóżami. Von Braun pogardliwie spogląda na żalostnego owada. Przychodzi mu do głowy, że chrząszcz jak orzechy, więc ten tutaj, powalony na ziemię, rażony ogniem rakiety, musiałby rozsiewać wokół siebie zapach prażonych migdałów. Bardzo go ta myśl rozśmiesza.

Chrząszcz wciąż ani drgnie.
Coś zdaje się zaciskać kurczowo.

JaśminaCelinaJustyna ma ciało dziwnie wygięte. Szeroko otwarte
oczy napełniają się łzami.

Nie może oddychać.

Daremnie otwiera i zamyka usta.

Przywodzi mi na myśl złotą rybkę w ogrodowym stawie, który
graniczy z naszą posesją.

Mijają kolejne sekundy.

Wtem, wreszcie, zbawienne zaczerpnięcie powietrza!

Z ulgą obserwuję, jak jej powłoki brzuszne wznoszą się i opadają.

Na widok rywala z trudem dźwigającego się z ziemi
powstrzymuję się od podsumowującej walkę uwagi na temat
przeważającej siły von Braunów. W końcu widać gołym okiem, że
nie dotrzyma im pola żaden przeciwnik.

23.

Znowu mała narośl. Tym razem na paluchu. Nic dziwnego. Częste bieganie boso po sfilcowanych, przepoconych matach w sali klubu gimnastycznego w końcu musi przynieść skutki...

Gdy trenerka podczas obowiązkowych ćwiczeń rozciągających, przeprowadzanych na początku każdej jednostki lekcyjnej, wciska moje ciało w kształt litery T (przy czym pionową oś stanowi tułów połączony pod kątem prostym z poprzeczną belką nóg wyciągniętych w bok w lewą i prawą stronę), ja, starając się nie myśleć o bólu, wpatruję się z napięciem we włókna mat i się dziwię, że ten miękki materiał koloru ochry do tej pory nie pokrył się skorupą, biało-czerwonym lukrem łupieżu.

Przy bliższym przyjrzeniu się sali gimnastycznej przez lupę moje zdziwienie z powodu (bezlukrowego) stanu maty wyjaśnia się samo przez się: miejsce wzmocnienia ciała okazuje się gigantycznym relikwiarzem, zbiorem niezliczonych dewocjonaliów. Na podłodze ozdobionej zawiłym deseniem z kolorowych linii niejedno można znaleźć.

Dziewczęce loki, płatki skóry. Ogryzki paznokci. Brokatowe drobinki cieni do powiek. Inicjały młodych zakochanych wycięte w skórzanych obiciach przyrządów. Do skrzyni gimnastycznej przyklepione są słone kulki gilów, a do drążka – resztki zrogowaciałego naskórka. Wszyscy korzystamy z magnezji w kostce. Pudrujemy nią dłonie obtarte aż do krwi. Śnieżnobiałe kredowe pyłki chłoną wysięk z ranek. Kiedy całkowicie nim nasiąkną, spadają pod stopy. Podłoga się chmurzy. Tu krople czyjegoś potu, gdzie indziej krew z nosa. Kap, kap.

Ale wróćmy do palucha.

Paznokciem rozdrapuję żółtawe części nabłonka. Z podziwem oglądam złożoną, wielowarstwową budowę kurczajki. Ściśle biorąc – myślę w duchu – całe życie jest tylko ciągiem infekcji rozprzestrzeniających się drogą bezpośredniego kontaktu. Nieustannie coś w nas wnika. Nic dziwnego. Wszędzie są przecież otwarte na oścież bramy wyściełane błonami śluzowymi...

Powoli pochylam się dalej do przodu. Czubek nosa i stopy zbliżają się do siebie. Brodawka nie pachnie, nie ma też zapachu Miriam.

Miriam już prawie wyrosła, prawie nabrała wagi, prawie dojrzała. Trenuje w starszej grupie, porusza się na przyrządach już nie tak zwinnie, za to bardziej płynnie, a kiedy bierze rozbieg, to wszystko się u niej buja.

Legginsy, które nosi, poprzecierały się na szorstkich matach i podczas ćwiczeń wolnych na planszy. Skóra prześwituje przez biały materiał.

Mogę dostrzec przekątne linie, które majtki odciskają na jej pupie z prawej i lewej strony. Podczas rozgrzewki obserwuję, jak tył fig wycięty w kształcie litery V przemieszcza się w kierunku rowka między pośladkami. Czasami jej to przeszkadza. Wtedy skubie palcami ten trójkącik materiału, wówczas kąt przestaje być tak ostry i litera V zamienia się w U. Litera U rozczarowuje. Brakuje jej wszelkiego uroku. Niemrawa i nudna błędnie całkiem przy literze V, która wraz z X (sexy) roztacza w alfabecie zniewalający czar.

Wydaje mi się, że V jest jak gdyby pierwszą jaskółką czegoś intrygującego; to litera, która nie boi się ryzyka. Z tyłu rozdziela pośladki, z przodu dopełnia torsy. Na betonowym murze obok stojaków na rowery bezwstydnie rozpoczyna zakazane słowo – VOTZE, pizda, jaskrawy napis lśni na szarym tle. Czytam to słowo raz za razem, mamroczę pod nosem, szepczę do samej siebie przez całą drogę do domu: pizda–pizda–pizda.

Powtarzam je i marzę o rozdzielonych pośladkach, o dwóch przekątnych biegnących w kierunku bioder i uwydatniających coś ściśniętego jak u Miriam. Jędrne ciało przecięte parą bruzd. Najpierw pupa robi się okrągła, po czym oznacza się ją literą V. Przyglądam się temu już od dłuższego czasu... Tylko u mnie nic się nie zaokrągla.

Ale biorę się na sposób. Po kryjomu wyjmuję różne części bielizny (z której właściwie już dawno wyrosłam) z worka na odzież i układam znów w szufladach. Wieczorem, po dniu spędzonym w przyciasnych, wpijających się w tyłek majtkach przesuwam obślinionym palcem po odcisniętych na skórze pręgach. Rysunek fig znika przez noc.

Moja metoda polegająca na pozorowaniu obfitych kształtów sprawdza się znakomicie.

Nie ma nic wspanialszego niż przyglądanie się w oknach sali gimnastycznej odbiciu własnej pupy ozdobionej kawałkiem materiału w kształcie litery V. Gdyby to było możliwe, po prostu wyhodowałabym sobie oko na potylicy, tak bardzo zachwyca mnie ten widok.

A tak w ogóle to Miriam nie miała szczęścia.

Utopiła się w rzece Schussen.

Wcale mnie to nie zaskoczyło. Wypadek był niejako logiczną konsekwencją tej zgubnej kobiecości, która rozmiękcza wszystkie kształty moich koleżanek, narażając je na zranienie, i żąda do tego co miesiąc bolesnego trybutu krwi. Wciąż gdzieś pływy morskie i jęzory lodowców zdają się szlifować coraz to nowe kamienie o ostrym szpicu, o który świąty obolałych kobiet rozbijają się niczym bańki mydlane.

Pocieszała mnie myśl, że Miriam w chwili śmierci miała na sobie bikini. Spacerując z rodzicami brzegiem rzeki, starałam się wczuć w rolę Wróżki Szczęścia, karcianej figury z serii *Yu-Gi-Oh!*, i zastanawiałam się, w którym miejscu i w jaki sposób udrapowałabym topielicę Miriam. Oczami wyobraźni widziałam ją najczęściej na ławicy piasku pośrodku koryta rzeki: ramiona i włosy obmywa jej woda, a tyłek i nogi uniesione, dlatego że leżą na wzgórkach, otulają tę kupę piasku. Kokardka z boku bikini się rozwiązała. Luźne tasiemki zdobią jej kości biodrowe niczym różowe serpentyny. Słońce muska jej skórę promienistymi palcami. Na pośladkach błyszczą kryształki kwarcu. Posiniaczone uda mówią o ćwiczeniach na równoważni. Na zaokrąglonej pięcie dostrzegam łagodny, kolisty guzek.

Moja kurzajka salutuje w kierunku ławicy piasku. Razem żegnamy koleżankę, tak samo zakażoną wirusem brodawczaka.

Niedługo po pogrzebie Miriam dowiaduję się z wiarygodnego źródła, że wyraz *Fotze* pisze się w niemieckim przez F.

Do dzisiaj nie mogę się z tym pogodzić.

24.

Bładoniebieskie zapiski w pamiętniku na papierze makulaturowym o gramaturze 80g/m² w zeszycie (16 kartek, DIN A5, z liniaturą 1):

„Nie wiem, jaki dzisiaj jest dzień, wiem tylko, że powinnam być teraz w szkole. Ale czegoś się boję. Najgorsze jest to, że nie wiem, przed czym mam stracha, ale go mam.

Czuję po prostu, że nie daję sobie rady z tym całym światem. A teraz i tak jest za późno. Dostanę straszne lanie, to znaczy nie ma zmiłuj! Nie będę mogła z nimi wyjechać, ale to normalne, że w czasie wakacji zawsze siedzę w domu.

Nikt tak naprawdę mnie nie rozumie, a nawet wydaje mi się, że jestem jedyną przyjaciółką siebie samej. Mama rozumie mnie tylko trochę, a ojciec – ten w ogóle mnie nie rozumie. Ostatnio odkryłam w nim coś, czego nigdy bym się nie spodziewała. Widziałam na własne oczy: uderzył mamę trzy razy. Wciąż jeszcze słyszę jej krzyki. Boję się!!!!”.

25.

Wreszcie jakaś zmiana. Świadczenie i zalecenie dalszej nauki w dziewięcioletnim gimnazjum potwierdzają oficjalnie, że wyrosłam z podstawówki.

Latami czekałam na ten ostatni dzień szkoły w nadziei, że on ostatecznie uwolni mnie od wszechobecnej tępoty chłopskich dzieciaków, które wciąż konsekwentnie nie dawały mi swoich pamiątek, zaproszeń na urodziny i nie darzyły sympatią.

Przedemną w ławce Kopia zaczyna beczeć.

Nie mieści jej się w głowie, że „ta von Braun”, która co roku zapomina oddać listę potrzebnych podręczników, lekcje odrabia na kolanie podczas pięciominutowych przerw na strzępkach bibuły i nigdy, naprawdę NIGDY niczego nie podkreśla linijką, że „ta von Braun” może teraz iść do gimnazjum, podczas gdy ona, mająca przecież „najładniejszy charakter pisma w całej klasie” – tak ładny, że dano jej nawet „przepisać na czysto” i zaadresować list do burmistrza napisany kiedyś przez uczniów (z powodów, które wyleciały mi z głowy) – ONA nie może!

Szczerze mówiąc, nie wysilałam się zbytnio, by otrzymać takie zalecenie. W końcu zaświadczenie o moich umiejętnościach zawdzięczam chyba przede wszystkim naszemu wychowawcy, który oprócz niemieckiego uczył nas również muzyki.

Gdy na dużych przerwach przyłapywał mnie w pracowni muzycznej (a przyłapywał mnie zawsze, choćbym nie wiem jak pianissimo uderzała w klawisze), mrugał do mnie porozumiewawczo i pozwalał grać dalej. Szczególnie w krótkie dni zimowych miesięcy, kiedy wrażliwe ramiona i kąciki ust opadały mu zawsze smętnie, chętnie siadywał w kucki na krześle, które w porównaniu z jego długimi pająkowatymi nogami wydawało się śmiesznie karłowate, wyjmował wałówkę i słuchał, jak gram. Bimbanie sobie z dyżurów na przerwach sprawiało mu najwidoczniej dziką radość. Zwykle kiedy się już rozsiadł wygodnie na krzeselku i wyrzucił papier śniadaniowy pod ławkę, zamykał oczy i zaczynał żuć kanapki do taktu. Dobrych manier nie miał

w ogóle. Jego niekiedy szeroko otwarte usta mlaskające przy jedzeniu dawały ciekawy wgląd w proces rozdrabniania kęsów, który dokonywał się między zębami przebarwionymi na brązowawo.

Mógł być nie wiem jak miły, uprzejmy, pobłażliwy i jakoś godny pożalowania – ale mimo to jego nieświeży oddech cuchnący chlebem z kiełbasą lyońską budził we mnie obrzydzenie. Im dalej nauczyciel siedział od fortepianu, tym jego obecność była dla mnie miłsza.

Opisanie instrumentu, przy którym spędziłam większość przerw w podstawówce, wydaje mi się w tym miejscu nieuniknione, zwłaszcza że ten szkolny fortepian powleczony czarnym lakierem można bez wahania określić jako „prawdziwą piękność”.

To cacko o ciemnym połysku zawładnęło mną bez reszty od pierwszego wejrzenia. W moim odczuciu było ono o wiele elegantsze niż pianino z jasnego drewna, do którego przywykłam w domu. Nigdy jednak nie odważyłabym się wypowiedzieć tej bluźnierczej myśli na głos, bo przecież każdy instrument, o tym byłam święcie przekonana, ma niezwykle wrażliwą duszę. Pod żadnym pozorem nie chciałam się narażać na urazę, gniew czy nawet – w najgorszym razie – utratę względów mojego pianina. Gdy tylko więc moje oczy z nadmiernym podziwem muskały błyszczące jak lustro boki szkolnego fortepianu, wyzywałam się od niewdzięcznych smarkul i tysiącrotnie przepraszałam w duchu moje wierne zwierzę klawiszowe, o którym wiedziałam, że od świtu czeka na moment, kiedy usiądę przy nim i sprawię, że zacznie rozbrzmiewać.

Nasz wychowawca, przysłuchujący się mojej grze z zachwytem, studiował kiedyś w akademii muzycznej w klasie fortepianu, a teraz obsesyjnie pragnął „odkrywać” i „wspierać” „młode talenty”.

Wkrótce po tym, gdy po raz pierwszy usłyszał, jak gram, podekscytowany zaczął do nas wydzwaniać, nagrywając na sekretarce dziesiątki wiadomości, co mojego ojca, dopraszającego się wciąż o spokój, kosztowało cały dzień pracy. W końcu, rozpaczliwie wierząc, że może w ten sposób położyć kres zakłóceniom miru domowego, sięgnął po słuchawkę. Jego głos zapewne nie brzmiał szczególnie uprzejmie...

Wychowawca natomiast, zaprawiony w rozmowach z szorstkimi, opryskliwymi i nieuprzejmymi opiekunami, nie dał się zbić z tropu półsłówkami rzucanymi do telefonu lekko zniecierpliwionym głosem

i wytrwale nakłaniał moich rodziców, żeby „koniecznie” zgłosili mnie do konkursu „Młódzież muzykuje”. On sam zasiada w gronie jurorów i uważa, że byłby to „grzech i szkoda, i zgroza”, ba, wręcz „zaniedbanie obowiązków rodzicielskich”, gdyby „taki talent jak LottaLuizaŁucja” nie wziął udziału w konkursie.

Mój biedny ojciec, który niczego bardziej nie pragnął, niż wrócić jak najszybciej do swoich lektur, usiłował na wszystkie sposoby wytłumaczyć nauczycielowi moją zasadniczą niechęć do grania z nut. Ponadto on sam „zatruwanie sztuki przez tego rodzaju konkursy” uważa za kompletny nonsens, czym wyprowadził wychowawcę z równowagi.

Oczywiście była też mowa o mnie.

Pewnego popołudnia, po tygodniach nieustannych pytań, które zbywałam niezdecydowanym wzruszeniem ramion, podczas przeglądania regału z książkami mojego ojca w poszukiwaniu sprośnych, nieprzyzwoicie brzmiących tytułów – od niedawna w drodze do kościoła czytaliśmy sobie z Egipcjaninem na głos skandaliczne, rozpalające do czerwoności policzki i uszy fragmenty z książek naszych rodziców – wpadła mi w ręce biografia Glenna Goulda. Tomisko zniechęcało swoją grubością. Przedmowa była śmiertelnie nudna. Ale książka zawierała przynajmniej kilka błyszczących stron z czarno-białymi fotografiami.

„Zanim usiadł przy fortepianie, Glenn za każdym razem moczył dłonie i przedramiona przez dwadzieścia minut w gorącej wodzie” – brzmiał podpis pod zdjęciem, które przedstawiało młodego Goulda nachylonego nad białą umywalką z podwiniętymi rękawami koszuli.

Na kolejnym zdjęciu pianista klęczał przed fortepianem i wyglądało to tak, jakby zabierał się właśnie do skręcania stołka, najwidoczniej było to „legendarne składane krzeselko, z którym Glenn Gould nie rozstawał się przez całe życie”. Na kolejnej stronie to krzeselko pojawia się ponownie, tym razem pod zdjęciem przytoczone są słowa Goulda: „Pozostanie dla mnie zagadką, jak ktoś może siedzieć na normalnym stołku fortepianowym”.

Najbardziej zafascynowała mnie fotografia przedstawiająca z lotu ptaka Goulda i uniesione skrzydło fortepianu na tle niby bezkresnej, czarnej jak noc sali. Poza lśniąco białymi klawiszami i kilkoma refleksami światła na instrumencie całą scenerię zdawała się spowijać gęsta mgła. Podium o konturach rozmytych w czerni widowni tonęło w szarych, ziarnistych oparach. Sylwetka samego

pianisty, z wyjątkiem rąk i delikatnie zarysowanego profilu, była prawie niewidoczna. Oczami szeroko otwartymi ze zdumienia przeczytałam podpis pod zdjęciem: „Nie wierzę w koncertowanie – to nonsens, absolutne oszukiwanie samego siebie”.

26.

Moje książkowe odkrycie jest brzemienne w skutki. Przy kolacji oznajmiam rodzicom, że nie wykluczam już mojego udziału w konkursie „Młódzież muzykuje”. Jest jednak cały szereg warunków, których spełnienie zadecyduje o powodzeniu mojego występu. Gdy podnoszę się z krzesła i rozkładam kartkę, ojciec zerka na mnie znad gazety. Dzieli swoją uwagę po połowie na mnie i wiadomości ze świata. Na prawo od ojca mrugają zatroskane, ale też lekko rozbawione oczy mamy.

Odchrząkuję i czytam:

– A więc: po pierwsze, będę miała na sobie białą koszulę i czarne spodnie (koszula na wierzchu lub włożona w spodnie tylko częściowo). Po drugie, wejdę na scenę bez butów. Po trzecie, budynek, w którym odbędzie się występ, musi mieć umywalkę z podłączoną ciepłą wodą, żebym mogła odpowiednio przygotować ręce do gry, rozgrzewając je w równomiernie temperowanej kąpeli. Po czwarte, muszę mieć pozwolenie na zabranie ze sobą z domu własnego taboretu do fortepianu. Po piąte, będę grać tylko i wyłącznie Bacha.

Cisza.

Ręka matki nieco bezradnie szuka po omacku oparcia na udzie ojca, niech on coś teraz powie. Gazeta szeleści.

Mam robić to, co uważam za właściwie – dochodzi westchnienie zza szpalt – a przede wszystkim, jeśli już szperam po jego regałach, to powinnam uważać, żeby nie zaburzać alfabetycznego porządku księgozbioru.

27.

W tygodniach przed koncertem czuję, że zawładnęła mną zawzięta determinacja. Dostrzegłam, jak całkowicie niesystematycznie odmawiałam grania z nut, i to mnie denerwuje. Najwidoczniej wiedza i umiejętności w jakiś sposób niepostrzeżenie wkradły się do mojego wnętrza, skutkiem czego bezbłędna gra z nut nie stwarza mi teraz najmniejszej trudności.

Czy pokonanie własnego oporu pozwala doskonalić umiejętności? Czy rzeczy, które najbardziej kwestionujemy, możemy się w ostatecznym rozrachunku najlepiej nauczyć? Tego nie wiem.

Jak dotąd ocena moich zdolności nigdy mnie nie interesowała. Była to gra dla samej gry. Oczywiście wiedziałam, że istnieją pewne kryteria oceny. Wydawały mi się one jednak odległe ode mnie, od mojej gry i moich emocji. Sposób nauczania pani Lichtel, która niczym w dyktandzie wyszukiwała trudności i błędy w wykonaniu utworu muzycznego, akceptowałam jako rodzaj dziwactwa, tak jak jej kolekcję słowników. Dzielenie wszystkiego według kategorii na to, co „poprawne”, i to, co „błędne”, traktowałam jako obsesję starszej pani, a to z kolei ułatwiało mi pogodzenie się z jej, po części bardzo surową, krytyką. Gdy tylko nauczycielka wypuszczała mnie po lekcji fortepianu za drzwi i na wolność, po kilku zaledwie oddechach zrywałam z siebie ciasny gorset ocen i pośpiesznie wracałam do własnych kryteriów.

Nowe jest więc dla mnie granie z nut i ocenianie siebie samej według skali pani Lichtel, ale nowe jest również to, że dostrzegam stopień rozwoju moich zdolności.

Niemniej jednak te besserwisserskie nuty grają mi na nerwach.

Staram się jak najszybciej nauczyć wszystkiego na pamięć, żeby odzyskać choć trochę swobody i beztroski. Melodie, wyzwolone ze sztywnego nutowego kodeksu, natychmiast nabierają lekkości. Dźwięki niby ławica małych ryb przemykają radośnie i zwinnie przez niewielkie oczka sieci złożonej z pięciolinii. Muzyka wypełnia przestrzeń bulgotem.

28.

Nadchodzi ten dzień.

Ja, ubrana w garnitur komunijny Egipcjanina, siedzę na tylnym siedzeniu w samochodzie. W bagażniku krzeselko do fortepianu. Ojciec usprawiedliwia swoją nieobecność. Symetrie...

Dojeżdżamy do sali parafialnej, spóźnione jak zwykle.

Biorę kurs na zatłoczoną damską toaletę, spuszcza wodę do umywalki, zagłuszam dolatujący z kabin plusk sikania zestresowanych dziewczyn.

Z wilgotnymi rękami i niedbale wyciągniętą na wierzch koszulą człapię po scenie, gdzie czeka na mnie mój ukochany, obity skórą taboret.

W pierwszych rzędach przedziałki pośrodku, warkocze i lekko otwarte ze zdumienia usta. Z tyłu trzęsące się z oburzenia głowy ambitnych osób uprawnionych do wychowywania, które odbierają mój wygląd jako prowokację. Jakaś blondyna, ubranie i trwałą ondulacją przypominająca Lamparcicę, jadowitym spojrzeniem zabija moją mamę.

Potem moment, kiedy palce opadają na klawisze: dziesięciu małych tancerzy, dzięki którym zapominam o otoczeniu. Jasność pod mostkiem w klatce piersiowej. Wszystko nabiera lekkości.

Czuję metronom, to moje serce. Biję.

Potoki płynnej gry zalewają myśli o technice, takcie i sekwencji dźwięków. Strumienie melodii przecinają mnie wzdłuż, spływają rękami. Palce pełne dźwięków poruszają się niczym fale.

Utwory, muskane opuszkami, to moi starzy znajomi. Mają fakturę tak mi bliską jak rzeźba mocno zrośniętych części ciała, których wypukłości, wgłębienia i strukturę instynktownie się wyczuwa.

Napięcie i cisza wśród publiczności tężeją z każdym dźwiękiem, pogłębiają się i ciążą. W łodzi fortepianu z żaglem, który tworzy moja koszula, przelatuję nad wycinanką milczących słuchaczy.

Wokół nosa świszczą mi ostatnie wariacje. To nie grają dłonie ani fortepian, lecz wiatr. Lubi Bacha.

Na końcu każde brzmienie musi umilknąć.

Wstaję z miejsca. Wystawiam twarz na ulewny deszcz oklasków. Kłaniam się, jak to codziennie robię w domu.

Mimo że grałam utwory wybrane z jednej epoki, a nie z dwóch, jak określa regulamin konkursu, jurorzy obsypują mnie punktami.

Przychodzi mi na myśl żółta biedronka o dwudziestu jeden kropkach, którą niedawno dostrzegłam w krzakach porzeczek. Miała chorowity wygląd. Całe plecy usiane czernią. Niezdrowy nadmiar punkcików...

Oczy wychowawcy błyszczą gorączkowo. Marzy mu się już finał konkursu na szczeblu federalnym.

Czuję się zmęczona. Bardzo zmęczona.

Wreszcie udaje nam się uciec na parking. W drodze do domu śledzę ruch wycieraczek, myślę o przyszłości. Głębszego sensu w dalszych występach jakoś nie mogę się dopatrzeć.

Gdy skręcamy w ulicę o zwierzęcej nazwie, oświadczam mamie, że (na razie) nie interesuje mnie dublowanie samej siebie.

– Tak też myślałam – odpowiada z uśmiechem.

29.

On już nie jest jej ojcem. Nie jest jej ojcem, tak jak ten zsuwający się na podłogę skrawek materiału nie jest płaszczem kąpielowym.

Master Bison removes his cape before battle. Zrozumiała.

Jego ciało mieni się z żołnierska na czerwono. Poniżej sztywność masztu obwieszzonego krwistymi flagami.

Zmasowane obnażenie zasłania panoramę pokoju, neguje parzyste istnienie nagości i bezbronności.

Srebrne nagolenniki i naramienniki jego kostiumu pozostają niewidoczne. Czuje tylko ich ciężar.

Ostatni błysk rażącego światła lampy, zanim ją staranuje. Teraz na plecach. Tuż pod niezdecydowaną postacią, która zapala–gasi–zapala–gasi jasność – sekundowe zaciemnienia słońca, które wpadają do środka z regularnością słonych fal.

Jego rytm przeczy naturze. Powoduje wstrząs. Czy to czas snu, czuwania czy umierania? Ptaki by oszalały.

Mruży oczy.

Skąd ten blask? Refleksy światła na błyszczącej złotem naszywce z trupa czaszką na jego czapce? Światło, które pali się pod sufitem?

Boi się zamknąć oczy i pogrążyć w czerni.

Źrenice i tęczęwki oczu postaci, która nie jest jej ojcem, nie jest jej ojcem, nie jest, nie, nie, przenigdy, znikają za mrugającymi powiekami, pozostawiając tylko upiorne białka. Nic poza tym.

To bezduszne, drętwe coś, ciężące jej niczym ołów na klatce piersiowej, żąda posłuszeństwa. Wciąż na nowo.

Rozgląda się za swoim paskiem życia, ma nadzieję, że znajdzie zwiastuny przetrwania. Paski, deski, dryfujące kawałki drewna – chwyci się wszystkiego, co tylko pływa na powierzchni i opóźnia utonięcie. Nie znajduje nic.

Jego dotyk wlecze ją do miejsc poza czasem. Życie czeka przypuszczalnie gdzie indziej. Nie jest siebie pewna.

Pewna jest tylko tego, że ta ręka nie należy do jej ojca. Nie należy do jej ojca, jak nie należy do niego pot ściekający na nią

kropelkami.

Master Bison possess an inherently evil energy.

Opór jest bezcelowy.

Skupia się na tym, co pamięta. Przywołuje na myśl śliczną Chun Li i jej powiewające na wietrze wstążki we włosach, lazur sukienki. *A young girl, filled with the beauty of spring.* Ona również jest sierotą, bez ojca. O, jaka ona jest ładna! Piękna i odważna – na próżno. Master Bison i tak ją pokonał. *He defeated her, then flew away laughing, telling her that if she ever attacked him again, he would kill her just like he had killed her father.*

Bezsensowność zaprzysiężonej tysiąckrotnie zemsty, która ojca już i tak nie przywróci.

Wciąż jeszcze jest obmacywana. Zdaje się jej to nieludzkie. Owadzie czułości. Istna plaga.

Widok dziesięcionogich pajaków-palców budzi odruch, by je z siebie strząsnąć.

Rzygać się chce.

Żołądek niczym była wśród innych zdradzieckich organów, które dalej pompują i oddychają, i filtrują, jak gdyby nigdy nic.

Okrutna obojętność sprawnie funkcjonującego ciała, które pragnie jedynie wykonać swoją dzienną pracę.

Bezwzględny priorytetem jest utrzymanie oddechu. Na teraz pozostaje tylko bezsilna odraza. Śmiesznie mały opór. Nienawiść spełzająca na niczym.

Niezdolność do obrony budzi w niej głęboki wstyd.

– Nie jesteś moim ojcem – mówi, mówi to na głos, żeby świat usłyszał, powtarza raz jeszcze, żeby się utrwaliło, wykrzykuje, żeby stało się rzeczywistością, i obrywa w twarz. Po jednym policzku za każde zdanie.

– *Anyone who opposes me, will be destroyed* – odgraża się Master Bison.

Ona jednak żyje dalej, jest bardziej obecna niż kiedykolwiek. Czuje, że chodzi, kołysząc biodrami. Pragnie zniknąć. Spojrzenie wstecz to potwierdza: Master Bison pojawił się wraz z rozwojem u niej

nowych cech płciowych. Marzy jej się pięciomarkowa moneta wielkości całej dłoni, za pomocą której dałoby się wepchnąć z powrotem te przeklęte gule na klatce piersiowej. W wyobraźni cofa wskazówki swojego zegarka, choć wie przecież, że to bez sensu, bez sensu, bez sensu.

Nie spełni się jej pragnienie, żeby wśliznąć się z powrotem w przeszłość, w czas, którego beztroski nie zatruwały piersi, nie zakłócały biodra. Odbicie w lustrze uparcie i uczciwie prezentuje jej wybudujące niczym chwast ciało. Dlaczego musiała się tak mocno rozrosnąć?

Zmiany również w innych miejscach. Tam, gdzie kiedyś były oczy, pojawiły się dwa wodospady. Z twarzy zniknął uśmiech. Kiedy ona odpływa myślami gdzieś indziej, wszystko toczy się dalej.

Łóżko skrzypi i pojękuje cicho.

Później obmacuje płaszcz kąpielowy. Na haczyku wisi frotowy flak, który udaje niewinność, miękkość. Mistrz pozorów i kamuflażu. Taki, który wie, jak zwieść matki. Matki, które nie chcą się niczego domyślać. Matki, które wierzą w płaszcz kąpielowy.

30.

Najpierw przez strefę zamieszkania, ulicą wiodącą koło zagajnika w kierunku granicy miejscowości, skąd odgałęzia się niewielka dróżka wprawdzie o asfaltowej nawierzchni, lecz otwarta jedynie dla ruchu maszyn rolniczych. Po zboczu wzgórza, dalej brązowymi śladami opon ciągników, aż do następnego kawałka lasu nieco zagubionego wśród tyłu pól i pastwisk. Jeszcze parę kroków i szara gładkość kończy się wyboiszczeniem, kręto i żwirowato.

Żwir chrzęści nam pod stopami. Polna dróżka wiedzie nas skrajem lasu. Po lewej stronie, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, widać stare i samotne, nadpalone i pechowe drzewo kalekę. Trafione piorunem, ale nie całkiem zniszczone, zapomniane przez rolników, jeśli nie wzgardzone, wczepia się korzeniami w ziemię. Drzewo dla kraczących wron w żałobnych sukniach, na których plama sadzy nie rzuca się w oczy. Natomiast kolorowo wystrojeni śpiewacy unikają jego konarów, a właściwie kikutów.

Idziemy dalej do myśliwskiej ambony. Zmurszała konstrukcja przylega do dębu niby bluszcz. Na razie. W wielu miejscach jeszcze żywe drzewo zaczyna wypychać z kory gwoździe, jeden po drugim. Zasklepia swoje rany, uwalnia się z uścisku i obluzuje deski.

Nas to nie odstrasza. Wdrapujemy się na górę, siedzimy na wysokości, nie myślimy o upadku.

Atmosfera jest napięta. Mam dość tego, że muszę być ciągle Kenem. Do żywego dotyka mnie twój ośli upór, z jakim obstajesz przy wiecznie takim samym podziale ról, według którego ty możesz sobie na zmianę grać Chun Li i Ryu, tymczasem dla mnie przewidziana jest wyłącznie partia syna bogatego właściciela sieci hoteli, którego do walki skłaniają tylko żądza przygód i potrzeba uznania. Z tygodnia na tydzień utwierdzam się coraz bardziej w podejrzeniu, że dopatrujesz się we mnie podobieństwa do charakteru Kena. Przygotowuję więc listę jego najwyrazistszych cech, by ustalić stopień prawdopodobieństwa owych przypuszczeń.

Najpierw zalety. Według mojej wiedzy można go ogólnie opisać jako postać o beztroskim i pogodnym usposobieniu. Chodzi sprężystym krokiem, postawa prawidłowa, ramiona wyprostowane i głowa wysoko. Żadnego krzywienia się ani kulenia czy zwisania, żadnego człapania ani wleczenia za sobą nóg, jak okiem sięgnąć. To typ skory do sztubackich figli i rubasznych żartów. Pasjami lubiący flirtować z dziewczynami. Ten, kto po chłopaku z dobrego domu spodziewa się kultury i powściągliwości, pokręci zapewne głową na widok jaskrawoczerwonego stroju i czupryny utlenionej na blond. Blask. Splendor. Bufonada. Cała ta rewia – to są rzeczy, w których gustuje Ken. Jaśmina Celina Justyna życzy sobie widzieć go zawsze w nastroju egzaltacji. Uwielbia wkładać mu w usta, które są niestety również moimi, próżne przechwałki. Nie dość na tym. Ken, jakiego chce we mnie widzieć, musi być poza tym niecierpliwy, porywczy i odznaczać się niezrównaną arogancją.

Stopniowo jednak niesympatyczna strona charakteru amerykańskiego wojownika wyraźnie się usamodzielniała. Pod kruszącą się, perłowobiałą fasadą szyderczego uśmiechu otwierały się codziennie nowe otchłanie, w których głębiach jego cechy deformowały się groteskowo, nasilały lub wypaczały.

Krótko przedtem, zanim nastąpiła ta mroczna metamorfoza, Ken zdawał się jedynie nazbyt luzacki. Jednak ochoczo wybaczano mu jego skłonności do ferowania przedwczesnych ocen i pospiesznego działania, bo uważano je za objaw uboczny jego wrodzonej beztroski. I tak z dawnego wesołka Ken przepoczwarzał się coraz bardziej w nieobliczalnego i nadętego zarozumialca.

Metamorfoza Kena z ujmującego chłopaka w antypatycznego typu dokonała się szybciej, niż można się było spodziewać. Dziewczyny już dawno przestały się śmiać z jego sprośnych dowcipów, mówiono też, że utrzymuje kontakty w dzielnicy czerwonych latarni, gdzie taki facet o ciężkiej pięści, jak wiadomo, zawsze się przyda...

Im dłużej rozmyślam o Kenie, tym bardziej chmurzę czoło. Zastanawiam się, co to ma wspólnego ze mną, gdy tymczasem obrażona nadymam dolną wargę.

Cień wbija mi się w serce tym głębiej, im jaśniej zdaję sobie sprawę z tego, że kilka cech Kena, oglądanych w bezlitosnym świetle prawdy, jak najbardziej wydaje się mi znajomych...

Ponadto widzę już od chyba wieków, jak z najróżniejszych ust i zakamarków płyną pod moim adresem zarzuty arogancji. Większość z nich jest godnych pożałowania i nie dosięga celu. Tym bardziej wkurzam się na samą siebie, kiedy czuję, że mimo to się płaszczę i ustępuję.

Arogancka...

Potrząsam głową i włosami. Niech te nieporozumienia natychmiast odkleją się ode mnie!

A co teraz? Co zrobić? Co z tym na wpół zepsutym humorem? Nie mam ochoty na kłótnie. Nie dziś.

Kierując się przykładowym umiłowaniem zgody i pokoju, ogrzewam wzrok złotem pól, aż chandra się roztapia i uśmiech rozjaśnia mi twarz. (Zdumiewające, jak szybko to następuje).

Mija kolejna część popołudnia.

Wciąż jeszcze siedzimy, ona i ja, w ciszy i harmonii na dębowym tronie. U stóp nasza ostoja.

Tego samego dnia po południu. Pod tym samym słońcem strasznie leniwie wlokącym się po niebie.

Obserwuję: wiatr, falujące łany chabrów, pojedyncze ptaki lecące ku górze. Nad moją głową gąsienice wiją się wokół łukowatych, błyszczących na ciemnozielono zatok z liści dębu. Procesja czerwonych mrówek wykorzystuje mazerunek desek podłogowych jako szlak swoich pielgrzymek.

Ambona nagle zaczyna mnie kolosalnie nudzić.

A więc na dół i do lasu okładać kijami pnie drzew i śpiewać na całe gardło popularne piosenki.

Kiedyś brat JaśminyCelinyJustyny, w zaskakującym, całkowicie dla niego nietypowym przyпыwie sympatii, przegrał jej kasetę. By docenić należycie ten niezwykle hojny gest, odśpiewujemy najpierw wszystkie nagrane na niej kawałki, zanim przejdziemy do repertuaru powszechnie znanych szlagierów, piosenek ze słuchowisk i filmów Walta Disneya.

Trzy świerki na prawo ode mnie rozlega się właśnie pierwsza zwrotka jednego z niewielu przebojów, których nie cierpię. Śpiew JaśminyCelinyJustyny z każdym taktem melodii wzbiera i przeobraża się w coś, co ma niewiele wspólnego z naszym zwykłym wrzaskiem. Znam dobrze tę szczególną zmianę intonacji i tylko z trudem znoszę przeraźliwy okrzyk bezsilności, który

wydobywa się z gardła nad korzeniami i paprociami, i zdaje się zaadresowany do kogoś, kto od dawna już go nie słucha. Ale jeszcze nie jesteśmy na tym etapie, jeszcze kilka zwrotek.

Słyszę jej zawodzenie: „Blisko już dzień – ooooooch/ Gdy życzenia nas uleczą/ Blisko już dzień – ooooooch/ Gdy życzenia nas uleczą...”.

Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że życzenia na nic się zdadzą, a przymus ich wypowiedzenia na widok spadających z nieba gwiazd traktuję z pogardą. Taka spadająca gwiazda mi się podoba. Dla mnie nie musi już nic innego robić.

Śpiew trwa nadal.

Tekst jest naszpikowany słowami, które ledwie przechodzą mi przez gardło. „Kiedyś będzie zbyt pięknie, żeby to była prawda”. Ktoś bierze „los w swoje ręce”. Wers „wszyscy znów będą sobie równi” przeskakuję dla zasady. Nikomu nie chcę być „równa”. A już tym bardziej tym, którzy muszą wiązać nadzieje z życzeniami! Czubkami palców stopy walę w korzeń drzewa. Co jest takiego złego w tu i teraz? Wkurza mnie to durne-bzdurne narzekanie na terażniejszość. Co za głupota! Przecież wszystko, co mam, to ten las, buty, mech, ptaki, zachrypnięte gardło, brudne kolana oraz tysiąc innych rzeczy z długiej listy proponowanych mi przez dzień dzisiejszy, który wdycham z wilgotnym i ciepłym powietrzem. Przeszłość mają również zmarli. Przyszłość jest horyzontem, do którego można się tylko zbliżać. Jedynie dzisiejszość czyni różnicę.

„Dobrze mieć życzeenia/ Dobrze mieć życzeenia/ Dobrze mieć życzeenia!”

W końcu wyczerpały się też ostatnie życzenia i zwrotki. W tym momencie na twarzy JaśminyCelinyJustyny dostrzegam, jak zwykle, cierpienie wywołane życzeniami bez sensu.

Trzeba jej to natychmiast wybić z głowy. Chcę zobaczyć uśmiech na jej twarzy... Sięgam zdecydowanie po odtrutkę, zaczynam śpiewać: „Sam pipl kol mi de spejs kałboj – JEE!/ Sam kol mi de gangster ow laaaaaw/ Sam pipl kol mi Moris...”.

Gwizd w najlepszym stylu majstra na budowie.

„...Bikoz aj spik ow de pompetes ow laaaaaw”.

Nie mam oczywiście zielonego pojęcia o tym, co śpiewam. Nieważne. Znam słowa „kowboj”, „love”, imię Maurice i „gwizd-do-

przechodzącej-ulicą-seksownej-panienki”, słyszę beztrosko skoczną melodię – tyle mi wystarczy, żeby zrozumieć, że śpiewa jakiś wesoły gość.

„Bikoz ajm e pika/ ajm e gryna/ ajm e lawa/ end ajm e syna...”

Wiem, co znaczy „lover”!

„Aj plej maj mjuzik in de saaaaaan/ ajm e džoka/ ajm e smoka/ ajm e midnajt toka/ aj get maj lawin on de ran.../ Oooooooooohhhh, ooooh, uuuuuuuch, uuuuuuuuuch!”

Dżokerem musi być ten Maurice. Bez wątpienia szczęściarz... Już widzę, jak JaśminieCelinieJustynie drżą kąćki ust. A przecież jeszcze nie doszłam do słów „Lawy dawy, lawy dawy, lawy dawy ol de tajm”, które, gdy nic już nie pomaga, powtarzam po prostu tak często, aż ona zaczyna się z tej rozpaczy śmiać.

„Kam on bejby nał, ajl szoł ju gut tajm!!!” – drę się na całe gardło w głąb lasu – cokolwiek to znaczy.

W którymś momencie, po całym szeregu *loveys-doveys* i niezliczonych „oooooooooch-oooooooooch”, zaczynam chrypieć i proszę o krótką przerwę, żeby odsapnąć.

Popołudnie trwa nadal.

Leżymy na ziemi, szelest ryjówek wokół, głowy na poduszkach z mchu.

W zadumie przyglądam się czarnym półksiężycowi za paznokciami. Przedtem, gdy śpiewałam dla JaśminyCelinyJustyny, przeleciała mi przez głowę myśl o Kenie. Czy on i Dżoker nie są czasem chojrakami ulepionymi z tej samej gliny?

Spójrzmy: dwóch wesołków z kochanymi słonkami, *lovey-dovey*, gruchają jak dwa gołąbki i chodzą z szeroko rozstawionymi nogami jak kowboje, obaj mają twardą pięść, jeden wali w struny, a drugi w szczękę. Duchowi bracia. Z lekkim niepokojem nucę pod nosem melodię „Dżokera”.

Czy nie jest tak, że piosenka, którą tak chętnie śpiewam na całe gardło w głąb lasu, to w rzeczywistości hymn szpanerów? A może JaśminaCelinaJustyna w końcu jednak dała mi odpowiednią dla mnie rolę?

Potrząsam gniewnie głową. Z przekorą wwiercam kłykcie w kępę mchu.

Dobra, niech będę Kenem i już.

Myślę sobie, że to i tak tylko jedna z wielu barw, którą potrafi przybrać moja natura kameleona, i zadzieram nosa.

Głosikiem hrabiny i z zarozumiałą miną zaklinam jeszcze raz świerkowe pnie, „Kam on bejby nał, ajl szoł ju gut tajm!!!”, zanim gwizdnę na wiewiórkę o ładnych oczach i osunę się nonszalancko na poduszkę mchu. Obok JaśminaCelinaJustyna i Myszka Minni na jej T-shircie prześcigają się, która lepiej umie szczyrzyć zęby. Dżoker von Braun gratuluje sobie tej wygranej.

Upał.

Skrzynka rozdzielcza przed domem błyszczy niczym szary blok kamienia. Do wysokości mojej brody sięga połyskujący odłam skały z drzewkami, o którego wewnętrznym życiu nic nie wiem. Siedzę na nim, mając nogami nad dochodzącym ze środka warczeniem i czekam.

Nie przyszłoby mi do głowy zmarnować pół dnia na spanie, tym bardziej że sen sam w sobie jest według mnie podejrzany, nie wspominając już o tym, że wręcz nie znoszę zapadania się w taki stan, czyli zasypiania.

Boję się wieczorów, gdy gaśnie słońce, a trąby powietrzne bojaźliwie wypełzają z ciemnych zakamarków i mnie okrążają. Boję się poprzedzającego zapadanie zmroku uczucia z trudem powstrzymywanych łez rozpacz. Niepokoi mnie codzienne pożegnanie z mamą. Klęczy jeszcze przy łóżku. Klęczy zawsze za krótko. Wiadomo, oczy napęlnią się czernią, wykluczą mamę, pokój i świat, i zniknę gdzieś, dokąd inni w żaden sposób nie dotrą. Nie przebywam tam zbyt chętnie. Dzisiaj mam już za sobą zaskoczenie tym, że się obudziłam, że znowu udało mi się powrócić do ciała ze wszystkimi palcami. Zdumienie, że ponownie uczestniczę w życiu, znikło jak zawsze w chwili, gdy między moimi zębami chrupnęły pierwsze płatki kukurydziane...

Nie ma ćwiczenia trudniejszego niż beczynne siedzenie.

W końcu niepokój staje się nie do wytrzymania, zeskakuję ze skrzynki z prądem elektrycznym, który naładował mnie łaskoczącą i szczypiącą energią. Skórna powłoka świerzbi mnie i mrowi, doprowadzając do szału.

Co też mnie podkusiło, żeby usiąść akurat na tej cholерnej skrzynce?

Winę ponoszą (a jakże) krótkie nogi oraz maniakałnie wręcz zespolone ze sobą mięśnie i stawy kolanowe, które chyba nigdy nie rosną wystarczająco szybko ani nie pozwalają na wystarczająco

długie kroki. Brak odpowiedniej długości nieuchronnie wzbudza w nich ciągłą potrzebę podwyższenia. Pewnie wspinają się na każde drzewo i na każdy stołek, na każdy murek i na każdy brzeg studni; stają na huśtawkach i bagażnikach; ojcowskie plecy ich nie zadowolają, wolą jeździć na ramionach taty...

Rozdrażniona swędzeniem przechodzę przez ulicę, zbliżam się do twojego okna.

Zaledwie kilka metrów dzieli latarnię od twojej żaluzji. Obejmuję szary, łaciaty słup i tworzę trójkąt prostokątny: dwa boki – człowiek, jeden bok – słup latarni.

Gdy okręcam się wokół szarego masztu, latarnia szumi i śpiewa piosenki do mojej dłoni. Jej światło kryje się gdzieś wysoko nade mną za gęsto utkanymi sieciami pajęczyn. Dopóki żar leje się z nieba na latarniany klosz przypominający raczej kask, trwa przerwa. Szepczemy sobie dalej. Wnętrze mojej dłoni rozgrzewa się coraz bardziej.

Świadomość, że śpisz, odsuwa ciebie w odległą przestrzeń.

Tu jest kawałek trawnika. Opaska z kamienia otaczająca twój dom. Grube warstwy beżowego tynku, a pod nim kamień na kamieniu na kamieniu. Dwadzieścia centymetrów blaszanego parapetu okiennego. Żaluzja, a za nią szkło, wielowarstwowa szyba. Poszarzała firanka. Jeszcze niecały metr dywanu do twojego łóżka i wreszcie: twoje stopy, nogi, brzuch. Twoje usta i oczy, które mogą mnie rozpoznać, jeśli je otworzysz. Ale ty śpisz. Nie ma mnie. Są tylko marzenia i miraż: kolorowe mieszańce, ich matki to rozmaite doświadczenia, ich ojcowie pracują w ośrodkach przetwarzających obrazy w twoim mózgu... Nic nie wiem o tym, gdy odwiedzam cię w nocy.

Zmieniam rękę, ramię i kierunek obrotu.

Mam przeczucie, że jeszcze więcej nas dzieli, i to przeczucie z każdym obrotem wkręca się we mnie coraz głębiej i zamienia w pewność. Z rozrzewnieniem wygrzebuję z pamięci moją ulubioną scenę:

My obie – jeszcze na tyle malutkie, żeby zmieścić się razem w żółtej jak koparka skrzyni na kółkach – kucamy w niej niczym w ładowni.

Nie ma takiej pochyłości, która byłaby dla nas zbyt stroma. Dla nas i dla naszego pojazdu. Wtedy. Z radosnym piskiem pędzimy z górki na pazurki. Tego świat jeszcze nie widział: błyskawica z pasażerami! Wszyscy nie mogą się nadziwić.

Pędzimy dalej. Zjeżdżamy po zboczach, póki nie przewrócimy się na krawężniku czy żwirze, a wtedy dwie garście członków koziołkują ze śmiechem w dół. Wspólna wywrotka jest zawsze bezbolesna.

Wciąż na nowo. Pod górkę, z górki. Asfalt szlifuje kółka skrzyni, aż w końcu odpadają.

Połąskotane pędem wiatru leżymy wśród szczątków rozbitego wózka, a nasze kolana ozdobione są identycznymi zadrapaniami. Ani piekący ból, ani uliczny kurz nie są w stanie zniszczyć naszego wielkiego szczęścia.

Pewność, że udało się wycisnąć z tej skrzyni jeszcze ostatnią kroplę uciechy, daje chwilę uniesienia. Napawa nas dumą, że odważyliśmy się, ramię w ramię, runąć.

Podrapane, lecz niezłamane, stoimy u stóp pagórka, spoglądając na zajędzonego na śmierć żółtego konia. Brzuski aż obolałe od szaleńczego śmiechu.

Tego się nie da powtórzyć.

Przestaję się obracać. Słup milknie.

Nie podoba mi się, że tęsknię za czasami, kiedy nie byłaś jeszcze kobietą, a ja nie musiałam wciąż odgrywać roli mężczyzny... Nachmurzona wrywam kępkę trawy z waszego trawnika, obsypuję ulicę zielonym konfetti.

Cholerne czekanie.

Na krótko przedtem, zanim zniecierpliwienie pogna mnie do dzwonka u twoich drzwi, zza węgła wychodzi Egipcjanin. Widok jego krokodylozielonych oczu budzi we mnie pod mostkiem znajome uczucie, jakby podskakiwały kauczukowe piłeczki.

– Mam coś dla ciebie – mówi, po czym ta piłeczka we mnie zaczyna dziko skakać, aż zahacza o brzuch.

– Co-co-co! Powiedz-powiedz-powiedz!

Uśmiecha się tajemniczo. Ujawnienie tej tak drogocennej rzeczy tu, na ulicy, nie wchodzi w grę. Chce, żebyśmy poszli nad jezioro Egelsee.

Myśl, że całym ciałem, wciąż jeszcze swędzącym i naelektryzowanym, rzucę się z kładki pomiędzy chmury odbite w wodzie, podoba mi się bardzo. Zamienię czekanie na przedsmak radości – postanawiam i wpycham ręcznik oraz strój kąpielowy do worka gimnastycznego.

Właśnie ruszamy, gdy w twoim oknie drga żaluzja. Za późno.

Nie spała jeszcze, kiedy wiatr niósł po ulicach dźwięki dzwonu bijącego czwartą. Budzik pokazuje teraz dziesięć po jedenastej. Oczy ma zmęczone, ale otwarte. W żaluzji jest mała szpara. Radosne przeczucie każe jej zerwać się z łóżka i podbiec do okna. Patrzy ukradkiem i rzeczywiście: na zewnątrz ktoś czeka.

Widok przyjaciółki obserwowanej przez szparę rozmywa się na obrzeżach. Mimo to ją poznaje, rozpoznałaby ją nawet w tłumie.

Widać niecierpliwie majtające nogi w obciętych dżinsach. Do tego koszulka na cienkich ramiączkach, kiedyś podarta, a teraz zawiązana na supeł. Warkocz na samym czubku głowy opada niby pióropusz palmy z wysp Pacyfiku Południowego na ramię, muska je i głaszcze jak wierzbowe witki tafłę wody... Na koniec sumują się rzeczy widziane i niewidziane, widzialne i niewidzialne, a to, co się wie, w co się wierzy i co przypuszcza, stapia się w całość, tworzy postać. Dziewczynki.

To siostra krwi.

Cudownie jest wiedzieć, że przyjaciółka czeka z utęsknieniem tylko na nią, na nikogo innego. Ona tkwi tam na szarej skrzynce, po drugiej stronie ulicy, dwa kroki stąd. Nie może usiedzieć na miejscu. Zaraz przejdzie przez ulicę.

I rzeczywiście: kiedy lewe oko zamienia się z prawym i zaczyna podglądać przez szparę, nogi przestają majtać, zeskakują, biegną. Badawcze spojrzenie zza szyby i żaluzji budzi krótki przestrich. Ale nie, ona nic nie widzi, nie może nic widzieć. Dochodzi do latarni, łączy ze sobą ramię i słup. I karuzela rusza. Przyjaciółka, teraz w roli kurka na dachu, kręci się i kręci, wiruje. A nad nią sztywna blaszana chorągiewka z nazwą ulicy.

W pobliskim pokoju bezruch. Nie chce wyjść z domu. Zastygła ze wzrokiem utkwionym w przyjaciółkę.

Wciąż jest tylko nadzieja. Do tego radość z bycia oczekiwaną. Wyobraża sobie dzisiejszy dzień. Wszystko jest jeszcze możliwe...

Nie pozostanie tak długo. Za sześć tygodni gimnazjum. Dzień powszedni będzie rodzić coraz to nowe rozstania, wbijać kliny kilometrów. Inne koleżanki rozdziela przyjaciółki.

Nadal obserwuje, ukryta za szybą i żaluzją. Pod burzą loków myśli o tym, co było wcześniej.

Tymczasem na ulicy pojawia się chłopak z włosami blond. Czuje, jak jego obecność zmniejsza czekanie, które przecież jej się należy. Dlaczego on sobie nie pójdzie? Pośpiesznie zrzuca koszulę nocną, szuka spodni, nie znajduje czystego T-shirtu.

Siostra krwi znika w sąsiednim domu. Teraz pod latarnią czeka zamiast niej przyszły gimnazjalista. Pod blond czupryną głupkowato sobie pogwizduje.

We trójkę...? Nie. Tego nie chce. Woli liczyć na jej powrót.

Chce, by palec przyjaciółki nacisnął dzwonek. Zaraz, zaraz przyjdzie, zadzwoni do drzwi, a chłopaka pośle do domu. Jest! Wróciła. Z workiem dyndającym na ramieniu.

Dopiero teraz zauważa, że również blondyn ma ze sobą tobołek. Głowami dają sobie znak, że są gotowi do drogi. Odwracają się, by odejść.

NIE! Szarpie żaluzją. Z jednej szparki robi się dwadzieścia. Widzi jeszcze siostrzane spojrzenie przez ramię.

Już się odwróciła. Już się oddala.

Tam, gdzie nie można zapobiec temu zmniejszaniu się i zmniejszaniu, niknięciu w oddali, dopada ją niemoc. Pod lokami kłębią się myśli, że ona tam idzie sobie ramię w ramię z jednym takim, co kiedyś będzie ojcem.

Ulgi nie może jej przynieść rozdrapanie do krwi ani trzech, ani czterech, ani pięciu ukąszeń komara.

33.

Siedzę na krawędzi pomostu. Mój tyłek ubrany w strój kąpielowy zasłania inicjały wyryte w drewnie na samym brzeżku. Czy B + M i F + C kochają się jeszcze? Drżenie desek zapowiada powrót Egipcjanina z krzaków, ma teraz na sobie kąpielówki.

Wilgoć liże mi palec u nogi, który niby nartnik sunie po łagodnie pofalowanej tafli wody. Błękitno-zielone ważki, uskrzydłone kreseczki o oczach, których niezwykła wielkość i kształt przypominający oszlifowany kamień są dla mnie zagadką, lecą, brzęcząc, ku nenufarom. Ramię Egipcjanina dotyka mnie tak lekko jak ja wodę: muśnięcie ust.

Odchylam głowę do tyłu i nie mogę wyjść ze zdumienia: błyszcząca zieloność bukowych liści plami odległe krańce nieba. Reszta jest najgłębszym, migotliwym błękitem. Niebieskość tak niebieska, że pozwala przeczuć istnienie ciemności, owej czerni, przylegającej do odwrotnej strony firmamentu, w której mrugają niespokojnie gwiazdy łaskoczące rzęsami ze światła lśniąca kopułę. Czern jest bliżej, niż myślałam. Można ją wyczuć. Leży tam w górze. Gęsta i ciężka. Na czaszy sklepienia naszego jaskrawobłękitnego cudu uszytego świętymi rękami z płatków gigantycznych goryczek.

By dać moim oczom chwilę wytchnienia, kieruję je na Egipcjanina.

Jego plecy mają kolor herbatników. Potargane, wyblakłe od słońca kosmyki opadają mu na czoło, lądują na kości nosa. Porównuję nasze górne części ciała, które od pewnego czasu, jak uważam, coraz mniej są do siebie podobne: jego sutki nadal płasko przylegają do ciała po obu stronach mostka, tymczasem moje usadowione są od niedawna na obrzękłych kuleczkach wielkości żółtka. Przyznam, że chodzi o dwa bardzo małe żółtka raczej jajek przepiórczych niż kurzych, a jeśli przyjrzeć się dokładniej, to tak naprawdę zmieniły się tylko same sutki... Kiedy one, kurczę, urosną?! Chyba już nigdy. NIGDY.

Jak dobrze, że Egipcjanin gmera teraz w swojej torbie. Jestem gotowa na skierowanie myśli w inną stronę. Na niespodziankę tak czy tak.

Plastikowa torebka, w której chłopak czymś szeleści, nie jest przezroczysta. Patrzę z napięciem, jak powoli się z niej wynurza jego prawa ręka, do której między kciukiem i palcem wskazującym przykleił się biały krążek opłatka.

Poznaję na pierwszy rzut oka, że to nie jest zwykły opłatek pod ciasteczka. To, co tu wschodzi nad brzegiem plastikowej torebki niczym blady księżyc, to jedna z owych świętych hostii pieczonych przez pilne siostry zakonne, ozdobionych na odwrotnej stronie symbolem krzyża. Podekscytowana łapię torebkę i robię okrągłe oczy: między ściankami plastiku harcuje sobie dobre trzydzieści ciał Chrystusa. Kwestia, czy te ciała są poświęcone, czy nie, z początku wydaje mi się nieistotna. To oczywiście jak dwa razy dwa, że wszystkie razem pochodzą z owej tajemniczej, cały czas starannie zamkniętej na klucz szuflady w zakrystii. Rabunek uważam za niebywale mistrzowski wyczyn, imponujący mi w najwyższym stopniu.

Słucham relacji z tego bohaterskiego czynu.

Wczoraj wieczorem, po niesporach. Egipcjanin jest ostatni, grzebie się specjalnie przed wyjściem z zakrystii. Ksiądz dziekan na zewnątrz na kościelnym dziedzińcu. Zajęty. Skupiony na troskach swoich owieczek. Gdy ministrantka idzie zgasić świece, Egipcjanin szybko się obławia. Po czym wieje, aż się kurzy. Tak szybko jeszcze nigdy nie był w domu.

Słucham jego opowieści w milczeniu, z pełnym szacunkiem. Pora skonsumować święte dary...

– Założymy się, że podam ci hostię, nie używając rąk? – oznajmiam, piętrząc opłatki jak żetony w kasynie i robiąc moją najlepszą minę: najbardziej nieprzeniknioną twarz pokerzysty.

Mimo że Egipcjaninowi naprawdę nie brakuje wiary w moje umiejętności, to idzie o zakład, że ta sztuczka mi się nie uda.

Zbliżam się na czworakach do jego po turecku skrzyżowanych nóg i siadam na piętach. Dziewczyńskie kolana dotykają stóp Egipcjanina. Przestrzeń między nami jest niewielka.

– Otwórz usta – proszę, a on to robi.

Ostrożnie przyklejam opłatek do różowego koniuszka mojego języka, pochylam się do przodu i przemycam krążek z ciasta

między wargi Egipcjanina, skąd jego język odbiera chleb, który pozwoli mu żyć wiecznie. Tuż, tuż iskrzy się krokodyla zieleń.

Dopiero gdy znów siadam na piętach, wraca mi ostrość widzenia. Dostrzegam mały uśmieszek na jego twarzy. Bierze żeton hostii ze stosiku, wciska mi w prawą dłoń i mówi:

– Jeszcze raz!

Później dzielimy się zawartością mojego bidonu, który zapomniałam wyjąć z torby dwa lub trzy dni temu. Sok jabłkowy z wodą pachnie trochę jak wino mszalne...

Nagle dość mam tych wszystkich zbawiennych wydarzeń, zrywam się na równe nogi i rzucam do wody. Przodem palce, ramiona i głowa, a za nimi cała reszta ciała. I zaraz otacza mnie żółtawo-brązowawy chłód. Moją nasyconą słońcem skórą ogrzewam każdą lgnącą do mnie kroplę; ja, grzałka o ruchach pływającej żaby. Nad ramionami i plecami unoszą się, lekko jak meduzy, długie czułki włosów. Dna od dawna już nie mogę dosięgnąć stopami.

Z cichym pluskiem obracam się na plecy i pozwalam się nieść na środek wodnego oka, które nie potrafi mrugać. Nade mną płynie maleńki obłoczek, który został wypuszczony przez smoka nienadającego się do ziania ogniem.

Małżowiny uszne po bokach głowy zanurzonej w wodzie przysłuchują się niemej pieśni karpia i szczupaków, sandacza i węgorzy, płotek i linów; wszystkie są łuskowatymi świadkami naszych sakramentów na kładce. Eucharystyczne ryby – przechodzi mi przez myśl, ale mimo to mam nadzieję, że będą trzymać swoje płetwy z dala ode mnie.

Popycha mnie wiatr. Powoli dopływam do płycizny, gdzie na sercowatych liściach lilii wodnych tokują żaby i mocno się nadymają. Wyrafinowany nenufarowy pakunek. Wśród hałasu i skrzeku liliowobiała, złudna niewinność, skrycie wplątana w muliste dno głębin. Mnie nie oszukacie! Znam dobrze te historie o dziecięcych nóżkach, które raz omotane wodorostami musiały na zawsze pozostać w jeziorze. W popłochu (szybko, szybko, zanim będzie za późno!) napominam siebie do powrotu.

Droga do pomostu jest dłuższa, niż myślałam.

Dyszę ciężko, mam przyśpieszony oddech. Z utęsknieniem wyglądam brzegu, rzucam spojrzenie na skraj lasu niby linę

ratowniczą. Posuwam się naprzód z coraz większym trudem. Wyteżam wszystkie siły, ramionami pruję taflę letniej, przyprawionej pyłkami i liśćmi, gęstej niczym zupa wody jeziora. Dalej, dalej. Liczę: jeszcze cztery ruchy. Jeszcze trzy. Jeszcze dwa... Co za ulga, że znów mogę stanąć na dnie! Zmęczenie i szczęście z łatwością wypierają bojaźliwe uczucie wstrętu, które budzi we mnie niewidoczne dno, czasem żwirowo-ostre, to znów ślisko-miękkie. Szczęśliwa, że znów mogę – tak jak zwykle – używać moich kończyn, wdrapuję się z powrotem na drewno, gdzie Egipcjanin już spokojnie się suszy. Za chwilę leżymy obok siebie – dwoje uratowanych z odmętów królewiatek, którym deski pomostu ogrzewają brzuchy.

Mój strój kąpielowy ostemplowuje jasne drewno, odciskając na nim wzór LottyLuizyŁucji. Błyszczące resztki wody lgną do moich ramion jak krople rosy. Na ich wilgotnej, oszlifowanej na okrągło powierzchni odbijają się pobliskie szuwary. Kołyszące się na wietrze wysokie źdźbła trawy, cygara rogoży pośród smukłych łodyg. W trzcinowym gąszczu krążą z szelestem powtarzane szeptem nowiny.

Pojedynczy, dopiero co swobodnie szybujący w powietrzu obłoczek od kaszlu zamienia się w dwa, potem w trzy. Późniejszym popołudniem wszystko w końcu wskazuje na ciężkie zapalenie oskrzeli. Biedne smoczysko.

Przez kilka minut pogoda się waha. Potem zmienia się raptownie. Przygaszone światło słoneczne. Szumiące drzewa. Jezioro drży i marszczy się na powierzchni. Już po błękicie.

Niebo jest teraz całkowicie spowite batikowymi chustami szaroniebieskich chmur. Fioletowe na obrzeżach. Z żółtawo-czarniawej oddali toczy się głuchy grzmot. Zaraz po nim spada pierwsza kropla.

Pakujemy pośpiesznie nasze tobołki.

Po pierwszej kropli padają kolejne. Wkrótce wszędzie ich pełno. Wyrwy w jezdni zamieniają się w małe stawy. Przydrożnymi rowami, kanałami bez gondoli, spływają na pola strumienie deszczu. Kłębowisko żyłek oślepiających blaskiem rozjaśnia brzuchy chmur, które pękają jak balony wodne. Pięści grzmotów gromią wszelkie odgłosy. Czuję, że biegnę. Żwir milczy. Podeszwy sandałków lepią mi się do stóp: nasiąknięte gąbki ze skóry.

Deszcz napętnia przesieki słupami wody rozbryzgującej się tysiącami kropel. Rozmazany, rozległy widok na zielono-brązowe zjawy. Do pierwszych domów jeszcze daleko.

Ktoś z prawej chwyta mnie za przegub dłoni. Daję się ściągnąć z drogi pod pierwszą lepszą koronę drzewa.

Para pleców przyciska się do gładkiej, ołowianoszarej kory. Tors chłopca i tors dziewczynki oklejone przezroczystą bawełną.

Musimy przeczekać. W pewnym momencie mały zgięty palec wskazujący szuka mnie po omacku.

Dwa małe palce zahaczają o siebie. Trwają związane ścisłym węzłem, póki deszcz nie ustanie.

Kiedy zbliżamy się do wsi, Egipcjanin musi iść siku. Choć obiecałam, że nie będę patrzeć, odwracam się i mu przyglądam. Przy okazji zauważam, że nad łąką rozpinają się równocześnie dwa łuki: jeden, ten mniejszy, szemrze sobie żółtawo, natomiast drugi, ten większy, w majestatycznym milczeniu pozwala przemawiać jedynie barwom. Rozbawiona przenoszę wzrok na przemian z jednego półkola na drugie... Nikt do dzisiaj nie obalił jeszcze mojej tezy, że boże płyny ustrojowe są w kolorach tęczy.

34.

Bładoniebieskie zapiski w pamiętniku na kartkach papieru makulaturowego o gramaturze 80g/m² w zeszycie (16 kartek, DIN A5, z liniaturą 1):

„Często mi się śni że się zabijam bo już nie mogę znieść tego świata! I coś poza tym ciśnie mnie (teraz) w piersi i mówi: uciekaj stąd idź samotnie w sinom dal bez przyjaciół jak Ryu. On jest wiecznym wędrowcem szuka ciągle nowych wyzwań. Nie zna przyjaciół nie ma domu i stracił rodzinę został na łasce losu prawie tak samo jak ja. Tylko czy ja mam talent, żeby się wyżywić tam z dala od domu? W końcu mam wrodzony talent tylko do pewnych rzeczy i w końcu nie zostałam wyszkolona u jankesów co nie? Dlatego myślę rze mimo stracha zostanę w domu. Będem obchodziła moje urodziny sama i już”.

35.

Drewno, filc, skóra, metal – nie ma tworzywa, które by nie ucierpiało pod wpływem wilgotnego morskiego powietrza...

Fortepian stoi w przestronnym wnętrzu z oszklonym frontem. Oczami błędzę po otwartej przestrzeni za oknem, przelatuję nad spękanyymi, gładkimi płytkami aż do kamiennej balustrady oddzielającej werandę od plaży. Plamy światła padają przez szyby na instrument, który jest tak suchy jak chrust na rozpałkę w kominku.

Nie zawsze tak jest.

Także i tu Ziemia się obraca. Ciągłe w koło, aż kiedyś lato się kończy i nastaje inna pora roku. Przychodzą wilgotne bryzy i gwałtowne ulewy zmieszane z wodą morską. Drobnutkie kropelki przenikają przez ściany jak strachy; straszą, strzykając wokół śliną; nawilżają powietrze we wnętrzu. Drewno i filc miesiącami pęcznieją od wilgoci. Korpus fortepianu cierpliwie znosi kaprysy pogody na wybrzeżu. Przyzwala na wyniszczenie.

Tymczasem gra idzie opornie. Jak po grudzie.

Pod lewą ręką klawisze się zacinają, a prawą płoszą dwa obłuzowane c. Wewnętrzne obrażenia instrumentu budzą moje najgorsze obawy. Czy to struny, mostki, kołki strojeniowe, czy też pudło rezonansowe – koniec końców można założyć, że dziś, a najdalej jutro, proces rozkładu dotrze nawet do najtrwalszych elementów konstrukcyjnych, dopełniając ambitnie dzieła zniszczenia.

Moją grę na próchniejącym instrumencie można porównać z czułą pielęgnacją... Fortepian niby starzec z chwiejącymi się zębami, niczym praprzodek, którego trącam ostrożnie, z całym szacunkiem, i dziesięcioma palcami proszę, by podarował mi swoje ostatnie utwory. Siedzę, jestem uprzejma; gram, głaszczę delikatnie. Wystawiam twarz na błękit morza i nieba za oszkloną ścianą, bo nie chcę być nietaktowna i gapić się na jego niedołężność.

Jest tam coś jeszcze. Przeszukuję pozbierane strzępki wspomnień, widzę dom przy plaży, umierający fortepian i sól, wszędzie sól. Hiszpania wydaje się zakochana. Całymi tygodniami zbyt mocno przyprawia mi skórę i włosy. Ani mi się śni rozcieńczać je wodą z prysznicą! Mało tego, jeszcze się dosalam, nurkując palcami w torebce pełnej solonych migdałów.

A co poza tym?

Jaszczurki wylegają się leniwie w słońcu, przyklejone do kamieni. Blisko brzegu obserwuję grupę rozgwiad o ciałach składających się jakby z odrzuconych ogonów ich jaszczurczych sióstr. Nawet pod wodą szkarłupnie pielęgnują przyzwyczajenia nabyte dawniej podczas życia w suchym środowisku i całymi dniami oraz nocami próżnują, leżąc na tych samych kamieniach.

My, mieszkańcy domku przy plaży, zachowujemy się podobnie.

Znużeni morskimi kąpielami oraz kołysaniem fal podążamy śladem niezawodnej i niezmiennej wędrowki plam cienia, w tych miejscach całymi popołudniami ospale, leniwie wyciągamy się na piasku. Zadziwiające podobieństwo między ludźmi a zwierzętami uderza w oczy zwłaszcza wtedy, gdy wynajętym małym i pokrytym rdzą samochodem z turkotem telepiemy się karkołomną serpentyną szosy, wijącej się wzdłuż wybrzeża, w kierunku targu i w ciągu zaledwie kilku minut przywieramy lepkiem od potu naskórkiem do rozpalonych skajowych siedzeń tak mocno, jak te rozgwiad do swoich odwiecznych miejsc na skałach. Po grzbiecie drogi, tego szarego węża, osłonięci pasem wybrzeża Morza Śródziemnego i linią pomarańczowych kropek drzew cytrusowych, turlamy się w kierunku skupiska otynkowanych na białe domów.

W zapchanych straganami zaułkach słowo „woda” (we wszelkich zwrotach i odmianach) staje się niezbitym argumentem za kupnem. Czy to kanister wody, woda mineralna, lody wodne, czy piłka do waterpolo – kupujemy!

Dalej złote łańcuszki obok gomótek sera i półci szynki. Wszystko to po stokroć odbija się w kolorowych, tanich okularach przeciwslonecznych. Przesuwam ręką po sztucznej skórze podrabianych torebek. Trzy kroki dalej na lodowych łóżach śmierci leżą zeszywniałe zwłoki ryb. Około południa owoce topią się od upału, miękną jak przejrzałe śliwki. Całe stragany pełne ciasta śliwkowego.

To też jest piękne: kark i nos mojego ojca rozpalone żarem czerwieni hiszpańskich pomidorów. Ja natomiast jestem w kolorze brudnego brązu, dziecko umorusane od stóp do głów. Nieodrodna córka swojej matki, której nie przyrumieni żaden promień słońca, choćby najbardziej południowego.

Ten zakątek Ziemi, gdzie spędzamy lato, zdaje się trofeum, na które poluje słońce. Zakrada się tutaj już skoro świt. Zarzuca wszystkie swoje świetliste wędki. Wczepia się w dzień błyskami i trzyma mocno do późnej nocy, sabotując jej czerń dłużącymi się w nieskończoność zmierzchami.

Jednak w pewnym momencie, gdy nikt się tego już nie spodziewa, nadchodzą godziny półmroku, kiedy ubrana tylko w majtki, poza tym goła i odkryta, przewracam się na niebieskawo połyskującym prześcieradle z boku na bok, żeby usnąć. Piaskowy Dziadek to ma dopiero lekko, nazbiera sobie w nogach mojego łóżka kwarcowych ziarenek, wciąż jeszcze sypiących się na materac z moich stóp. Małeńkie kamienne drobinki w przeróżnych kolorach wpadają we wszystkie szczeliny i zakamarki w ślad za swoimi słonymi siostrami, gromadzą się w torbach, butach i pod paznokciami... Zdziwienie budzi to, że na plaży rzeczywiście dochodzą do porozumienia co do wspólnej barwy, mienią się w zależności od pory dnia i stopnia wilgotności powietrza kolorami brązu, beżu, żółci, ochry i bieli.

Z każdym kolejnym oddechem zbliżam się do tego ukrytego miejsca, gdzie otula mnie głęboki sen bez marzeń sennych.

Nastaje cisza.

Tylko czasem, gdy wiatr zmienia kierunek, przez zabezpieczone moskitierą okno docierają do nas, śpiących snem sprawiedliwych, strzępy nasączonych sangrią szlagierów, wszczepiając nam, niczego nieprzeczuwającym, szereg dobrze znanych ulicznych śpiewek.

Kilka godzin później, podczas śniadania, przy stole siedzą trzy osoby, a wszystkie uktute w ucho melodią, która je teraz prześladowuje. Przygotowując poranny posiłek, wyciskają sok i odcinają czubki jajek, opiekają grzanki i je smarują, a po chwili zauważają nagle, że wszyscy nucą to samo: „...za słońce, niebo, morską toń,/ EVIIIIIIIIIIIVA ESPAÑA!!!”

Kręcimy ze śmiechem głowami i wzajemnie się uciszamy.

36.

Szkło, plastik, miedź i różne inne metale. Nie ma takiego tworzywa, którego skład by znała.

Konsola nadal stoi w małym pokoju z oknami wychodzącymi na północ. Zszarzałe firanki filtrują światło dzienne. Marne resztki, którym przez oczka siatkowej tkaniny udaje się przedostać do środka, dokładają wszelkich starań, by można było rozpoznać kontury mebli.

Kontroler nosi na sobie ślady używania. Tłuste plamy, zadrapania i poluzowane przyciski boczne świadczą o tym, że dzień w dzień się z niego intensywnie korzysta. Bez zmian pozostaje natomiast to, co dzieje się na ekranie: świat gry, niezależny od jakiegokolwiek czasu połowicznego zaniku, nie zna rozpadu; gra jest przestarzała, lecz nie traci wartości użytkowych, gdy tymczasem koncern macierzysty nieustannie rzuca na rynek kolejne wersje i nowości.

Siedzi i gra. Czasownik „grać” od dawna już właściwie nie oddaje tego, co ona robi. Jej działania nie mają nic a nic do gry. Ruchom palców nie towarzyszą ani lekkomyślność, ani przyjemność. Klikanie, stukanie i przyciskanie następują w pełni automatycznie. Wszystko toczy się utartymi koleinami, tak jak rzeka płynąca swoim korytem.

Wszystko już kiedyś było.

Pewność, że wykluczyła to, czego nie widziała, ją uspokaja. Przynajmniej w ciągu najbliższych godzin nie musi się obawiać spontanicznego rozwoju wydarzeń z rodzaju tych przerażających. Dzięki palcom, które znają swój obowiązek, i oczom wbitym w ekran udaje jej się skutecznie uchronić przed zaskoczeniem. Bańka pozostaje nietknięta.

Tak samo jak opuszczony dom naprzeciwko, którego brama garażowa już sześć tygodni nie wypływa samochodu ani go nie połyka.

Dom. Konsola. Krople potu. Dzienny pot, nocny pot, zimny pot. Nie ma dnia, żeby jej skóra rano nie była powleczone lepka, cuchnącą warstewką.

Harmonogramu pracy rodziców na zmiany nie zakłóci ani lato, ani pora wakacji. Papier przecież trzeba produkować, a starcom zapewnić opiekę.

Niejedna staruszka umknie przed skwarem. Mimo starczego otępienia pamięta o przysłowiowym chłodzie grobu. Wcześniej czy później świadomość ta obudzi pragnienie śmierci i sprawi, że stan jej zdrowia dramatycznie się pogorszy... Również tego roku pensjonariusze padają jak muchy. Sklejają łóżka płynami wydzielającymi się z ich zwłok. Na kartce w przezroczystej koszulce, wiszącej przy wejściu do kuchni, kurczy się liczba lekkostrawnych diet do przygotowania. Wózek gastronomiczny lżej jest teraz pchać.

Matka wyrabia nadgodziny.

W lodówce nie ma nic oprócz żółtego, zimnego światła.

Córka, cała matka, umie sobie radzić, biegnie do wiejskiego sklepu, w którym wszyscy ją znają i dają jej żywność na kreskę.

Żołądek przyrasta dziewczynce do krzyża. Zęby zaostrzają się w szpic. Burczy jej w brzuchu, gdy rozgląda się po półkach w sklepie. Musi być „dobrze i tanio”, bo inaczej matka ją skrzyczy. Koszyk się zapełnia: keczup, kielbasa lyońska, krem orzechowo-nugatowy, mrożone frytki. Do tego dwie półtoralitrowe butelki coli.

Opakowanie truskawek z cukru piankowego, które nie są „dobre i tanie”, tylko „Haribo”, nie ląduje w koszyku. Dopiero gdy supermarket jest poza zasięgiem wzroku, wyciąga torebkę ze swojej bawełnianej skrytki. Truskawki, wciśnięte przez ostatnie dwadzieścia minut między pępek a pasek spodni, są teraz miękkie, lepkie i ciepłe jak brzuch. Znikają szybko, jedna po drugiej, w ustach: róż znika w czerwieni, róż w czerwieni, róż w czerwieni. Słodycz sprawia, że zaczyna się uśmiechać. Gdy dochodzi do beżowego domu, wieczór macza już jaskrawopomarańczowe ciasteczko słońca w łanach przytulii leśnej na końcu strefy zamieszkania. Wylizuje cukrowe resztki swojego późnego śniadania, a pustą torebkę wrzuca do kontenera sąsiadów.

Dzień jeszcze się nie skończył. Musi przetrwać to:

Pijany jak bela ojciec budzi zmęczoną po rannej zmianie matkę. Wrzaski i piski. Potem głuchy łoskot, a po nim – nie płacz matki, lecz cisza. Żłodziejka piankowego cukru z iskrą nadziei przyciska ucho do drzwi. Czeka, nie ośmiela się zrobić kroku, póki telewizyjna

paplanina nie ogłosi, że droga jest wolna. „...dłuższe życie każdej pralki to Calgon!” – brzmi dzisiejszy sygnał. Cichutko przemyka do sypialni rodziców.

Maminą koszulę nocną zdobią jaskrawoczerwone plamy krwi, z których te najmniejsze już obeschły. Wprawnymi, choć lekko drżącymi rękami wyczerpana matka opatruje sobie nad prawą brwią ranę, którą właściwie powinno się zszyć.

Gdy widzi płaczące dziecko w drzwiach, kładzie palec na ustach.

Dziecko rozumie. Przyciska mocno rączki do buzi, powstrzymuje szloch.

37.

Zebrany przez sześć tygodni plon lata. Wrażenia wciśnięte w szeregi liter, spięte klamrami zdań. Zielnik pełen chwil zakwitłych podczas wakacji.

Letnia kolekcja LottyLuizyŁucji:

Wyślizgane podeszwy sandałków na gołych stopach. Podrapane w krzakach kostki przedzierają się przez towarzyszące im wszędzie wiecznie zielone zarośla makii. Zioła otulają stoki wzgórz obłokami korzennych aromatów, z każdym wdechem pęcherzyki płucne napęcznieją się olejkami eterycznymi. Dobroczynne cienie samotnych pinii. Zieleń uzbrojona w igły, ciernie, kolce. Słońce, rośliny – wszystko kłuje.

Tu również spotykam nieobliczalny świat zwierząt: stoję jak wryta na widok ogonów jaskółek i węży. Coś się kołysze i wije, trzepocze i pełza zygzakami, raz tu, raz tam – ale dokąd? Wieczna zagadka. Dopiero pewność, że nie dotknie mnie ani żadne skrzydło, ani żadna łuska, rozluźnia moje zdrętwienie.

Roi się od śmiejących się, krzyczących, srających mew. Tylko matki milczą, siedzą cicho skulone w swoich gniazdach, lśnią srebrzyście. Jajka w przybrzeżnych skałach, letnie domki na zboczach. Gniazdowanie i budowanie. Wszystko się rozmnaża.

Podczas naszych wędrówek idziemy śladem kulistych bobków, które prowadzą prościutko do małych, walących się chat z lokalną kuchnią. Podają nam królika. Do tego plasterki ostrego chorizo i kromki chleba maczane w białym, oleisto-słonym sosie czosnkowym. Zapominam, co znaczy „łagodny w smaku”.

Raz po raz nowy widok, ocieniony kaniem dłoni muskającej blanki, wieże, bramy i łuki. „Maurowie zbudowali to, wzniesli tamto; panowali i zakładali; podbijali, zajmowali i władali, aż w końcu katolicki dowódca wojsk...” Moi rodzice upierają się, żeby czytać na głos opisy w przewodniku. Nudzę się jak mops.

W porcie wysmagani wiatrem mężczyźni garbią się nad sieciami rybackimi. Łatają dziurawe włoki. Gdzie indziej kobiety patroszą straszne mątwy o szarym połysku.

Rękoma w kolorze sepia zawieszają na drucianych linkach z bielizną długie chwytne ramiona o przyssawkach niczym różowe sutki: ośmiornica, sukienka; wypustki na ramionach, prążki na koszulach. Wszystko suszy się samo.

Zapamiętuję hiszpańskie słowa, takie jak *dulce*, *chica* i *turrón*.

Mój ojciec po raz tysięczny spuszcza korbką szybę w samochodzie, pokazuje palcem na mapę lub przewodnik i pyta: „*Dónde está...?*”, a potem suniemy dalej po autostradach, gdzie na środkowym pasie między jezdniami rosną krzewy oleandrów. Tęsknię za wodą w naszej cudnej zatoce w kształcie półksiężyca, w tym basenie pełnym chłodnej, kojącej solanki, mieniającej się niebiesko-zielono-turkusowo.

Nie wiem, ile tygodni tam byliśmy. Nie liczyłam. W wirze zajęć, takich jak pływanie, spanie, jedzenie i wyciskanie soku z pomarańczy, myśli o domu rozrzedzają się i ulatniają. Nazwa miejscowości, z której wyruszyliśmy w podróż i do której wrócimy, blaknie pod żółtą ognistą kulą Hiszpanii, turlającą się ze wschodu na zachód.

Kiedyś tam wysłałam dwie widokówki – jedną do Egipcjanina, a drugą do Jaśminy Celiny Justyny – zanim znów o nich zapomnę.

Zbiory lata u Jaśminy Celiny Justyny:

Między pokrytymi trzcina chatami tubylców rośnie w dziewiczej puszczy potężny olbrzym, a jego pień oplatają liany i ogony pytonów. Białe chmury w kształcie wież czekają na swoją porę, by wreszcie lunąć deszczem na Amazonię. Dwóch Europejczyków w tropikalnych kapeluszach wmieszało się w grupę widzów. Przeciwnik ma zieloną skórę – istota, pół człowiek, pół zwierzę, z głębi brazylijskiego lasu deszczowego. Nazywają go Blanka. Wygrywa Ryu.

Po każdym zwycięstwie na mapie miga czerwony krzyżyk. Nie ma kontynentu, na którym by nie był zaznaczony. Podróż dookoła świata, bez dróg, bez środków transportu. Jedno mrugnięcie okiem, jeden nacisk palca, i już Brazylia należy do przeszłości.

Ryu pojawia się znowu na pomarańczowym dywanie przetykanym złotą nitką, w otoczeniu słoni. Wojownik rzuca na posadzkę świątyni cień koloru zielonej trawy. Znow walczy. Pełne ekscytacji trąbienie paradujących słoni kończy kolejne rundy.

Nacisk palca.

Lodowaty powiew wiatru muska plac bitwy. Ryu znosi zimno ze stoickim spokojem. Trzepoczą pas i opaska na włosach, ale on stoi niewzruszony jak skała. Za skrzyżowanymi na piersiach rękami bije serce, którego nie słyszy nikt.

Nacisk palca.

Słońce to kapryśna gwiazda – zmienia kolor jak pierścionek z kamieniem nastroju. Rozjaśnia wprawdzie krajobraz, ale nigdy się nie pokazuje. Jediną niezawodną oznaką jego istnienia są cienie u stóp walczących, towarzysze o kształcie kałuż, w kolorach zielonych smarków, wina bordo, ultramaryny czy mysiej szarości. Tylko w Vegas cienie przeciwników zieją czernią, dwie dziury wśród tysięcy migających światełek i wymachujących rękami fanek; połkacze światła wśród łukowatych jarzeniówek, odbijających się na naoliwionych dupach i na wypolerowanych na wysoki połysk krążownikach szos. Alfonsi w wiśniowych ubraniach wychwalają

swoje dziewczęta. Wytresowane mięsożerczynie w stringach i botkach z niskimi cholewkami krążą wokół ringu jak sępy. Ryu ich nie widzi. On szuka godnych siebie przeciwników.

Przerwa.

Pora na talerz makaronu z keczupem.

Na kalendarzu ściennym w kuchni zostaje wykreślony kolejny dzień, który był zapewne słoneczny. Żaluzja jest spuszczone.

Tęskno jej za siostrą krwi. Dostrzega nożyczki do paznokci. Gdy zbiera się na odwagę i robi sobie cięcie, przestaje czuć ból. Cudowne uczucie. Kalendarz ścienny w kuchni staje się zbyteczny. Dni nacina sobie na przedramieniu.

Na udach wydłuża się szereg równoległych znamion. Kod kreskowy pokrytych strupami pasków, które zaszyfrowują imię jej ojca. Widoczne na ciele okaleczenia przynoszą jej ulgę. Nożyczki kładzie sobie pod poduszkę.

Dokładnie wie, ile minęło tygodni. Policzyła je wszystkie: 6 x 7 x 24 godzin czekania. Czekania na jej powrót, gdy tymczasem powtarza się wszystko to, czego nie chciała już przecież zobaczyć nigdy.

Pewnego dnia przychodzi widokówka:

„Kochana JaśminoCelinoJustyno!

Jak się masz? Ja czuję się świetnie! Mieszkamy tu w domu z fortepianem. Musiałabyś go zobaczyć. Prawie się rozpada, gdy się na nim gra! Poza tym niesamowicie często się kąpiemy i ciągle coś zwiedzamy. Ludzie tutaj są trochę zwariowani. W ogrodach wiszą MARTWE MĄTWY na sznurkach do bielizny!! Ale mimo to jedzenie jest pyszne.

No to pa, do zobaczenia niedługo! Twoja LottaLuizaŁucja”.

Czyta pocztówkę setki razy, koniuszkiem palca przesuwając po literach, przyciska kartkę do warg i do piersi.

Jak długo jeszcze do tego „niedługo”?

Wiatr rozpościera płaszcz niczym wachlarz, fałdy opadają mu z barków i okrywają go szczelnie. Stoi i czeka, tułów i ramiona ukryte za szarym materiałem. Niczym się nie zdradza. Jego podniecenia nadal nie sposób przewidzieć. Ona wie: kiedyś jego płaszcz spadnie. A to oznacza, że wtedy musi podjąć walkę. Stoczyć bój o odwrót i odrętwiałe członki, o ślepotę, głuchotę i o zapomnienie. Jedna część jej samej może odejść, druga musi tu pozostać. Ta część jednak, której wolno się odszczepić i wymknąć, nigdy nie ośmiela się wyjść z pokoju. Zamiast uciekać, udziela wsparcia tej powłoce, która musi leżeć w łóżku. Dusza tylko z niechęcią opuszcza swoje mieszkanie. Granice jej azylu wyznaczają drewniane ramy łóżka. Stamtąd dostrzega każdy włoszek i każde odgniecenie, każdą kropelkę potu i każdy drżący mięsień. Ostrości widzenia nie da się jednak porównać z ostrymi nożyczkami. Nie przynosi ona ulgi.

Czasami ma wrażenie, że dźgając ją, wdziera się prosto do jej serca. Ten trujący grzyb o różowym, śluzowatym kapturze powoduje, że to serce pęka i wtedy wycieka. Miesza się z cieniami. Znika pod łóżkiem.

Gdzie jest Ryu?

Myśli o jego zwycięstwie w świątyni. Przypomina sobie nadnaturalnej wielkości posąg Buddy, który rozbił się podczas bijatyki. Tam, pośrodku zespołu klasztornego z zakonnymi celami, zdruzgotał Mastera i roztrzaskał mu kości. Odziani w habity mnisi trwali niewzruszenie w pozycji lotosu, z dłońmi złożonymi do modlitwy. Przyjęli śmierć Mastera jako rzecz naturalną, nieuniknioną, jej nieuchronność budziła w nich równie niewielki sprzeciw jak pojawianie się i znikanie chmur na niebie. Sprawiedliwość to rzeka, której dalszego biegu nie można zatrzymać, która nigdy nie przystaje ani nie zwalnia, nigdzie nie odpoczywa, dopóki nie wpadnie do morza – powiedział opat, po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

Sklepiiony dach świątyni... Jak bardzo chciałaby mieć jedną z tych cegieł. Widzi siebie ciskającą mu w twarz ten jasnoczerwony kamień. Wyobraża sobie, jak ten poświęcony kawałek dachu łamie mu nos.

Teraz obrót. Znowu się obracają! Sufit czarnieje. Nigdzie nie widać gwiazdy stałej, jest tylko krążenie i spadanie, i zimne dłonie, na chwilę zanim nastąpi kolaps.

Gruczoły maniacko produkują pot i tryskają jej skroploną odrazą w noc. Wstręt zgrzyta jej jak piasek między zębami, kruszy szkliwo. Ból głowy jest wędzidłem łączącym zęby trzonowe, żuchwę, skronie i czoło. Pokój w kształcie sześcianu napelnia się obrzydzeniem jak galaretą, w której łóżko drży, chwieje się i trzęsie. Koniec i ulewa przychodzą jednocześnie. Słyszy, jak krople deszczu pukają w żaluzję.

Leżeć. Zawsze tylko leżeć, na wilgotnych prześcieradłach, nasiąkłych FAŁSZEM, sklejonych strachem, zaskorupiałych w nienawiści. Galaretowata maź między nogami. Rana, ciemne kanały wypełnione tysiącami zarodników, które atakują jej wnętrze i kto wie, może tworzą już szaro-zielone, pokryte pleśnią strzępki.

Co tu leży, poniżej jej szyi? Nie jest to ona, nie. To tylko napompowany płynami worek skóry, schronienie dla narośli i śmierdzącego śluzu, nic innego. Nic.

Zostać, zgnić, zdechnąć w tym łóżku? Tylko nie to!

Przewraca się na krawędź pościela i zsuwa na podłogę, stoi naga w ciemności, oddycha. Nogi jeszcze ją niosą. Za drzwiami, zwiewać stąd, wszystko jedno dokąd! Ucieczka dla samej ucieczki. Spodnie, T-shirt, po co buty? Master teraz śpi, matka też. Nikt jej nie zatrzyma.

Nagie stopy na gładkiej posadzce. Ciężkie drzwi wejściowe. Na zewnątrz nie ma ani księżycy, ani gwiazd. Dyżur latarni kończy się o północy. Wieś skulona w ciemności. Strzępy niebieskawo-czarnych chmur wiszą tuż nad dachami. Niebo i ziemia zbliżają się do siebie. Wszystkiemu, co wystaje, grozi zmiażdżenie.

Głupi, głusi sąsiedzi! Śpią, niczego nie przeczuwając; nie słyszą szumiących przestrog drzew, z których wierzchołków dochodzi pieśń skargi. Słyszy ją tylko ona jedna. Słyszy, widzi, czuje. Biegnie przez noc i łowi loczkami krople deszczu. Pędzi co siłą, a jej nogi zapadają się w nicość. Rozbłyskująca nagle płomieniem chmura pokazuje zakręt ulicy. Skraj wsi już niedaleko. Deszcz najpierw

kropi i pluska, po czym smaga i siecze. Gwałtowne porywy wiatru wbijają krople niczym gwoździe w skórę jej głowy. Polną ścieżkę wytyczają tysiące małych żwirowych ostów. Biegnie, potem zatacza się, a później potyka. Chmury huczące od grzmotów wyrzucają z siebie łuki świetlne. Błyskawice spuszczaają kotwice na ziemię. Woda, napięcie – wszystko znajduje upust. Bezwolne spadanie. Ryk gromów.

Idzie, kuśtykając, poboczem drogi, niedoszły fakir z poranionymi podeszwami stóp. Lawiny deszczu szarpią jej członkami. Nagle krople wielkości ziaren zaczynają stygnąć. Świat na nowo pokrywa się żwirem.

W świetle kolejnej błyskawicy widzi to, czego szuka. Brnąc po kolana w trawie, dociera do drzewa i oplata ramionami pień kaleki. Echo niebiańskiej kanonady zagłusza jej szloch. Wczepia palce w zwęgloną korę. Dziewczęca skroń stuka w drewno. Potem zamiera w oczekiwaniu, z odchyloną głową, wzrokiem skierowanym w górę. Czeką na wiązkę piorunów, która zdejmie z niej ból.

Krzyczy.

– Nie widzisz mnie? Tu jestem! Tutaj! DLACZEGO MNIE NIE WIDZISZ?

Po prostu się zapalić, stać się płomieniem. Przejrzystym, gorącym, jasnym płomieniem. Być na zawsze oczyszczoną z wszelkich śladów. Wydać ostatni krzyk. Ostatni raz wykrzyknąć prawdę, a potem już nic, tylko ukojenie spływające do serca jak ciche, łagodne gaśnięcie. Bóg jej tego odmawia.

Wciąż jeszcze czuje siebie. To ciało wraz ze skórą, biodrami, udami, to zatrute coś, oblepione mokrym ubraniem uwydatniającym jej kształty, które Master Bison zobaczył, obmacał i posiadał.

Boga guzik obchodzi, co się z nią dzieje. On dalej igra żywiołami, nie raczy na nią nawet spojrzeć. A ona wali czołem w pień. Ma twardą czaszkę. Już nie rozłupie się tak łatwo jak kiedyś. Kora odpryskuje kawałkami. Kaleka! Kaleka! Kaleka! Świat, drzewo, ona sama. Nic, nic, nic nie jest już całe i nienaruszone. W ciągu kilku minut deszcz się uspokaja, przymila się do pól delikatnymi kropelkami. Szansa na to, by spłonąć, znika szybko. Wiatr południowy już nie poniesie jej popiołów do Hiszpanii. Głową ciągle rąbie drewno.

Potem deszcz przestaje kropić. Tłusty księżyc przeciska się przez strzępki chmur. Przystraja pole blaskiem oszlifowanych

diamentów, których przepych rozbija się o kolana dziewczynki.

Wlecze się po ulicach. Pokonana, garbata cyklopka z okaleczonym, czarnym jak sadza okiem wbitym ze wstydem w ziemię.

Zapasowy klucz wetknięty jest w doniczkę.

Zdziera z siebie ubranie, bierze ręcznik. Łóżko wyschło już dawno. Trzęsąc się z zimna, z sinymi ustami włazi pod kołdrę. Wkrótce śpi jak zabita.

40.

Droga do szkoły wydłużyła się siedmiokrotnie. Rano w rozpiętych kurtkach i z rozwiązanymi sznurówkami pędzimy do Rathausplatz, żeby tam złapać autobus. Już w środku, w parnym, zapoconym powietrzu, wypakowuję zeszyty i książki: zadania domowe...

Po dwudziestu minutach kierowca zapowiada przystanek Charlottenplatz. W pośpiechu wpycham cały ten kram do torby, starej jak świat skórzanej teczki, którą kiedyś nosił mój ojciec. Wtedy tornister miał jeszcze dwa rzemyki, więc można go było zakładać na plecy. Dziś ściskam go pod pachą. Aby zapiąć wąską teczkę na klamry, muszę „zapominać” dwóch lub trzech książek czy segregatorów – stwierdzam więc z zazdrością, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych uczniowie nie musieli taszczyć ze sobą aż tyle materiału do nauki.

Myślę, że ten wyświechtany, popękany w szwach kawałek skóry to po pianinie moja najukochańsza własność.

Sztukę przywłaszczania sobie tego, co mi się podoba, opanowałam jak nikt inny. Ta zdolność nie ogranicza się zresztą tylko do przejmowania rzeczy materialnych. Potrafię również przyswoić sobie czyjś sposób zachowania, jakbym wkładała na siebie kostium, przy czym skutki takiej przebieranki nie zawsze dają się przewidzieć.

Niektóre kostiumy zrastają się ze mną, stają się moją drugą skórą, natomiast inne leżą źle, są za długie albo przykrótkie, albo zbyt ciasne, tak że zaraz je zdejmuję, rozrywam, odrzucam. Moją skłonność, by z upływem czasu pozbyć się jakiegoś szczególnego sposobu zachowania, który osoby postronne już zaakceptowały jako osobliwą cechę mojej osobowości, tłumaczę nieustannym rozrostem. Każdy nowy centymetr wpływa na mój styl bycia, zmienia postawę i płynność ruchów, dodaje mowie ciała nowych niuansów, oddziałuje nawet na język i ubiór. To, że rosnę, zmusza do dalszego rozwoju wszystkie części mnie samej. W tych dniach nie brakuje mi więc zajęć...

Na ten moment nie pozostaje mi nic innego jak ulokować Iwią część moich podręczników w praktycznym plecaku Egipcjanina i u jego boku zmierzać w podskokach w kierunku szarego betonowego kloca, który jest naszą nową szkołą.

Nie wszystkie zmiany i innowacje, które przynosi ze sobą nauka w gimnazjum, wydają mi się godne pochwały. Nie dano na przykład zgody, bym mogła siedzieć w ławce sama. I tak oto na większości lekcji muszę mierzyć się z nieprzyjemną bliskością bladej blondynki, której duży, zakrzywiony organ powonienia zapchany jest śluzem bez względu na porę roku. Pyłki, trawy, przeziębienia – zawsze znajdzie powód, żeby oddychać głośno ustami.

Na szczęście w tym samym rzędzie siedzi Egipcjanin. Pokonanie półtorametrowego przejścia między ławkami nie sprawia nam żadnych trudności. W dni naszych ministranckich dyżurów – policzonych już zresztą – przywykliśmy przecież do znacznie większych dystansów. Konstatacja, że mimo sześciotygodniowej rozłąki nadal potrafimy bez trudu porozumieć się spojrzeniami, którym towarzyszą nasze sekretne gesty, niezwykle ułatwia mi pierwsze dni w nowej szkole. Dzięki podchwytywaniu porozumiewawczego błysku w krokodylozielonych oczach Egipcjanina z powodzeniem dokonuję nawet tak skomplikowanego zabiegu, jak zapieczętowanie mojego lewego ucha na świszczący oddech siedzącej obok koleżanki.

Inne następstwo zmiany szkoły to zwiększona liczba godzin. Plan lekcji jest tak przeładowany, że nierzadko wyruszamy o świcie, a wracamy do domu o zmierzchu. W takie dni widzimy głównie nieprzyjemne zimne światło jarzeniówek w klasach, jeśli nie brać pod uwagę czerwono-różowej smugi słońca, która kładzie się rano na polach, a wieczorem unosi nad lasiem.

Krótki czas między zajęciami przed południem i po południu wykorzystujemy, by w sklepikach na stacjach benzynowych lub w supermarketach, wyrastających wokół budynku szkoły jak grzyby po deszczu, zaopatrzyć się właśnie w te napoje i produkty żywnościowe, które nasze matki traktują z pogardą. Odkrywam moją słabość do lizaków Chupa Chups oraz napojów z puszek – wyciągnięcie zawleczki ma coś z odbezpieczenia granatu. Mała, chłodna banieczka zawierająca 0,33 l musującego ładunku wybuchowego. Syk, trzask i chlup. Miękkie wargi na ostrym kancie otworu w blasze. Odgłosy łykania i gulgotania. Ostatnia kropla

i nieuniknione zniszczenie walcowatego kształtu poprzez zgniecenie. Moja nagle mocarna dłoń, która deformuje metal i upuszcza go na ziemię. Blaszący dźwięk, jakby gwizdek sędziego na rozpoczęcie meczu. I już puszka ślizga się z brzękiem po asfalcie. I gdy tak sobie ją kopię jak piłkę, z patykiem lizaka Chupa Chups (o smaku „kwaśne jabłko”) zamiast źdźbła trawy w kąciku ust, czuję się jak Huck Finn. Wtedy pojawia się kosz na śmieci.

Dziś po południu znów nic tylko szkoła i deszcz. Kanapki spałaszowane, puszki opróżnione. Jeszcze jest trochę czasu. My (Egipcjanin, ja i tłuścioch o imieniu Dirk, Dieter czy Daniel) siedzimy na jaskrawozielonych, szorstkich fotelach w bibliotece szkolnej. Niski stolik do kompletu kostropatych siedzeń dźwiga z cierpliwością łagodnego kucyka ciężar dużych albumów *To był rok 19...* Jeden tom z fotografiami nam nie wystarcza. Potop obrazów w pełni ujawnia nam swój prawdziwy urok dopiero wtedy, gdy wertujemy kilka książek symultanicznie, gdy najróżniejsze wydarzenia widzimy tuż obok siebie, gdy przeciwstawne zjawiska, objęte jednym i tym samym spojrzeniem, zbliżą się do siebie niespodziewanie. Przewracamy strony z niecierpliwym pośpiechem, w napięciu, jakbyśmy otwierali cudze listy, w pogoni za kolejną sensacją, następną potwornością. Wszystko, co widziała i utrwaliła niewzruszona soczewka aparatu fotograficznego, odsłania się przed nami, (prawie) niewinnymi podglądaczami.

Od czasu do czasu zezujemy w kierunku nauczyciela pełniącego dyżur, bo lepiej żeby on nic nie wiedział o naszym zamiłowaniu do wielkoformatowych ujęć z bliska nagich czy półnagich ludzi.

W szkolnej bibliotece nigdy nie zapominam o rzuceniu okiem przez ramię. Gdyby egzamin na kartę rowerową odbywał się nie na placu manewrowym, lecz tutaj, między regałami, zdałabym go bezbłędnie. Z całą pewnością!

Przewracam kolejną kartkę i odnajduję się na pustyni. Na wprost mnie samochód terenowy humvee z nasadzonym karabinem maszynowym i połową tuzina młodych żołnierzy. W tle płonące pochodnie na polach naftowych, kolumny ognia pośrodku czarnych chmur dymu.

Dalej. Arab w garniturze. Czarne jak smoła włosy i wąsy, krawat oraz poszetka lśniąca jedwabistą popielatością. Obok niego stoi może sześciolatek blondynek w białym T-shircie i niebieskich

spodenkach gimnastycznych. Przebiegam wzrokiem podpis pod zdjęciem, mowa jest o propagandzie, zakładnikach i Saddamie.

Następna strona. Patrzę zachłannym okiem na obcisły, olśniewająco biały strój sprinterki, pasy z boku zamasyście powtarzają linię wąskiej talii tej, która ten ubiór nosi. Włosy blond i długie, szybkie nogi gazeli. Ciało Katrin Krabbe.

Przeoglądam dalej album. Trzech mężów stanu siedzi przy stole, jego blat to krąg wycięty z pnia olbrzymiego drzewa z puszczy. Łysawą głowę gościa siedzącego pośrodku zdobi duża, czerwona plama. Po jego prawej siedzi Helmut Kohl, kryjący twarz za mamucimi okularami w metalowych oprawkach. Wyciąga do przodu rękę, która w porównaniu z resztą masywnego ciała wydaje się wręcz miniaturowa.

Przewracam stronę. Na okładce magazynu krzykliwe „Wszyscy chcą Claudii!”, którą jest wysoka, piersiasta blondynka z rozchylonymi wargami. Na następnym zdjęciu owa Claudia eskortuje starszego mężczyznę z posiwiałym kucykiem i w okularach przeciwsłonecznych. Kobieta ma na sobie obcisłą, przezroczystą suknię ślubną. Zastanawiam się, czy ona potrafi w ogóle zamknąć usta, czy też Pan Bóg, wiedząc, że taka niewielka, zmysłowa szczelina między wargami wygląda z gruntu ponętniej, postanowił nie przydzielić jej po prostu tej umiejętności.

Co jeszcze? Amerykański prezydent z karbem na czubku dużego nosa, w towarzystwie żony i córki, kędzierzawej nosicielki aparatu korygującego zęby. Topniejący lodowiec odsłania ku zachwytowi odkrywców zmumifikowane zwłoki. Lothar Matthäus z Pucharem Interkontynentalnym. *Pretty Woman* w lśniących kusząco, lakierowanych botkach. Świętujący na ulicach ludzie, opryskujący trabanty winem musującym. Strażnik graniczny przyjmujący różę. Tysiące mężczyzn i kobiet tańczących na murze. Mickey i Minnie w namiętym uścisku na tle jasno oświetlonej wieży Eiffla.

Mniej spektakularne zdjęcie: orszak uchodźców. Półnaczy chłopcy z nogami w gipsie i w sztywnych od brudu opatrunkach.

Potem znów żołnierze. Kolejni mężczyźni w garniturach. Uściski dłoni.

Coroczne wielkie wydarzenia sportowe jako parada dup i cycków. Piłkarze zdzierający w ferworze walki trykoty z ciała. Uśmieszki i chichoty na widok ich ptaszków jak ogarki – a tu dzwonek. Z markotną miną zatrzasnę książkę. Niechętnie odrywam się od

kolorowych stron. Najwyraźniej materiał do nauki zachwyca mnie o wiele mniej niż materiał do oglądania.

17.10

Wlokę nogi i teczkę, pokonując ostatnie z siedemnastu stopni, które prowadzą do naszego domu. Drzwi wejściowe i skrzynka na listy znajdują się w małej wnęce, tak że ze schodów nie widać ani skrzynki, ani klamki.

– Cześć!

Staję jak wryta, wolna ręka na piersi, z trudem łapię powietrze. Jej nagłe wynurzenie się z wnęki uderza mnie jak grom z jasnego nieba, myślami byłam już przy kolacji.

– Czekałam na ciebie.

– Widzę... Ale mnie przestraszyłaś!

– Masz czas?

Nie mogę powstrzymać się od westchnienia. Nie, właściwie nie mam czasu. Jedyne, co mam, to kiszki grające mi marsza, i to od wieków! Przez całą drogę do domu musiałam poganiać siebie jak upartego osła, wabić samą siebie – zamiast cukru i marchewki – myślami o czekających na mnie radościach: lewa noga – JEDZENIE! Prawa noga – PIANINO! Lewa noga – stół jadalny jest już stąd o krok! Prawa noga – chwila i zasiądziesz do pianina!

– Prawie w ogóle się nie widzimy.

Jej oczy to dwie pilne prośby. Lekkie, błagalne drżenie w jej głosie wykańcza mnie do szczętu.

– Okej. Zaniosę tylko szybko moje rzeczy.

Wrzucam teczkę do garderoby, gdzie do jutra dotrzyma towarzystwa płaszczom i butom. W kuchni, po zarzuceniu zbyt czasochłonnego pomysłu, by zrobić sobie kanapkę, sięgam po banana z brązowymi plamami.

– Już wróciłam, ale jeszcze wychodzę! – drę się w kierunku piętra, zdając sobie sprawę z równego zera prawdopodobieństwa, że moi pochyleni nad biurkami rodzice mnie usłyszą. Pod wpływem chwili wyławiam z kubka obok telefonu czarny pisak i gryzmołę na leżącej na stole gazecie wiadomość: „JESTEM NA DWORZE!”. Tłuste drukowane litery zasłaniają sporą część artykułu.

Ledwie drzwi wejściowe zatraskują się za mną, a już JaśminaCelinaJustyna chwytą mnie za łokieć i ciągnie na chodnik. Pewnie prowadzi mnie do celu – na kloc. „Kloc” to sześcienny blok kamienny wbity w ziemię na pobliskiej, niezabudowanej parceli. Chociaż grunt i blok okalają sąsiednie domy i ogrody, to jednak wokół porośniętego mchem kamienia, osłoniętego wysokimi trawami, panuje zawsze osobliwa cisza. W całej okolicy nie znajdzie się lepszego miejsca na wymianę tajnych informacji.

Niczego nie przeczuwając, siadam na klocu i obieram banana. Ślepa i głucha na historię, która ciśnie się mojej zgnębionej przyjaciółce na usta, gadam, co ślina na język przyniesie, głupie prześmiewki z nauczycieli i szkolnych koleżanek. Dopiero po chwili, gdy obok cisza aż w uszach dzwoni, pojmuję wreszcie, że ona tylko czeka na okazję, by samej zacząć mówić.

Pośpiesznie wyrzucam skórkę banana w krzaki sąsiadów i przybieram minę uważnej słuchaczki.

– Ja... ja spotkałam Mastera.

Słowa zawisły w wieczornym powietrzu. Gdy milkną ostatnie sylaby, las połyka ostatni promyk słońca. Temperatura spada gwałtownie o kilka stopni. W przygasającym świetle zmierzchu drżą białka jej szeroko otwartych oczu. Stawiam niepotrzebne pytanie, bo odpowiedź znam od dawna.

– Jakiego Mastera?

– Mastera Bisona.

Szukam w rysach jej twarzy znajomych oznak, które by mi zdradziły, że to zabawa. Ale ich nie znajduję.

– Jak to?

– On... przychodzi do mnie do domu... odwiedza mnie.

Kącik ust ani nie zadrży, oko ani nie mrugnie. Ani cienia uśmiechu. Głos lekko ochrypły.

Staram się przepędzić z głowy myśl, że mnie okłamuje. Za późno. Złość już wzięła moje szczęki we władanie. Nieufność ciąży mi na powiekach, zwęża oczy.

– I co dalej?

– No... on... ja... jestem jak gdyby jego dziewczyną, ale nie tak naprawdę...

– Co to znaczy?

– On tak chce... Tylko on... zmusza mnie do tego, rozumiesz?

– Ale do czego cię zmusza?

Mała przerwa. Moje pytanie niby szpila o ostrym srebrzystym szpicu zbliża się na odległość włosa do balonu pękającego w szwach od odpowiedzi. Czuję, że odstęp między nami zwiększa się nagle. Cofając się odruchowo, przyjaciółka zapobiega potężnej detonacji, oszczędza nam obu przerażenia. Gdy znów zaczyna mówić, w jej głosie nie ma już śladu niepewności.

– Wziął mnie ze sobą do knajpy. Wiesz, tej przy placu we wsi. A tam wszędzie pełno facetów. Nawet kelner nie było, tylko gospodarz. W środku hałas, jak nie wiem co, straszny zaduch, mieszanina potu, piwa i dymu papierosowego. Mój brat też tam był. Stał ze swoimi kumplami przy fliperze. Zaraz go rozpoznałam...

– A on? Nic nie powiedział, jak sobie tak po prostu tam weszłaś?
– nieposkromiona ciekawość bierze górę nad wszystkimi moimi wątpliwościami. Chcę usłyszeć, co się zdarzyło.

– Nie! Był za bardzo pijany, tak samo zresztą jak wszyscy inni... Master, poszturchując mnie, popychał mnie przed sobą przez całą salę. Z tyłu, tam gdzie są kible, rzucił mi pod nogi coś w rodzaju kostiumu kąpielowego i powiedział, że mam to ubrać...

– Co to był za kostium? Jak wyglądał?
– Białe i...
– Przezroczysty?
– Tak, prawie zupełnie przezroczysty, z bardzo dużym wycięciem, prawie do pępka.

– A z tyłu?
– Wpinał się w dupę. No wiesz, tak że widać było pośladki. Ani śladu głodu. Chciwie przysłuchuję się relacji, czaję się w pobliżu jej ust i łapię każde słowo jak żaba muchę.

– I co dalej?
– No więc najpierw się opierałam, to mnie walnął w twarz. Aż mi się zrobiło czarno przed oczami. Potknęłam się... Chyba też na krótko straciłam przytomność, nie mam pojęcia, w każdym razie musiałam upaść. Tu, zobacz...

Odsuwa gęstą grzywkę i pokazuje mi ślady zadrapania na czole.
– To potem trzymałam język za zębami. Cały czas stał przy mnie, przyglądał się, jak się przebieram. Potem chwycił mnie za ramię i zawlókł z powrotem do sali...

– Do tych facetów?
– Do tych facetów. A ci oczywiście piali z zachwytem, obłapiali mnie i krzyczeli na całe gardło, i nagle... nagle wszyscy chcieli,

żebym dla nich tańczyła... Nie miałam wyboru, musiałam.

JaśminaCelinaJustyna tańczyła dobrą chwilę w mrocznym świetle wpadającym przez zakurzone gomólkowe okna. Lepkie ręce świntuchów o grubych paluchach zostawiły na jej nagiej skórze okrągłe odciski. Taka była wola Mastera Bisona. Strach przed jego pięścią równoważył obawę przed tym, że brat mógłby przyłączyć się do grupy mężczyzn i rozpoznać jej twarz.

Kiedy w końcu przychodzę do domu, wciąż jeszcze w stanie najwyższego podniecenia, czerwona jak burak, jakbym to ja tańczyła, jest już dawno po „Tagesschau”, po głównych wieczornych wiadomościach. W głowie kłębią mi się myśli. Do pełnych wyrzutu pytań matki dołączają się tysiące innych. Wtedy кишки zaczynają mi znów grać marsza. Z wdzięcznością rzucam się na zimną kolację. Wszystkie pytania milkną natychmiast. Nic nie słyszę, zamieniam się w samo żucie i przełykanie. Moją prawdą są teraz mięso, ziemniaki, warzywa.

42.

Dochodzę do boiska sportowego, mam więc jeszcze przed sobą spory kawałek drogi. Między chodnikiem a boiskiem do piłki nożnej rośnie rząd grubych kasztanowców, które o tej porze roku doprowadzają konserwatora tego miejsca do szału. Widuję go niemal codziennie. Niezmordowanie zgarnia liście i kasztany, torując sobie drogę grabiami wzdłuż linii bocznej terenu – mały, zgarbiony, przeklinający Syzyf. Rudawobrązowy, wypolerowany na glans kasztanowy adonis przymila się do mojej dłoni. Czubkiem buta popycham kilka felernych egzemplarzy o popękanych już nieco łupinkach. Opuszczone kolczaste okrywy zataczają się po chodniku jak dropiatki. Brązowa maź zbutwiałych liści powleka szarość. Na chodniku miejscami tworzą się szeleszczące sterty. Zrywam się jak wichur, wystraszam truposze liści. Wzlatują w górę jak stada gołębi. Nade mną ogołocone z liści korony oplakują utratę zielonego złota.

Właśnie mijam ostatni kasztanowiec, gdy słyszę z tyłu coraz głośniejszy znajomy warkot.

– Uszanowanie, *madame* von Braun! – rozlega się obok mnie głos, gdy tymczasem warkot silnika zamienia się w terkot i przechodzi w końcu w ciche pyrkanie. Ojciec Jaśminy Celiny Justyny jedzie na swoim motorowerze wzdłuż krawężnika i uśmiecha się półgębkiem.

Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek nazywał mnie po imieniu. Ton, w jakim mówi do mnie *madame*, kryje w sobie coś dwuznacznego. Tę grzecznościową formę rozwija niczym dywan, przykrywając w ten sposób wszelkiego rodzaju pogardliwe myśli.

– *Bonjour, monsieur* Heidt – odpowiadam bezczelnie i staram się nadać słowu *monsieur* taki sam niejednoznaczny ton, w jakim on mówi do mnie *madame*.

– Podwieźć *madame*?

W mojej głowie powstaje lista za i przeciw, po przejrzeniu wszystkich argumentów dochodzę do wniosku, że moi rodzice zapewne by mi tego zabronili. Oczywiście nie odbiera mi to chęci

do jazdy na motorowerze bez kasku na głowie i z rozwianymi włosami. W lot znikają rodzicielskie napomnienia i dopiero co odczuwana złość na to niby pochlebne tytułowanie mnie *madame*.

Potakując głową z zachwytem, wspinam się na bagażnik. I już ruszamy z terkotem.

– Trzymaj się mnie mocno! – dostaję z przodu instrukcję, do której grzecznie się zastosowuję z braku innych opcji do wyboru. Gdy oplatom ramionami ślusarza w poplamionych spodniach ogrodniczkach, do moich nozdrzy dociera cały zestaw budzących obrzydzenie wyziewów. Wydzielające się z porów ciała kierowcy kwaśnawo-ostre esencje zdają się być destylatem wieloletniej mieszanki tytoniu, piwa i tłuszczu z frytkownicy. Na samą myśl o gwałtownym hamowaniu, a w następstwie murowanym zderzeniu twarzą z tymi wilgotnymi plecami, zbiera mi się na wymioty. Skupiam się więc na mijanych ze świstem ogródkach i domach sąsiadów, żeby myśleć o czymś innym.

Pęd powietrza chce dla mnie dobrze i wyciera mi nos. Ale fajnie! Niemal jakbym leciała. Wyobrażam sobie, że opony to mali akrobaci o gumowej skórze, którzy jeden po drugim wykonują tysiące fikołków, żeby zawieźć nas do celu. Wibrujące brzęczenie przebiega przez moje ciało. Na plecach wyrastają mi dwa kurtkowe skrzydła. Ja, chrząszcz, lecę do domu. Chrabąszcz, któremu nie przeszkadza tułów zasłaniający widok na przodzie, bo po bokach czaszki rosną mu oczy mozaikowe.

Jeszcze jeden zakręt, i już jesteśmy na ostatniej prostej. Widać dach naszego domu. Przez rzadkie zarośla lasu w naszym ogrodzie, składającego się z drzew owocowych, orzechowych i iglastych, wyzierają okna oraz biel ścian. Ale zamiast jechać prosto w kierunku domu, podwórza i drzewostanu, skręcamy w lewo.

– Muszę jeszcze skoczyć po fajki – warczy głos z przodu.

– Może się pan tu zatrzymać, dalej pójde pieszo! – krzyczę w kierunku pędu powietrza i tłustego pościa na karku.

Trudno powiedzieć, czy mnie usłyszał. W każdym razie nie staje. Jedziemy ulicami Fuchsstraße i Dachstraße, w końcu docieramy do błotnistozielonego domu z ogródkiem, w którym stoi automat z papierosami. Zsiadam z motoroweru i patrzę, jak wyczarowane ze ślusarskich spodni pięciomarkówki znikają w szczelinie na gotówkę. Brzęk drobnych monet budzi ze snu automat, który posłusznie

wypluwa kilka paczek. Nie chcę stać całkiem beczynnym, więc sprawdzam znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie, wrosnięty w nieskoszoną trawę automat z gumami do żucia, czy ktoś nie zostawił tam jakiejś kulki. Pojemnik za srebrną klapką rozczarowuje jednak pustką. Daremnie szarpie dźwignię automatu.

Ojciec JaśminyCelinyJustyny usiadł tymczasem na małym, łupkowoszarym ogrodowym murku i zapalił papierosa.

– Masz, *madame*, kup sobie coś! – wciska mi do ręki dwie ciepłe, lepkie dziesięciofenigówki. Czuję się zażenowana, gdy trzymam w palcach pieniądze, jego pieniądze. Wiem przecież, że właściwie nie ma grosza... Karmię automat marnymi monetami, żeby pozbyć się ich jak najszybciej, po czym chowam dwie garście zielonych, żółtych i jaskraworóżowych kulek częściowo do buzi, a częściowo do kieszeni spodni, dziękuję mu, żując gumę. I co teraz? Napchać sobie kieszenie słodyczami i dać zaraz nogę? To byłoby zbyt bezczelne, zbyt niegrzeczne, tym bardziej że pan Heidt zapraszającym gestem pokazuje mi teraz miejsce u swojego boku. Siadam na murku powoli i ostrożnie, jakbym zamiast łupku spodziewała się rozżarzonej płyty kuchennej.

– Coś tu masz... – ręka z żalobą za paznokciami gmera mi we włosach. Widocznie parę kasztanowych liści zabłąkało się w moich czarnych jak heban kosmykach.

– Z JaśminąCelinąJustyną jesteście przyjaciółkami od serca, hę?
– Mięśny grzebień czesze mnie niewzruszenie dalej. Zafajdane paluchy głaszczą mi skronie i policzki. Wciągam głowę w ramiona jak żółw, żeby uniknąć tego uciążliwego dotyku, i przytakuję nikłym skinieniem głowy bez szyi.

– A wy o wszystkim sobie mówicie, hę? Naprawdę o wszystkim?
Wzruszając ramionami, wbijam oczy w czubki swoich butów.

Spodnie ślusarskie przysuwają się bliżej, dotykają mojego uda. Ciężka, ciepła ręka pełźnie po moich plecach i owija się niby boa dusiciel wokół moich ramion, którymi nie jestem już w stanie wzruszyć. Jego twarz jest tuż, tuż. W miejsce okolicznych domów sąsiadów pojawia się krajobraz szczeciniastych pól zarostu, popękanych żyłek i zażółconych gałek ocznych.

– Ale z ciebie jest bystrzak, *madame*, prawda? Wiesz chyba, że ona czasem lubi kłamać, co?

Oddycham ustami.

– A może ty jej wierzysz, co? – W kącikach ust zbiera mu się biaława piana. Cienkie nitki śliny ciągną się między górną i dolną wargą jak pajęczyna. – Przecież ona łże jak z nut, gdy tylko otworzy usta...

Chwyta mnie za podbródek kciukiem i palcem wskazującym, pyta po raz kolejny, czy jej wierzę, czy słucham tych zmyślonych historii. Zaprzeczam.

– To dobrze. To dobrze, *madame*. – Coraz mocniej wciska mi knykię w dołek poniżej szczęki, tak że muszę odchylić głowę do tyłu i wyciągnąć do niego szyję jak kotek. Ostatnim członkiem dłoni grubości kciuka jeździ mi po wargach, jakby chciał zetrzeć z nich róż niby szminkę.

– Tak od razu pomyślałem... Ładna, ale TEŻ bystra.

Gwałtownym, silnym ruchem odpycham jego ręce, spodnie i smród, zeskakuję z murku i biegnę co sił w nogach. Ale nie uciekłam daleko. Już po kilku krokach znów obok mnie słyszę turkot i warkot. Nie, nie chcę z nim jechać, niech sobie pyta, ile chce. Ale ani moja obrażona mina, ani mój demonstracyjnie odwrócony wzrok nie przeszkadzają mu jechać tempem pieszego obok aż do naszego domu. Udając świętoszka, wypytuje mnie o szkołę, nauczycieli, rodziców, jakby tamto niedawne dziwaczne przesłuchanie nigdy nie miało miejsca.

– Jak tam ci idzie gra na fortepianie, *madame* von Braun?

Wypuszcza z rąk kierownicę i wymachuje łapskami w powietrzu, jakby uderzał w klawiaturę. Raptem przednie koło wypada z koleiny i motorower zaczyna się niebezpiecznie chwiać. Z przerażeniem w szeroko otwartych oczach usiłuje złapać za uchwyt metalowego widelca, żeby uniknąć wywrotki.

Parskam śmiechem.

Jego niezdarność i ten godny klauna numer z motorowerem usposabiają mnie do niego niemal pojednawczo, tak że w końcu jednak rzucam mu kilka krótkich odpowiedzi. Gdy się żegnamy, dostrzegam nieznaczny ruch. Firanka w oknie JaśminyCelinyJustyny poruszyła się lekko.

Jeszcze zanim zdążę wsunąć klucz do zamka, przyjaciółka wbiega zadyszana na podest. Twarz ma białą jak kreda. Z trudem chwytając powietrze, bierze moją prawą rękę w obie dłonie.

– Co... czego on chciał od ciebie?

Drżący od trwogi głos, trzęsąca się od płaczu dolna warga – nie chcę już tego więcej widzieć.

– Nic. Niczego nie chciał. – Dość przesłuchań na dziś. Otwieram kluczem zamek.

Kłamstwem zakończonym stwierdzeniem, że „nie mam czasu”, spławiam tę, która zadaje pytania. Potem zamykam za sobą drzwi.

43.

Przez małe, kwadratowe okienko w drzwiach widzi plecy przyjaciółki znikającej w głębi domu. Wzrokiem wbitym w ciemny tył głowy odprowadza LottęLuizęŁucję przez krótki odcinek przedsiionka, zdąży jeszcze zobaczyć niewielki fragment garderoby, zanim zamkną się i te drzwi.

Jej palec podnosi się z drżeniem niemal do przycisku dzwonka. Moment niezdecydowania mija jednak szybko. Naraz opuszczają ją siły. Ramię omdlewa i opada bezwładnie wzdłuż tułowia. Ostatnie trwożliwe chłaśnięcie dłonią po udzie, a potem już tylko bezgłośnie, zgnębione dyndanie. „Nie” zabrzmiało zbyt wyraźnie.

Nie chce ryzykować.

Żółwym krokiem zaczyna schodzić, stawiając obie nogi na stopniach schodów, jak małe dziecko.

Z wyższego piętra dobiegają tymczasem znajome melodie. Dłonie siostry krwi, jeszcze kilka minut temu trzymała je w swoich.

Przy dźwiękach pianina dociera na podwórze, gdzie jesienny wiatr podrywa nuty, rozdziera je i rozwiewa na wszystkie strony świata. Pomiędzy asfaltem i błękitem rozciąga się przestrzeń nicości. Nigdzie nie ma oparcia, schronienia, uczucia.

Minęły czasy, kiedy strach błąkał się jej po ciele z nerwowym trzepotem jak chmara motyli w siatce. Pamięta dobrze ten czarny rój: tysiące skrzydlatych zwierzątek obijających się o błony narządów i sypiących wokół niezliczonymi drobinkami delikatnego pyłku. Z uszkodzonymi skrzydełkami, skazane na zagładę, zataczają się jak błędne i ślepe w ciemności jamy brzusznej, zanim ostatecznie stracą zdolność latania i padną na ziemię.

W jej wnętrzu – cmentarzysko motyli. To, co kiedyś było wilgotne, czerwone, fioletowe, powlekają teraz czarniawe warstwy pyłku. Zakurzone, okopcone pozostałości, które się duszą i zagrzebują, zamknięte w ciasnej przestrzeni i ogłuszone. Wyczuwa zalegającą jej żyły motylą padlinę. Same drobne grudki, które tamują przepływ krwi. Wszystko zatyka się i spiętrza.

Musi się przemóc, żeby zrobić jeden krok. Drętwa w jej wnętrzu nie ustępuje. Tak dalej być nie może. Palce szukają po omacku kłującego antidotum, jedyne go skutecznego środka na to otępiełe ciało. Tu, w tylnej kieszeni spodni, czekają nożyczki do paznokci ze swoimi ostrzami, kanciastymi krawędziami i szpicami, które dają nadzieję na ulgę. Rozgląda się dookoła, zanim rozewrze paszczę nożyczek. Nikogo nie widać wokoło. Spacerowicze schronili się w domach przed mgłą i zmierzchem. Dobroduszne oczy żółtych okien wpatrują się w pustkę. Tylko morze kropelek chlupiących w powietrzu wie, co ona robi.

Metalowa górna szczeka nożyczek wgryza się w białą jamę przedramienia. Robi się ciepło.

Ciągnie ostrze jak pług, tworząc gorącą, głęboką bruzdę. Z rany wytryskuje czerwień. Smużki posoki przedłużają cięcie aż do samego dołu, do nadgarstka. Oddycha. Serce w piersi rozsadza skorupę, odblokowuje sobie drogę i pompuje, pompuje, pompuje.

Stożek światła latarni ulicznej, ząbkowane wierzchołki drzew, niebiesko-białe rowki jej dżinsów – nagle może wszystko zobaczyć, otrzymuje błogosławieństwo wzroku, którym chłonie, odkrywa i zaczyna rozumieć rzeczywistość. Cienie drzew rozpadają się na tysiące ostro zarysowanych, rowkowanych igieł, których białawo-brązowe nasady trzymają się szorstkich gałęzi – każda z nich ma przedziałek w błyszczącej, wiecznie zielonej szacie włosów.

Kapie.

Ściąga rękaw i materiałem kurtki tamuje krwawienie. Nogi biegną teraz same, niosą ją od latarni do latarni, aż do krańca miejscowości i jeszcze dalej...

Wąska ścieżka rowerowa znajduje się w obniżeniu terenu pod poziomem ekranów akustycznych i drogi krajowej. Idzie szarawym śladem zamazanym przez mgłę, stopami szuka po omacku trawiastych krawędzi. W świetle zmroku plama krwi więdnie na rękawie. Przyciska mocniej wilgotne miejsce do ciała. Potem zapada noc. Plama czarnieje. Pieczęć gęstych chmur zamyka gwiazdy na niebie.

Ziemia jest teraz piwnicą bez okien.

Wrażenie całkowitej bezbronności. Odczuwa coraz silniejszą potrzebę, żeby wyciągnąć ręce do przodu i jak ślepiec obmacywać powietrze, by ominąć przeszkody. Ale rana w rękawie krwawi nadal. Musi przyciskać ją prawą ręką.

Tam! U jej stóp wije się coś! Zatrzymuje się przestraszona, potem skradając się, omija to coś dużym łukiem. Świadomość, że to gałęzie leżące na dróżce rowerowej, jednak nie uśmierza jej lęku. Żeby tylko nie była tak tchórzliwa! Tchórz, tchórz, tchórz!

Trzeba z tym skończyć! Wybije sobie z głowy tę swoją strachliwość, raz na zawsze, wykaże się odwagą, siłą, wytrzymałością. Jeszcze dzisiejszej nocy udowodni, że potrafi obronić swoją siostrę krwi. Nie może się jej nic złego przytrafić!

Rana tętni. Pali. Swędzi. To nic! Powzięła postanowienie: chce pójść aż do zamku, pójdzie, musi tam pójść. Tak. Jeśli da radę dotrzeć do zamku, wszystko będzie dobrze. Na mur beton.

Myśli o grubych, stuletnich fortyfikacjach w kolorze mysiej szarości, o blankach i widoku na całą dolinę. Zamek jest sprawdzianem, który musi zdać. Potem sama będzie wałem obronnym, nieprzeniknionym dla spojrzeń i niezdobyty dla rąk Mastera, będzie osłaniać i odpierać, bronić i chronić, powstrzyma zło i nieszczęście, żeby siostrze krwi nie stała się krzywda.

Robi się zimniej.

Mija tablicę z nazwą kolejnej miejscowości. Tutaj siostra krwi chodzi do szkoły. Miasto, w którym jest gimnazjum, graniczy z miastem, w którym stoi zamek.

Latarnie, długie jak szyje dinozaurów, buchają pomarańczowym światłem na ulicę. Spuszcza powieki, chowa źrenice przed rażącymi ją w oczy reflektorami przejeżdżających z szaloną prędkością samochodów. Jak daleko jeszcze?

Idzie z ramionami podciągniętymi aż do uszu i pod nosem powtarza w kółko cel, do którego zmierza, jakby klepała pacierz. Mokre powietrze wpełza do rękawów. Kryjówka w jamach z materiału, w którą wślizgnęły się palce, nasiąka wilgocią i chłodem. Ze zgarbionymi plecami zanurza twarz aż po czubek nosa w wycięciu kurtki. Tylko stopy jej nie marzną, za to puchną, bolą i obcierają się w ciasnych tenisówkach. Droga zdaje się ciągnąć w nieskończoność.

Jak często da się stawiać jedną stopę za drugą? Jak blisko jest już granicy, po której przekroczeniu nogi odmówią jej posłuszeństwa?

Miasto okazuje wrogość. Zamknięte na wszystkie spusty sklepy, złośliwie szeleszczące zarośla, wydzierające się na przystankach autobusowych grupy nastolatków. Rozbite butelki. Zapach piwa.

Stara się nie myśleć o drodze powrotnej. Teraz liczy się tylko zamek. Drogę do niego zna z wcześniejszych lat: mury miejskie, młyn, górna brama. Potem zalesionym zboczem wzgórze w górę aż do blank. Ostatnio była tu latem. Trzymając się z siostrą krwi za ręce, biegły przodem, a państwo von Braun szli z tyłu. Brano je za rodzone siostry. Z obu wafelków kapały im lody o takim samym owocowym smaku.

Czuje, że załamują się pod nią kolana. Szlocha wyczerpana. O, nie! Nie może teraz dać za wygraną! Przecież musi się udać, coś wreszcie musi się udać... Wstawaj, ale już!

Mokry brud przykleja jej do dżinsów dwie okrągłe łaty. Z trudem brnie dalej, przeklina swoje chwiejne nogi, które jej drżą z osłabienia i coraz to się uginają. Toczy bój ze swoimi kończynami o każdy metr, jakby to były dwa uparte osły. Czuje rosnącą odrazę do tych swoich leniwych bydlaków, które mają być jej nogami. Nic, tylko chcą spać, leżeć i odpoczywać! Stopy, nogi, tułów – zmęczone ciało sprzysięgło się przeciw niej. Obojętny jest im los siostry krwi. Głupie, mięsiste coś! Ze złością spina się ostrogami, przynagla się do pośpiechu. Idzie dalej tylko i wyłącznie dzięki swojej głowie. Nogi poddały się już dawno.

Parking, skrzyżowanie – niemal dopięła celu. Pionowa ściana kruszących się murów wyrasta przed nią, sięgając nocnego nieba. Potem młyn, dziwnie bezgłośny o tej porze. Górną bramę oświetla mała, żółtawa latarnia. Idzie w ślad za zapachem liści, odnajduje wzniesienie, gdzie zatęchło-oślizła zgnilizna powleka żwirową ścieżkę warstewką rdzawobrunatnej gołoledzi. Podejście to ciągłe ślizganie się i potykanie, upadanie i chwytanie równowagi. Pod drzewami panuje upiorna cisza.

Tylko ona jedna zdaje się tłuc po nocy jak marek po piekle. Zbocze wznosi się coraz bardziej stromo. Wysuwa twarz z kurtki i łapczywie wciąga ustami zimne powietrze. Przez otwarte wargi ziąb dociera do dwurzędu zębów. Głowa się rozpala. Pot spływa po czole. Poci się i dyszy.

Wreszcie żwir ustępuje gładkim stopniom z kamiennych bloków, które prowadzą do blank i na taras widokowy. Jeszcze dziesięć ostatnich kroków i otwiera się przed nią widok na całą wielką, bezkresną dolinę. Czarna druza pełna błyszczących kamieni szlachetnych z migotliwych białych, pomarańczowych i żółto-czerwonych świateł.

Brakuje jej sił, żeby cieszyć się ze swojego triumfu. Ogląda chmury w poszukiwaniu jakichś znaków. Czy Bóg ją dostrzegł? Czy widział jej odwagę, dotrzymanie przysięgi, jej odyseję aż tu, na samą górę? Tak często ją zawodził! Mimo to liczy na Jego pomoc. Żyje nadzieją, która tkwi w jej duszy jak drzazga. Zadra nadziei, cierń ufności w Bogu – dokucza, kłuje i podrażnia wszystko, a nie zdoła wyjąć jej nawet najzręczniejsza pęseta.

Wypatruje oczy, kierując je na północ. Czy to światła jej wioski? Powrót wydaje się rzeczą zupełnie niemożliwą... Ale tutaj nie może przecież zostać.

Z góry idzie się lżej. Drogą schodzącą w dolinę nogi niosą ją same. Poddaje się rytmowi kroków. Dwa razy nie daje rady uniknąć upadku. Ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami nie jest w stanie szybko zareagować i – jak nie rąbnie krzyżem o kamień... Pod drzewami pachnie resztkami lata. Marzą jej się sierpniowy upał, suche ubranie i nagie stopy.

Jaskrawe światło lampy w górnej bramie wpada oślepiającym blaskiem w głębiny dużych, czarnych jezior jej źrenic. W porównaniu z lasem, tonącym w ciemności, ulica wydaje się absurdalnie jasna. Tablice, oznakowania – wszystko rzuca refleksy.

Chce być niezauważalna, szuka cieni domów. Idzie główną drogą, powieki i członki jak z ołowiu.

Właściciel dwudrzwiowej beemki, model 325e, rok produkcji 1987, człowiek mający na imię Kenan, Gökan czy Furkan, nie może spać. Koniec zmiany daje mu się we znaki. Miał dość przewracania się w łóżku z boku na bok. Postanowił więc przejechać się samochodem.

Brak innych pojazdów, pasażerów i spojrzeń pełnych podziwu wcale mu nie przeszkadza, wprost przeciwnie. Uwielbia puste ulice, wyłączone światła sygnalizacyjne i wrażenie, że oto jest szeryfem śpiących, miejskim stróżem na kołach.

Miejszem rozpoczęcia nocnej rundki jest zawsze stacja benzynowa Aral, gdzie najpierw zaopatruje się w kawę, fajki i batony Mars. Gdy kubek z kawą ląduje w uchwycie, a fajka w ustach, wyjeżdża z parkingu, zostawiając w tyle dystrybutory i jaskrawoniebieskie oświetlenie. Jedzie wirażami Waldseer Straße, która dalej zmienia nazwę na Ravensburger Straße, a za żółtą stacją paliw Agip – na Gartenstraße. Bardziej niż autostradą lubi

pruć przez miasto środkiem jezdni z prędkością od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przesuwająca się scenografia za bocznymi szybami, przez które widać umykające domy, tablice i reklamy świetlne, kręta droga, a w końcu wiedza, ile czasu zajmuje przebycie tego samego odcinka w godzinach szczytu – to wszystko wielokrotnie potęguje wrażenie prędkości, płynnego i lekkiego ruchu, szybowania nad asfaltem.

Na końcu Gartenstraße skręca w prawo, a potem ulicami Schussenstraße i Ulmer Straße dojeżdża do obwodnicy, która szerokim, dwupasmowym łukiem i bez ograniczenia szybkości wiedzie go z powrotem do niebieskich świateł, do punktu startowego na Waldseer Straße.

W szczelinie magnetofonu tkwi kasetka ze starym nagraniem z koncertu na żywo Neşeta Ertaşa, którego śpiewem zachwycali się już jego rodzice i dziadkowie. Dźwięk saza sędziwego barda wypełnia wnętrze pojazdu brzmieniem pradawnych melodii ludowych. Młody mężczyzna, który z nonszalancją prowadzi teraz samochód jedynie poduszką dłoni, nie zna zbyt dobrze tureckiego. Nie szkodzi. Pieśni pełne mocy, bólu, tęsknoty i miłości poruszają go mimo to do głębi, trafiają w jego czułą strunę w piersiach, elektryzują czarno owłosione ramiona.

To jest dzisiaj już druga jego rundka.

Na Gartenstraße dostrzega małą, zgarbioną postać, która wlecze się chodnikiem. Rzuca okiem najpierw przez boczne okno po prawej, a potem w lusterko wsteczne. Postać jest zbyt mała jak na menela, a zbyt kędzierzawa jak na faceta.

Naciska hamulec, ścisza muzykę. Drugie spojrzenie w lusterko potwierdza jego domysł – to dziecko! Prawdopodobnie dziewczynka. Uczucie niepokoju każe mu zawrócić.

Cztery okrągłe reflektory toczą się u jej boku. Gdy kierowca opuszcza korbką szybę, jej odbicie znika. W oknie pojawia się czarnowłosa głowa młodego mężczyzny. Zasypuje ją gradem pytań: czy potrzebuje pomocy, czy jest ranna, czy się zgubiła. Zaprzeczając ruchem głowy, przystaje na chwilę. Silnik milknie. Słyszy trzask drzwi samochodu, czuje na swoim ramieniu jego rękę. Niepokój w głosie kierowcy napętnia jej oczy łzami. Czuje gorące strumyczki spływające jej po policzkach.

Na pytanie, czy ma ją zawieźć do domu, przytakuje tak gwałtownie, że od nosa i podbródka odrywają się krople. Słony, niemal bezgłośny deszcz kropi jej z przodu za kołnierz. Całkowicie wyczerpana pada na siedzenie obok kierowcy.

Po zawiezieniu dziewczynki do domu młody mężczyzna, który może ma na imię Kenan, może Gökhan czy Furkan, robi swoją ostatnią rundkę. Nastawia magnetofon na maksa. Stary bard śpiewa o Słudze Bożym i o czymś, co się poszczęściło. Więcej rozumieć nie musi. Czuje się dobrze.

CZĘŚĆ

III

1996. Piąta lekcja – matematyka. Ktoś coś udowadnia na tablicy. W klasie panuje cudowny spokój. Żadnych szeptów, żadnych chichotów, żadnych krzyków. Nic, co mogłoby zwrócić moją uwagę i zakłócić mi lekturę. Szukam strony osiemdziesiątej szóstej. W końcu znajduję ją całkiem z tyłu, między blokiem książki a okładką, gdzie w ciągu ostatnich czterech lat zebrał się cały plik luźnych kartek. Tanie książki w wydaniu kieszonkowym nie wytrzymują, jak się je czyta po dziesięć, piętnaście razy i do tego nosi ze sobą w najróżniejsze miejsca. Nic więc dziwnego, że zawartość moich półek z książkami to tak naprawdę zaczytany niemal do szczytu stos makulatury. Moja szalona chęć czytania w kółko tych samych powieści, póki nie nauczę się na pamięć kaździutkiego zdania, doprowadza kartki i oprawy do opłakanego stanu, bez skrupułów zużywa drukowany tekst.

Gdy zamykam oczy, mogę przywołać obrazy stronic ze wszystkimi szczegółami, tak jak widzi się twarz starego przyjaciela. Pamiętam każdy akapit, każde słowo drukowane kursywą lub wersalikami, wszystkie plamy i naddarcia, moje podkreślenia i błędy drukarskie. Pewność, że niczego nie przeoczyłam przy lekturze czy przeglądaniu, uspokaja mnie bardziej niż jakikolwiek kubek mleka z miodem. Czytanie ulubionej książki przyrównuję do przechadzki po tutejszych ulicach, lasach i łąkach, które są dla mnie chyba czymś najbardziej znajomym i najpewniejszym, co świat – poza fortepianem – może mi zaoferować. Myślę, że nigdy nie miałam silniejszej niż teraz potrzeby odwołania się do czegoś stałego, gdy żyję w wirze ogromnych przemian i mam świadomość, że zarówno we mnie, jak i poza mną nie pozostanie kamień na kamieniu. Już choćby tylko moje odbicie w lustrze... W niektóre dni mogłabym przysiąc, że nigdy przedtem nie widziałam twarzy, która wpatruje się we mnie po drugiej stronie szklanej tafli. Najwidoczniej przechodzę metamorfozę w – dobrze, ale właściwie w co?

Moje członki nie tylko wydają się dłuższe, lecz również mocniejsze, zwinniejsze, szybsze, a tym samym w pełni użyteczne

i skuteczne. Moje piersi zmieniły się przynajmniej o tyle, że już teraz, ot tak sobie, nie poszłabym pływać topless. Ale poza tym?

Odrywam oczy od książki i przelatuję wzrokiem po koleżankach i kolegach w rzędach ławek. Od jakiegoś czasu moja klasa daje się podzielić nie tylko na dziewczyny i chłopaków, sympatycznych i niesympatycznych, głupich i bystrych, ale również na krwawiących i niekrwawiących. Menstruacyjna zaraza nadeszła mniej więcej wraz z rozdaniem świadectw półrocznych. Utwierdzam się w podejrzeniu, że w tym momencie pozostaję jedyną osobą, której oszczędzono miesiączkowania. Nie jest to dla mnie niespodzianką, tym bardziej że już wtedy, gdy JaśminaCelinaJustyna swoim kapaniem zapryskała krwią niemal całą naszą łazienkę, doszłam do wniosku, że ja do takiego krwiołania nie jestem stworzona. Tu się nic nie zmieniło. Bezmyślne wyzbywanie się wartościowych soków jest dla mojego ciała oczywistym nonsensem, a ponieważ nie produkuje ono nic zbędnego, to niczego nie musi też wydzielać. Na trawienie i wydalanie, pot, smarki i plwociny mówi „tak”, a na wszystko inne – „nie, dziękuję”. Koncentruje się jak zawsze na produkowaniu słonych łez i sterylnej moczu. Na tyłanie się we krwi nie ma zgody.

Taka schludność i sprawność ciała powinna być właściwie powodem do radości. Nie mam więc pojęcia, co takiego pcha mnie ostatnio częściej niż trzeba do toalety po to, by udawać, że należę do grona krwawiących.

Ta silna potrzeba przynależności stadnej jest nowa. W zasadzie niezbyt ją sobie cenię, wręcz przeciwnie – budzi ona we mnie odrazę. Natomiast pragnienie, by w całej pełni i rozciągłości należeć do jednej z obu płci do wyboru, jest chyba tylko czymś naturalnym.

Na koniec takich rozważań decyduję się zwykle na to, by winę za moją ściemę i ten cały menstruacyjny teatr zrzucić na tysiące lat ewolucji oraz na prawa natury z jej wartościami progowymi i przymusem ograniczającym decyzje.

Zerkam przelotnie na zegarek. Jeszcze piętnaście nieznośnie dłużących się minut. Wracam do mojej lektury: „Bzdura – powiedział ojciec. Nadal czerpał wodę w ciągu dnia, ale przynosił ją z odkrytej pływalni. Wielu kąpało się tam przed wybuchem bomby. Od tego dnia nikt nie zmieniał wody w basenie, po powierzchni pływały liście i popiół. Ale była chlorowana, a to mój ojciec uważał

wciąż jeszcze za najlepszą ochronę. Wiadomość o tym rozniosła się po okolicy. Wkrótce ludzie tłoczyli się nocą przed wyłamanymi drzwiami pływalni. Z każdym dniem ubywało wody w basenach, gdy ja i ojciec przychodziliśmy rano z wiadrami. Wkrótce opróżnił się też brodzik dla dzieci, a w basenie dla nieumiejących pływać zostały już tylko skromne resztki. Tych nikt nie chciał, bo w wodzie sięgającej kolan pływały dwa ciała. Nikt ich nie wyciągnął do tej pory. Wszyscy udawali, że ich nie widzą, i dalej czerpali wodę z basenu...”.

Pochylam się do przodu i wystawiam twarz ku ciepłej plamie słońca, która wpada przez okno. Niebo na zewnątrz ma barwę błękitu typowego dla odkrytych pływalni. Szary kloc budynku szkoły zamknięty jest jak w kuli śnieżnej pod wysokim, sklepionym dachem. Od razu przychodzi mi na myśl moja matka, która zabłąkane czasem w naszym domu osy, pająki czy inne robactwo ostrożnie przykrywa filiżanką lub szklanką, by następnie wypuścić je żywe na wolność. Bóg robi tak samo. Patrząc w górę, widzimy dno filiżanki z Jego kolekcji porcelany, z resztkami mocnej i bosko błękitnej kawy. Wypija ją z delikatną pianką chmur...

Cicho postukuję piórem o blat stołu. Trzy, cztery umówione delikatniutki stuknięcia wystarczą, żeby uwagę Egipcjanina odwrócić od tablicy i skierować w moją stronę. Ruchem głowy wskazuję na okno, robię pytającą minę i rękami wykonuję małe, koliste ruchy pływaka. On potakuje głową. Wargami bezgłośnie formuje słowo „zdecydowanie”. Na pamiętnym obozie Młodzieżowej Orkiestry Symfonicznej zasadniczo zmienił się jego stosunek do chlorowanej wody i odkrytych pływalni. Dane sobie przyrzeczenie, łamane tylko w wyjątkowych wypadkach, że będzie się kąpać wyłącznie w naturalnych akwenach, straciło ważność w tym tygodniu ferii na Zielone Świątki.

Takie dziwaczne przysięgi są typowe dla Egipcjanina. Ale to niemała sensacja, gdy któregoś nie dotrzymuje!

Już teraz, niecałe dziesięć dni później, ten cudowny tydzień wydaje mi się nieskończenie odległy. Nieosiągalny, raczej sen niż jawa, mieni się tysiącem barw w przeszłości.

Z przodu wydane zostaje polecenie, żeby zabrać się do ćwiczenia numer trzy na stronie sto szesnastej. Wzdychając ciężko, opieram brodę na dłoni i wspominam lepsze czasy.

45.

Z szeroko rozłożonymi ramionami stoję na najwyższej platformie wieży do skoków, palce stóp przyczepione mocno do krawędzi grubości krawężnika. Wiatr ociera się o mnie jak kot. Nadchodzi z daleka, ześlizguje się z pokrytych śniegiem szczytów wysokich gór, pędzi nad gęsto zalesionymi zboczami aż do koron wiecznie zielonych drzew magnolii, by skąpać swoje skrzydła w upajającej woni różowo-białych kwiatów.

Jestem krzyżem na szczycie góry, pięć metrów nad taflą wody w basenie, częścią panoramy górskiego świata o ostrych kantach, które drażnią delikatnie błękitne niebo. Wszystko wydaje się na wyciągnięcie ręki. Z pięciu metrów robi się tysiąc, a z tysiąca robią się dwa tysiące – i już w Ticino powstaje nowe *monte*. Chrzczę ciebie nazwą Monte di Wieża Skoków – mówię szeptem, wciąż jeszcze oszołomiona widokiem majestatycznego krajobrazu Alp.

W suchym, przezroczystym niczym szkło powietrzu granitowe skały prezentują swoje złożone szlify. Szare, lśniące białe płaszczyzny zderzają się z sinymi cieniami ścian i stapiają w całość masywu, przyćmiewając swoją obecnością wszystko dookoła.

Jestem już prawie sucha. Tylko jeszcze wilgotny materiał stroju kąpielowego połyskuje wciąż jak skóra węża.

Jeśli chce się wykonać idealny skok, trzeba uzbroić się w cierpliwość, odczekać, aż powierzchnia niebieskiego prostokąta wygładzi się całkowicie i wreszcie nawet ostatni kąpielowicz na skraju basenu zauważy, że stoisz na górze.

Ostatni wdech, a potem odbicie. Przez ułamek sekundy unoszę się w powietrzu jak jaskółka z rozpostartymi skrzydłami na wysokości platformy, potem przysysa mnie ziemia. Lewe i prawie ramię, zakreślając łuk, zbliżają się do siebie i spotykają nad moją głową dokładnie w chwili, gdy wyprostowane ciało, tworząc jedną linię, spada prostopadłe ku tafli wody. Potem chłaięcie po twarzy. Zanurzam się pod wodę i znikam.

Nagle ogarnia mnie cisza. Płynę pośrodku sztywnej sieci spoin. Milczące płytki nadają wodzie typowy jasnoniebieski kolor

orzeźwiających cukierków lodowych. Droga w górę jest dłuższa, niż myślałam, ale w końcu basen mnie wypuszcza i wydaje na świat moją głowę. Światło wita mnie jasnością, całuje mi policzki. Z wdzięcznością otwieram usta i nozdrza, napełniam płuca powietrzem, które smakuje chlorem i kremem do opalania. Dopływam do brzegu basenu, staram się wyjść możliwie najswobodniej, kryjąc dziką radość, którą sprawia mi pełne podziwu spojrzenie Egipcjanina, po czym wyciskam wodę z włosów.

Kiedy grzeję potem brzuch na ciepłych płytach kamiennych wokół basenu, po raz kolejny zdumiewa mnie długi łańcuch przypadków i nieprawdopodobnych zdarzeń, które wyrzuciły mnie na szwajcarski brzeg tego jeziora, ciągnącego się zakrętami na południe aż do Włoch. Wystarczy podnieść głowę, żeby zobaczyć połyskujące zza drzew lustro dwujęzycznego akwenu. Ale i tak już tu czuję jego zapach, postanawiam więc poleżeć jeszcze chwilę za czerwono-czarną zasłoną powiek.

46.

Młodziężowa Orkiestra Symfoniczna... Nigdy w życiu bym nie pomyślała, że kiedykolwiek dam się komuś namówić do członkostwa w takim stowarzyszeniu. Byłam chyba zbyt rozbita po tej całej historii z JaśminąCelinąJustyną. Inaczej nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego pewnego wieczoru poszłam z Egipcjaninem na próbę.

Tygodniami bezskutecznie próbowałam oprzeć się stereofonicznie wzmocnionym namowom matki i Egipcjanina, którzy non stop nalegali, żebym „przynajmniej spróbowała, tylko raz”. Ta *idée fixe* ich obojga uparcie dźwięczała mi potem w uszach. Nie miałam wyboru. Jeśli chciałam się pozbyć tych szumów w głowie raz na zawsze, musiałam, chcąc nie chcąc, wziąć udział w próbie...

Wtedy przy fortepianie siedziała, z braku młodocianej osoby, żona dyrygenta. Reszta trupy składała się głównie ze schludnie ubranych ambitnych muzyków, którzy bez wyjątku, co muszę przyznać, opanowali technikę gry na instrumencie. Punktualnie o siódmej pojawił się dyrygent i długimi, szybkimi krokami podleciał do pulpitu. Nastąpiły dwie godziny ciężkiej muzycznej orki w głębokim skupieniu. Kiedy moje zdumienie poziomem gry orkiestry przygasło nieco, starałam się przy pomocy partytury, którą na początku próby uprzejmie dano mi do ręki, wyłowić różnice w grze poszczególnych muzyków. W większości grali oni tyle bezbłędnie, ile bez emocji. Zwłaszcza dziewczynom brakowało dynamizmu. Szczególnie z pierwszego półkolistego rzędu fletów, u stóp dyrygenta, słychać było grę robotów. Dalej w tyle jednak trafiłam nagle na coś, czy może raczej na kogoś, kto w równej mierze zachwyił mnie swoim wykonaniem i wyglądem. Wiolonczelista. Chłopak, starszy ode mnie o dwa, trzy lata, kosmyki odrastających po obcięciu na irokeza włosów opadały mu na czoło i lewe oko. Sprany T-shirt zdobił napis drukowanymi literami, zasłonięty częściowo szyjką wiolonczeli („NIR ANA”), z obu dziur w dżinsach wyglądały kolana. Zastanawiałam się nad tym, czego

on szuka w towarzystwie tych prymusów, aż do końca próby, z której wyszedł jako pierwszy, bez słowa pożegnania, ze słuchawkami na uszach.

Gdyby nie wiolonczelista, nigdy bym się nie zdobyła na wzięcie udziału w przesłuchaniach do orkiestry. Dotąd myśl, że w graniu zespołowym mogłabym nauczyć się czegoś od innych muzyków, wydawała mi się absurdalna i absolutnie nieprawdopodobna.

Od czasu mojego pierwszego przesłuchania minęły tymczasem prawie dwa lata.

47.

Otwieram oczy. Przede mną cztery uszeregowane jedno za drugim pasma przestrzeni. Basen, trawnik, topole i jezioro powlekają moje pole widzenia różnej szerokości płaszczyznami w odcieniach zieleni i błękitu. Przewracam się na wznak, wystawiam brzuch na mieniący się barwami nieba gigantyczny monochrom. Na obozie wakacyjnym noc są krótkie. Szczególnie dla mnie, bo najczęściej dopiero o świcie wślizguję się po cichu do wojskowego namiotu dziewcząt, w którym flety i klarnety śpią błogo od wielu godzin... Ma się rozumieć, że powieki skleją mi się mimowolnie, gdy tylko przyjmuję pozycję horyzontalną, jakbym była jedną z tych lalek mrugających oczami.

Również teraz mam zamknięte powieki. Wokół mojego opalonego na brąz nosa wiatr komponuje najróżniejsze esencje.

Czuję zapach jeziora, wyczuwam jego chłodną toń, stęchły muł i wilgotne, zbutwiałe drewno wysłużonych łodzi rybackich, wietrzą długie witki wierzb płaczących o srebrnych grzywach, czesanych grzebieniami fal. Z zachodniego brzegu wiatr niesie pudrowo-pastelową woń fiołków. Niekiedy świeża, owocowa słodycz gęstnieje bukietem kwiatów, odurzającym i natarczywym, wydziela ciężkie opary, których chorobliwa duchota utrudnia oddychanie. Ale czuję również zapach cienistych wschodnich brzegów jeziora, gdzie rosną kasztanowce, jodły i świerki. Stamtąd dolatują aromaty cierpkie, żywiczne, leciutko smolne. Do tego wonności sosen, kamforowców i wawrzynów łaskoczą moje nozdrza ostrą, niemal medyczną miksturą z nutą eukaliptusa...

Upajam się i usypiam, upajam się i usypiam. Ze skórą suchą i rozgrzaną, nasyconą słońcem, leżę spokojnie, zupełnie spokojnie. Płaśnieć mokrych stóp moje znużone uszy nie wychwytyją.

Nagle pada na mnie cień, jakby niebo cisnęło we mnie chmurę, potem czuję jeszcze kilka pierwszych kropli i nagle robi się zimno, lodowato. Na moim brzuchu leży, szczerząc zęby, ochłodzony wodą, mokruteńki Wiolonczelista. Moje przestraszone piski i protesty nie robią na nim specjalnego wrażenia. Razem

z Egipcjaninem chwytają mnie za ręce i nogi, i tak rozwieszoną między sobą jak hamak zaciągają do basenu. Oczywiście bronie się co sił, odgrywam oburzoną, nawet udaje mi się uwolnić nogi z uścisku Egipcjanina. By mnie mimo wszystko wrzucić do wody, Wionczelista oplata mnie ramionami i razem ze mną rzuca się tyłem do wody.

Nie ma nic piękniejszego.

48.

Pierwsze przesłuchanie.

Ostatnie dźwięki melodii przebrzmiały już dawno. Siedzę i czekam z założonymi rękami, schowana za fortepianem.

Blizna na mojej lewej ręce ściąga mięśnie w małym palcu, kurczy go i wykrzywia. Biała, gruzełkowata linia szpeci skórę. Przędza tkanki bliznowatej, którą pozszywano mnie z moim ciałem, jest sztywna i wypukła. Zgrubiały szew przekreśla brzuch mojej ręki. Niby mur, który dzieli i odłącza. Granica, do której należy pas śmierci sięgający od palca środkowego do krawędzi dłoni, gdzie wszystko napina się i ciągnie, i nic nie jest takie, jak było.

Fale ciepła, szczypania, lekkiego skurczu zalewają mi dłoń. Nie, nie odczuwam piekącego bólu. Nieznośne jest raczej to, że jakiś członek, jakaś część ciała, która powinna właściwie milczeć, nieustannie daje o sobie znać. Palec, blizna i dłoń nękają mnie perfidną mieszaniną świadu i odczucia ciała obcego. Lewa ręka to mój kamyk w bucie, moje ziarno grochu pod stosem dwudziestu materaców.

Ostrożnie ugniatam bliznę kciukiem, masuję dłoń. Następnie gładzę staw i ściągną zakrzywionego małego palca. Nie może się on już sam z siebie wyprostować. Jakkolwiek się staram, nie daje się odgiąć. Jest teraz garbuskiem. Kaleką i szponem, a nie palcem.

Dyrygent wciąż jeszcze milczy. Stoi nieruchomo jak posąg, lustruje mnie badawczo, szuka wzrokiem w mojej twarzy rozwiązania zagadki. Sprawia wrażenie niezdecydowanego. Między nami rozpina się jak szachownica biel i czerń fortepianu. Najwidoczniej decyzja, jakim posunięciem odpowie na moje otwarcie szachowe, przychodzi mu trudno. Czekam.

– Jesteś mańkutem?

– Nie. Dlaczego?

– Hm... tylko tak pytam. Lewa ręka wydała mi się częściowo lżejsza, bardziej melodyjna...

Moje serce jest dzikim koniem. Skacze i wierzga kopytami o żebra. Gniotę lewą rękę jak cytrynę i przygryzam dolną wargę,

żeby zamknąć drogę cisnącemu się na usta okrzykowi radości. On przecież nie wie, co mówi... Nie może wiedzieć... Korzystam z chwili milczenia i w duchu obracam młynek modlitewny z tuzinami słów podzięk. Dzięk-Boże, dzięki-Boże, dzięki-Boże...

– Czym jest dla ciebie muzyka?

Teraz ja milczę. Nie żebym nie wiedziała, ale dlatego, że mam chyba zbyt ubogi zasób słów, żeby wyrazić to wszystko, o czym chciałabym powiedzieć.

– Muzyka to morze.

– MOŻE czy MORZE?

– Jedno i drugie.

– A ty? Pływasz czy...

– Nie, nie! Fortepian jest moim okrętem.

– Okrętem? A nie raczej łodzią czy tratwą?

– Może.

W zamyśleniu kładzie dłoń na ustach. Gdy znów zaczyna mówić, wyczuwam w jego głosie wahanie. Przerwy między strzępkami zdań zdają się bardziej znaczące niż same słowa.

– To, czego się tu podejmujesz... takiej podróży... pośrodku oceanu, zupełnie sama... to może być niebezpieczne.

– Już to kiedyś słyszałam.

– Ach, tak? Od kogo?

– Od mojej mamy.

Potakuje. Jego skinienie głową jest ostrożne, powolne. Po chwili wydaje się, że podjął już decyzję. Ton jego głosu staje się pogodny, niemal wesoły.

– Większość twierdzi, że muzyka jest czymś niebiańskim...

Potrząsam przecząco głową.

– Nie? Dlaczego?

– Niebo ma zbyt mało ciała. Poza tym milczy... nie ma rytmu... Księżyc i jego takt – nie interesują go w ogóle. Wszystko nam tylko pokazuje: oto Słońce, a oto gwiazdy... możemy je sobie oglądać, ale niczego nie pojmujemy.

– Muzyka też się ulatnia...

– Ale przecież nie do ostatka! Moje serce bije ZAWSZE. Rytm pozostaje, nawet gdy wokół panuje cisza.

Czy on rozumie, co mam na myśli? Lubię niebo, nie chcę mówić o nim źle, próbuję więc inaczej:

– I tak są ze sobą połączone.

– Kto?

– No, niebo i morze! Znaczą się, na widnokręgu, tam błękit morza zlewa się z błękitem nieba. Słońce barwi fale... Nocą kładą się na nich gwiazdy... A w drugą stronę, no a w drugą stronę to nie działa! Morze nie odbija się w niebie.

Cisza. Spogląda na zegarek.

– Tak czy inaczej... Chcesz przecież – jeśli się nie mylę – zostać pianistką, prawda?

– Nie. No więc tak... tak, chcę, nie myli się pan – bąkam beładnie.

– No cóż, skoro bierzesz to poważnie, to twoja łódź nie wystarczy. Tobie jest potrzebny okręt, okręt i doświadczenie. Musisz się nauczyć pracy w zespole...

– Ma pan na myśli orkiestrę?

– Właśnie – odpowiada, pakując nuty do teczki. – Ile masz teraz lat?

– Jedenaście.

Przybiera surową minę. Podłużne bruzdy żłobią mu czoło między brwiami.

– Otóż to! Już najwyższy czas. Wielu ma talent... Za dziesięć lat pies z kulawą nogą nie wspomni nawet, że twój nauczyciel muzyki uważał cię za cudowne dziecko.

– Pan zna mojego nauczyciela muzyki?

– Owszem, przypadkiem go znam. Ale to nie ma nic do rzeczy... Musisz bardziej ukierunkować swoją grę. Za bardzo odbiegasz od zapisu nutowego, ignorujesz tempo... W orkiestrze tak być nie może, tu wszystko musi ze sobą współbrzmieć!

Wzruszam ramionami. Mimowolnie wysuwam do przodu krnąbrną dolną wargę.

– Gram tak, jak gram.

Nie mam pojęcia, dlaczego się teraz śmieje.

Potem wychodzimy z sali prób. Na zewnątrz czeka na mnie Egipcjanin.

– Do zobaczenia... – żegna się, podając dyrygentowi rękę, którą on ściska dłużej niż to konieczne.

– Obiecuję ci, że niczego nie stracisz, a zyskasz mnóstwo... Widzimy się w czwartek!

Nie czekając na moją odpowiedź, odwraca się i odchodzi długimi, szybkimi krokami, aż wreszcie znika w ciemności.

Szósta lekcja: łacina. Jestem na stronie sto dwudziestej siódmej. „Pętla zakołysała się między nami. Prószył na nią śnieg. – Siedzę we własnym gnoju – powiedział. – Jestem już całkiem odparzony. Ona dbała o to, żebym był czysty i miał co jeść. Ale jej już nie ma. Czy nie rozumiesz, że chciałbym uciec od tej udręki? To nie życie. Proszę! – Sięgnął znów po pętlę. Tym razem nie wyrwałem mu jej z ręki. Podziękował i założył sznur na szyję. – Gotowe – rzekł. – Tylko musisz mocno kopnąć, słyszysz? – Przełknąłem ślinę i z całej siły kopnąłem...”

Ach, ta cholerna ręka! Rano była jeszcze spokojna. Teraz znów szczypie, domaga się uwagi, chce, żeby ją ugniatać i gładzić. Na blacie stołu, zasmarowanym bazgraniną ściągawek i złotych myśli, leżą przede mną cztery palce i ściągnięty skurczem szpon. Poduszką prawej dłoni rozplaszczam zakrzywienie. Skrócone ścięgna odprężają się, rozciągają i prostują. Blizna oddycha z ulgą.

„...z całej siły kopnąłem wózek, który ruszył z impetem do przodu, a ja zaraz uciekłem. Dopiero gdy dotarłem do końca parku, obejrzałem się za siebie. Andreas wciąż jeszcze się kołysał”.

Nie wiem, dlaczego oczy zachodzą mi łzami. Litery się zlewają. Czarne ciałka, wygięte, proste, z kropeczkami i bez kropeczek, rozmywają się na łzawej błonie, która powleka gałki oczne i rozwadnia widok. Raz zamoczone litery tracą wyraziste kontury. Słowna ciecz rozpuszcza wszystko. Pozostaje tylko sens słów, który dawno już dotarł do serca i umysłu.

Ręka mnie swędzi jak jasny gwint. Ta opowieść, którą lubię i znam już przecież od dawna, poruszyła we mnie czułą strunę.

Dotąd unikałam jak ognia wspomnień o zdarzeniach sprzed dwóch lat. Gdy blizna się odzywa, zajmuję się nią troskliwie. Na widok mojego kalectwa pozwalałam sobie to smucić się, to szaleć z wściekłości. Ale rozpamiętywać przeszłość? Co to, to nie.

A teraz jednak dopadły mnie dawne wspomnienia. Wywołane z pamięci słowami: pętla i szyja, kopniak i kołysanie.

Cała praca wykonana została w ciemni mojego mózgu.
Zrozumiałam, że obrazy tamtego dnia, ujawnione z fotograficzną precyzją, zostały zanurzone w poczuciu winy jak w wywoływaczu.

Moje wewnętrzne oko nie ma powieki. Muszę na to patrzeć.

50.

Zaraz po kolacji rozlega się dzwonek do drzwi. Moi rodzice nikogo nie oczekują. Może to być więc tylko ktoś do mnie, a jeśli do mnie, to na pewno ona. Egipcjanin nigdy nie przychodzi bez zapowiedzi. Otwieram drzwi.

– Wyjdiesz?

Jest blada. Jej stopy drepczą nerwowo na wycieraczce. Podczas naszej wymiany zdań raz po raz ogląda się za siebie w kierunku ulicy, rzuca niespokojne, nieufne spojrzenia na chodnik.

– Pośpiesz się... Czekam na ciebie!

Mieszanina ciekawości i poczucia obowiązku sprawia, że wkładam botki i kurtkę.

Gdy schodzę na podwórze, gaśnie już ostatnia żarząca się na różowo chmura. W powietrzu czuć zapach śniegu. Za zimno, żeby usiąść na kłocu. Trzeba być w ruchu.

Pozwalam JaśminieCelinieJustynie wybrać trasę. Przyjaciółka kieruje kroki na południe, prosto do Rathausplatz. Naszą miejscowość otacza półkołem las, dlatego którądykolwiek by się szło, zawsze już po chwili wchodzi się między drzewa. Obydwie bardzo lubimy tę szczególną lokalizację, a nasze wędrówki niemal za każdym razem wiodą na zalesione tereny.

Już po zaledwie kilkuset metrach wiem, że dziś będzie to „duża runda” prowadząca przez Rathausplatz, wzdłuż strumienia i przy odkrytej pływalni, aż na wzniesienie z leśnym placem zabaw. Gdy idziemy, moja towarzyszką wciska mi do ręki pięciokrotnie złożoną kartkę papieru.

– Od Mastera – szepcze i przyśpiesza kroku.

Najchętniej zaraz wyrzuciłabym tę kartkę, ale nie mam odwagi. Z ociąganiem rozkładam kratkowaną kartkę zapisaną kulfoniastym pismem. Bazgroły „Mastera” i JaśminyCelinyJustyny są do siebie podobne jak dwie krople wody.

Początkowo byłam na serio urażona i oburzona tym podobieństwem. Każde zdanie wydawało mi się haniebną obrazą mojej inteligencji. Robi ze mnie durnia czy co? Najpierw byłam zbyt

wściekła, a potem za bardzo dotknięta, żeby zadać głośno to pytanie. Tymczasem przyzwyczałam się do poczty „Mastera” i zaakceptowałam ją jako element gry.

Kolejne listy prawie nie różnią się od siebie treścią. „Ona należy do mnie... Mogę z nią robić, co chcę... Gdy mam ochotę ją pieprzyć, to ją pieprzę... I nikt mnie nie powstrzyma...” Od dawna już nie czytam wszystkiego. Najczęściej przesuwam tylko oczami po papierze, udaję przez chwilę, że czytam tę bazgraninę, zanim zgniotę kartkę i wyrzucę do najbliższego kosza na śmieci. Zgodnie z poleceniem JaśminyCelinyJustyny, aby żaden z listów Mastera nie dostał się do rąk osób trzecich. Zdumiewające, jak łatwo jest zniszczyć słowa, którym się nie wierzy.

Przecinamy Rathausplatz i mijamy gospodę z wyszynkiem o zielonkawo-brązowych gomółkach, która już wielokrotnie stanowiła tło opowieści JaśminyCelinyJustyny. Raptem słychać zbliżający się warkot. Równocześnie obracamy głowy w kierunku, skąd dobiega ten znajomy odgłos. Jeszcze zanim zdążę podnieść dłoń, by się przywitać, przyjaciółka chwyta mnie za ramię i ucieka co sił w nogach. Zdezorientowana pędzę obok, co rusz się potykając.

– Co jest...?

– Nie gadaj, leć!

Dobiegamy do skraju lasu. Daję się zaciągnąć za pień grubego dębu. Dyszy ciężko obok mnie. Nie rozumiem prawie, co mówi.

– On... on mnie prześladowuje!

– Kto?

Spogląda na mnie struchlałym wzrokiem, z piersi wyrywa jej się okrzyk:

– JAK TO KTO!?! MASTER!!

Przestraszona swoim wybuchem zakrywa szybko usta rękami. Okrągłymi z przerażenia oczami rozgląda się dookoła i daje mi znak, żebym przysunęła się bliżej. Czuję jej oddech. Szepcze mi do ucha:

– On jest wszędzie... Nie ma od niego ucieczki!

Stoimy obok siebie w milczeniu. Gęsta tkanina drzew filcuje się na naszych oczach, spilśnia się w nieprzejrzone, nieprzeniknione sukno. Las tonie w trzęsawisku czarnych jak noc cieni. Powinnyśmy zawrócić, zanim...

– Słyszysz? – szarpie mnie za rękaw. Jej twarz rozbłyskuje bielą. Mogę poczuć pod pachami jej strach.

– Jest już blisko! Bardzo blisko!

Wstrzymuję oddech i zapuszczam ucho w ciemność, czuję, że wzbierają we mnie rozpacz i łzy. Gdzie on jest? Nikogo nie słyszę!

– O Boże... Zbliża się, zbliża! BIEGIEM!!

Pędzimy żwirową ścieżką przez las. Im szybciej biegnę, tym bliższe zdaje się grożące niebezpieczeństwo. Mogę już go poczuć, tego prześladowcę. Depcze mi po piętach, chwyta za kark. Gałęzie drzew to jego palce. Przydroże zije czarną czeluścią. A on goni nas dalej, coraz dalej, w głąb lasu, jak dwie bezradne sarenki. Uciekam, ledwie dotykając stopami ziemi. Zamieniam się w nogi i ramiona, rozmach i rozpęd, odcisk i obcas, nie ma niczego poza tym. Nagle JaśminaCelinaJustyna skręca ostro w bok, zbiega ze ścieżki i daje nura w cień. Ja za nią. Zarośla są tak gęste, że z trudem posuwamy się do przodu.

– Jeśli zostaniemy na drodze, to on nas dorwie! – słyszę tuż obok jej krzyk.

Świerki i jodły rozdrapują mi twarz i ręce, wystające korzenie doprowadzają mnie do upadku. Ziemia jest mokra i błotnista. Nogi zapadają się po kostki w grząskim błocie. To brzuch lasu, zarosły gąszczem, owładnięty nieprzeniknionym mrokiem. Nigdy jeszcze nie byłam taka ślepa. Żeby chociaż księżyc wzeszedł! I to może na myśl o księżycowym blasku pojmuje nagle, gdzie jesteśmy. Gdzieś w pobliżu musi być wyrobisko po dawnej żwirowni...

Już widzę połyskujące zza drzew szare zbocza nieczynnej kopalni odkrywkowej żwiru. Z szelestem, trzaskiem i chrzęstem przedzieramy się przez ostatnie chaszczki, docieramy na skraj krateru.

Wysoko nad tą jamą, przywróconą do naturalnego stanu, mrugają poirytowane gwiazdy. Wytężają i przymykają jasne oczy, jakby chciały sprawdzić, czy ten głęboki lej rzeczywiście został stworzony ludzką ręką, czy jednak jest grobem jednego z ich przyjaciół meteorów.

Zsuwam się po spadzistym zboczku urwiska, najbardziej strome odcinki pokonuję, zjeżdżając na siedzeniu. Prześwit pozwala mi odzyskać wzrok: mogę rozpoznać kontury pojedynczych drzew, krzaków, kęp – pionierskie rośliny zdobywające ponownie swoje terytorium.

Trzymamy się prawej strony, idziemy dawnymi śladami koparki. W mojej głowie zaczynają się iskrzyć pierwsze rozsądne myśli: droga powrotna przez wyrobisko oszczędzi nam przedzierania się przez pomrokę i podszybie... Od wyjścia z dawnej kopalni do skraju lasu nie jest już daleko... Chociaż dalej biegniemy i nadal oglądamy się za siebie, wypatrując prześladowcy, to jednak czuję powolny odpływ paniki, cofanie się fali przerażenia.

Wyjście z wyrobiska tarasuje nam wysoki metalowy płot.

Cholera!

– Może gdzieś jest brama...

Ale JaśminaCelinaJustyna mnie nie słyszy, tylko wspina się na płot, jest już prawie na szczycie.

– Na co czekasz? No dalej, chodź!

Myśl o tym, że mogłabym zostać w kopalni sama, rozwiewa wszystkie moje wątpliwości. Wdrapuję się na górę.

Wąskie, trzymetrowej wysokości ogrodzenie panelowe z metalu zwieńczone jest koroną z ukośnych prętów, przez co płot wygląda jak pół litery Y. Ledwo udaje mi się przewinąć przez strome zakończenie przeszkody. Trzask-prask, trach! Ostre końcówki metalu rozdierają mi spodnie i kurtkę. Wreszcie siedzę na górze. Obok JaśminaCelinaJustyna. Płot chwieje się pod naszym ciężarem. Gdy huśtanie ustaje, przyjaciółka zabiera się do zejścia. Najpierw schodzi kawałek w dół, a potem wypuszcza z rąk metalowe drążki i zlatuje na ziemię. Ląduje miękko na gąbczastym gruncie lasu.

Właśnie mam zamiar pójść w jej ślady, gdy czuję, że jeden z metalowych prętów zaplątał się w moją kurtkę. Zaczepiłam się na amen.

– No co jest? Złaż!

Waham się, cofam rękę za siebie i próbuję zdjąć materiał z pręta.

– Złaż!

Ostatnia moja myśl dotyczy kurtki. Czuję jeszcze lekkie ukłucie w miejscu, gdzie się przytrzymuję i podpieram, a potem – skaczę. Kurtka, nagle uwolniona, sfruwa za mną. Ale zostaje ramię. Przez ułamek sekundy wiszę na metalowym haku jak ryba. Pręt przebija mi lewą rękę. Bezradnie dyndam na ogrodzeniu, gdy tymczasem siła grawitacji przyciąga moje stopy. Siły na górze i na dole przeobrażają się w rumaki, które rozdierają moje rozpięte między

nimi ciało. Ostra stal kroi moją rękę jak masło, przestaje dopiero wtedy, gdy ją już rozetnie.

W ślad za resztą ciała spada ramię, później o chwilę, w której doznało urazu.

Jestem na dole.

Pałaca, gorączkowa ciemność napełnia moją dłoń. W kipiącym cieple topią się resztki bólu. W szoku dźwigam się z trudem z ziemi. Prawą ręką podtrzymuję to coś, nieżywe, wilgotno-ciepłe jak martwe pisklę.

– Ja... Chyba się skaleczyłam – bełkoczą moje usta.

Pod drzewami nic nie można zobaczyć. Noc i ciemność połykają czerwień. Zawroty głowy, wokół której wszystko wiruje niczym małe trąby powietrzne. Stoję zdrętwiała, oczy zachodzą mi mgłą i wypełniają się gwiazdkami. JaśminaCelinaJustyna coś widzi, coś mówi, coś krzyczy. Szum w moich uszach zagłusza jej głos. Podaje mi swój szalik. Bez cienia świadomej myśli, jak lunatyczka, owijam bezwładną bułę mokrym, ubabranym wełnianym materiałem.

Master znikł. Powoli ruszamy dalej.

Czuję, że leci mi krew, moja drogocenna krew. Przesiąka szybko przez szalik. Wełna zachłannie ssie moje soki, upija się szkarłatem, póki nie nasyci się każde włókienko. W przesączoną krwią dzianinę nic nie może już wsiąknąć. Krwawe źródło bije z rany przez materiał.

Krew płynie strużkami przez palce, bolesna strata sprawia, że idę na miękkich nogach. Miękkich jak wosk. Co się stało?

W kręgu żółtego światła pierwszej latarni odwijam szalik. Oto ona, moja ręka. Przecięcie między serdecznym a małym palcem. Czerwonawo-czarna czeluść rozdziela i rozszczepia ją na pół. Krawędź dłoni wisi jeszcze na ostatnim strzępku skóry. Przylega do spodniej części jak kromka chleba odkrojona do połowy, grozi oderwaniem, odłamaniem. Czy to ja się chwieję, czy też ziemia chwieje mi się pod nogami?

JaśminaCelinaJustyna znów krzyczy, gestykulując gwałtownie.

– Zawiaż to! ZAWIAŻ!!

Chowam ranę pod szalik.

Tu wątek się urywa.

51.

Siedzi w swoim gabinecie. Dopiero trzeci dzwonek przebija się do jego uszu i przypomina mu o tym, że żony nie ma w domu. Zaraz, zaraz, dokąd ona jeszcze raz poszła? Mówiła... o jakimś spotkaniu. O zebraniu rodziców? Przyjęciu urodzinowym? Hm, trzeba było uważniej słuchać.

Z ciężkim westchnieniem zamyka książkę, opuszcza gabinet i schodzi po jasnych drewnianych schodach na parter. Ktoś dzwoni na dole po raz czwarty.

W otwartych drzwiach widzi najpierw tylko dziecko sąsiadów. Dziewczynka ma brudną buzię, zabłocone buty. W kędzierzawych włosach roi się od brązowych i zielonych igieł jodły.

Coś do niego bełkocze niezrozumiale, słyszy tylko imię swojej córki. Podąża wzrokiem za wyciągniętą ręką małej sąsiadki i zamiera z przerażenia: o ścianę wnęki ze skrzynką pocztową opiera się jego dziecko. Brud na policzkach poprzecinany jest jasnymi strużkami. W prawej ręce kurczowo ściska przesiąknięte krwią wełniane zawiniątko.

Rzuca się do córki, chce jej dotknąć, ale nie wie jak. Co robić? Ma ją wziąć na ręce? Czy ona może utrzymać się na nogach? Co tu się, do licha ciężkiego, stało!? Uświadamia sobie, że krzyczy głośno, sam wie, że wrzask tu nic nie pomoże.

Dziecko sąsiadów osuwa się na wycieraczkę, beczy i szlocha, nie odpowiada. Ojciec ostrożnie rozwija szalik, widzi rozszarpaną małą rączkę, z której ciągle jeszcze sączy się krew. Dostaje mdłości i zawrotów głowy. Zatacza się, musi przytrzymać się skrzynki pocztowej. Żeby tylko nie zemdleć, żeby nie zemdleć! Ze wszystkich sił stara się oddychać spokojnie i równomiernie.

Słabość ustępuje miejsca całkowitej jasności myśli. Z córką na ramieniu wpada do domu, chwytą z półki kluczyki od samochodu i apelując do samego siebie o ostrożność, schodzi szybko po schodach do garażu. Żeby tylko nie upaść! Troskliwie kładzie dziecko na siedzeniu obok kierowcy, obchodzi auto i wsiada

z drugiej strony. Elektryczna brama garażu otwiera się nieznośnie powoli.

Pędem wyjeżdża tyłem z garażu, dostrzega na chodniku córkę sąsiadów. Nie ma czasu opuścić szyby. Bez namysłu otwiera drzwi i woła coś do niej.

Ma iść do domu! On jedzie teraz do szpitala! Podczas jazdy zsuwa kapcie. Są za duże, tylko mu zawadzają przy zmianie biegów i dodawaniu gazu.

– Nie bój się... Jedziemy do szpitala... Wszystko będzie dobrze – mówi raczej do siebie niż do niej.

Na parkingu Szpitala Czternastu Świętych Wspomożycieli dziewczynka odzywa się słabym, cichym głosikiem. Co mówi? On nie rozumie. Samochód zostawia otwarty. W skarpetkach, z córeczką przyciśniętą do piersi, pędzi w poprzek trawnika w kierunku oddziału ratunkowego. Drzwi się rozsuwają. Jasne światła neonowe w szpitalnym korytarzu ogarniają ojca z dzieckiem. Wreszcie rozumie, co ona szepcze pod nosem.

– Nigdy już nie będę mogła grać. Nigdy.

Czuje, jak do oczu napływają mu łzy, przyciska usta do jej czoła.

– Ależ nie, skarbie, będziesz mogła grać, zobaczysz – odpowiada, modląc się, żeby rzeczywiście tak się stało.

Potem muszą czekać. Godzinami. Chirurg, który będzie operować rękę, jest podobno znakomity. Szok i odurzające działanie adrenaliny słabną u dziewczynki z minuty na minutę. Nasilają się bóle. Ojciec nie może znieść, że widzi córkę w takim stanie, biegnie przez korytarze do sióstr i prosi o środki przeciwbólowe. Ale opryskliwa blondyna tłumaczy mu, że dopóki nie wiadomo, czy konieczne będzie znieczulenie ogólne, czy nie, nie można podawać żadnych leków. Wytrącony z równowagi patrzy, jak pielęgniarka znika w dyżurce, żeby dolać sobie kawy. Jego rozpacz zamienia się w nienawiść.

Córeczka chce wiedzieć, gdzie są, więc jej mówi.

– A kim jest tych Czternastu Świętych Wspomożycieli? – wyszeptuje.

Nie potrafi jej odpowiedzieć.

Później słyszy na korytarzu stukot obcasów żony. Śpieszy jej naprzeciw. Widzi, że trzyma pod pachą jego płaszcz i parę butów. Prowadzi ją do łóżka dziecka. Nagle przypomina mu się otwarty samochód. Wkłada buty i płaszcz, wybiega na parking.

W drodze powrotnej zauważa małą tablicę z nożem i widelcem, wieżą kościoła oraz krzyżem. Kaplica szpitalna znajduje się tuż przy kafeterii. Na rudobrazowej półce z tyłu za ostatnim rzędem ławek leżą śpiewniki oraz kilka broszur i ulotek informacyjnych. Znajduje to, czego szuka.

Wraca na pierwsze piętro, gdzie wiozą już w jego kierunku córkę na szpitalnym łóżku. Jest w drodze na anestezjologię. Widzi żonę, która zachowując odpowiedni dystans, idzie za łóżkiem i pielęgniarkami. Opryskliwa blondyna sztorcuje go, że tarasuje drogę.

Z otwartą broszurą w prawym ręku idzie koło łóżka. Drżącym głosem odczytuje imiona czternastu świętych:

– Achacy, Idzi, Barbara, Błażej, Krzysztof...

Dochodzi do dwunastego świętego. Dalej nie ma wstępu.

Odnajduję wątek. Tam jest chirurg. Niewyraźna sylwetka. Nie chcę widzieć tego, co robi. Wredne znieczulenie z drwiącym uśmiechem wycofuje się z mojej ręki, zostawiając mnie na pastwę coraz dotkliwszych ukłuć igły. Daję znać, co czuję. Pielęgniarki operacyjne i lekarz wymieniają między sobą pytające spojrzenia. Zaraz będzie po wszystkim – decydują.

Leżę skazana na dzielne znoszenie bólu, który w olśniewającej bieli bloku operacyjnego pokazuje się ze wszystkich stron. Nawet za zamkniętymi powiekami jest jasno. Wdech i wydech stają się coraz głośniejsze, świszczą ostro między zębami. Najsilniej odczuwam impuls, by natychmiast zdjąć rękę ze stołu. I to nie odwaga ani siła woli każą mi panować nad tym odruchem. Powstrzymuje mnie tylko i wyłącznie strach, obezwładniający strach przed konsekwencjami, jakie pociągnęłaby za sobą taka ucieczka.

Gdy patrzę wstecz, zdaję sobie sprawę z tego, że operacja, te godziny pod jaskrawym światłem lamp, to był szczyt mojej nadziei. Atmosfera skupienia, stanowcze polecenia wydawane przez lekarza i jego pewne ruchy, wyraz spokoju na twarzach pielęgniarek – wszystko to pozwalało mi wierzyć, że całkowity powrót do zdrowia jest możliwy.

Sala operacyjna to zamknięty świat. Sterylne pomieszczenie, zalane światłem, miejsce całkowicie pozbawione jakichkolwiek odcieni szarości. Mówi się tam „udało się”, „powiodło się” i „bez komplikacji”. Tu jest się pewnym swego.

Ulegam więc złudnemu poczuciu bezpieczeństwa, odkrywam ze zdumieniem przyjemność, którą sprawia mojej duszy to całkowite poddanie się czyjemuś działaniu, gdy tymczasem z bólu bierze mnie rozpacz.

Jeszcze jedno ukłucie i „udałam się”. Zbieram pochwały.

Wywożą mnie na korytarz. Coś jakby groch toczy mi się po policzkach.

Czas mija. Siostry dostarczają tace i tabletki, jedno i drugie trzy razy dziennie. Uchylam plastikowy kloz i sprawdzam zawartość

naczyń: dwa deko zawiniętego w złotko maselka obok spoconych, pomarańczowych plasterków sera. Bułka ma własny talerzyk. Do jej rozkrojenia potrzebne są obie dłonie. Z brzękiem upuszczam nóż na tacę.

Rodzice spędzają przy moim łóżku każdą wolną minutę na tym, by przybierać radosne miny, pełne nadziei i ufności. Wolałabym, żeby z tym skończyli. Już samo to, że mój ojciec od wielu dni siedzi w szpitalnej sali, a nie w swoim gabinecie, świadczy o tym, że tak naprawdę spodziewa się najgorszego. Milczy jeszcze więcej niż zwykle.

Moja matka natomiast odpędza od siebie myśli o tym, co będzie, a skupia się na rzeczach praktycznych. Pomaga mi przy myciu, przynosi książki, wstawia kwiaty do wazonu. Najbardziej martwi ją mój chroniczny brak apetytu.

W ciągu tego tygodnia mój zasób słów kurczy się do niewielu „tak” i „nie”. Strach, że już nigdy więcej nie będę mogła grać na fortepianie, wymazuje wszystkie inne lęki.

Jak istnieć bez muzyki? Jak przeżyć dni, tygodnie, lata, jeśli nie będzie można im nadać brzmienia? Moje życie ma stać się niemym filmem bez dźwięków, tą drogą będę zmierzać, potykając się, aż do kresu.

Kim jestem bez fortepianu? Nie chcę znać odpowiedzi.

Wzdrygam się z obrzydzenia, gdy pomyślę, że miałabym grać siedmioma, ośmioma czy dziewięcioma palcami. Zmniejszenie i upośledzenie, pokora i akceptacja – na dźwięk tych słów o mało nie wyskoczę z łóżka i ze skóry, o mało nie wyrwę sobie włosów, nóg i szwów. Cztery równoznaczniki bezsiły, spętania, nieudolności. Sensu tych pojęć mój umysł nie jest w stanie uchwycić, tak samo jak moja ręka bułki przynoszonej na śniadanie. Rodzą one we mnie tylko sprzeciw: NIE, NIE i po trzykroć NIE.

Rozkoszuję się wściekłością i odrazą, jakie ogarniają mnie na myśl o potulnej jak baranek, ułomnej LotcieLuizieLucji, bo przecież w tych właśnie rzadkich chwilach czuję się silna, stanowcza i pełna życia.

Mój gniew ma przyszłość. Jest nieodwołalny. Nie potrzebuję ani lekarza, ani ufności, żeby przewidzieć, że również jutro na widok niesprawnej ręki wzbierze we mnie gniew. Jestem absolutnie pewna mojego sprzeciwu, aby z tym, co się wydarzyło,

kiedykolwiek się pogodzić, uznać to za „mój los”. Tak wtedy myślałam.

Źle myślałam. Te niezliczone godziny pełne apatii, spędzone w szpitalnym łóżku, w końcu naruszyły i skruszyły mój z początku zaciekły opór. Pozostała rozpacz. I strach.

Moje oczy krążą w kółko, błądzą po tapecie, oknie i opatrunku, podczas gdy myśli kłębią się wokół doznanej straty. Czy zbyt długo byłam nietknięta? Czy doznam teraz wszelkich urazów naraz, których mi oszczędzono do tej pory? Tysiące pytań, a każde z nich rodzi kolejne.

53.

Właśnie mam zamiar wycelować znaki zapytania – niczym lotki do gry w darta – w drewniany krzyż pod sufitem sali, gdy nastaje pora odwiedzin.

Rozlega się pukanie.

Trzy pary oczu (tato, mama, ja) kierują się w stronę odgłosu i zatrzymują na drzwiach, które ani drgną. Klamka tkwi nieruchomo w pozycji poziomej.

Kolejne, nieśmiałe, naznaczone już lekkim zniechęceniem puknięcie zdradza mi tożsamość niezapowiedzianego gościa, jeszcze zanim mama zawoła jasnym głosem z nutą usilnego optymizmu: „Proszę wejść!”.

Chcę wyrazić mój sprzeciw, ale przez uchylone drzwi wsuwają się już pierwsze kędziorki. Demonstracyjnie odwracam głowę, całą moją uwagę poświęcam krajobrazowi za oknem, gdzie płyną po niebie koczownicze gromady pozbawionych ojczyzny, listopadowych chmur, a wiatr zmiata z drzew ostatnie resztki liści.

Spod szpitalnych koców wystaje popiersie utworzone na mój obraz i podobieństwo. Wypolerowany, stwardniały kawał alabastru o nieruchomych bursztynowych oczach, który odwiedzającej nie wita ani słowem, ani gestem.

Zderzenie mojego odpychającego milczenia z zażenowanym, urażonym bezgłosem JaśminyCelinyJustyny sprawia, że atmosfera w pomieszczeniu gęstnieje od niewypowiedzianych uczuć. Rozpaczliwe próby rodziców, by znaleźć neutralne tematy rozmowy, wzmagają tylko napięcie, czynią je nieznośnym. Nie mogę wytrzymać i otwieram usta.

Wydobywam głos. Brzmi obco. Słowa rzucone między ich twarze pękają i tną powietrze odłamkami o ostrych krawędziach, którymi skaleczyć ma się przede wszystkim jedna osoba.

– Chcę, żeby sobie poszła.

Matce wyrywa się z gardła odgłos przestachu, zamaskowany śmiechem. Udaje, że się przestyszała, przecież nie mówię tego na poważnie.

Jakby zdalnie sterowane moje usta otwierają się po raz kolejny.

– Niech sobie pójdzie.

– Ale...

– WYNOCHA!!

Rozsadam chłodną alabastrową skorupę, wypluwam z siebie furie rozpaloną do czerwoności:

– WYNOCHA! WYNOCHA! WYNOCHA!!

Rozdygotane dłonie matki w pośpiechu wypychają JaśminęCelinęJustynę za drzwi. Tętno wali mi w głowie tak głośno, jakby mózg i serce zamieniły się miejscami.

Siedzący po prawej stronie ojciec głaszcze mnie uspokajająco po ramieniu. To działa. Im bardziej się we mnie wszystko ucisza, tym dotkliwiej czuję smutek i stratę zalewające mi piersi niczym dwa podziemne strumienie. Intensywność uczuć wypełnia dołek, o którego istnieniu nie miałam dotąd pojęcia. Płacz przyniósłby ulgę. Ale nie potrafię płakać.

W następane dni mama udaremnia odwiedziny JaśminyCelinyJustyny, powstrzymując ją już na korytarzu, tak że mogę wrócić do półsłówków „tak” i „nie”, do karuzeli myśli, które niby koniki krążą wokół pianina.

Słońce wstanie jeszcze i zajdzie sześć razy, zanim zostanie wypisana ze szpitala.

Jestem jednoręcznym bandytą. Snuję się ukradkiem z kąta w kąt po domu, gdzie nie ma nic do roboty i nic do wygrania.

Gdybym miała kikut ze złotym hakiem, a nie taką uciążliwą mumię w opatrunku z białej gazy, byłoby mi łatwiej radzić sobie w codziennym życiu. Nawet najmniejszy, najdelikatniejszy dotyk prowokuje pozostałości mojej ręki do gwałtownych odpowiedzi nacechowanych bolesną wrażliwością.

Szkoła jako świadomy manewr w celu odwrócenia uwagi nie wchodzi w rachubę w moim świeżo załatanym stanie. Potrącenie przez jakiegoś nieuważnego kolegę z klasy, co doprowadziłoby do otwarcia rany, byłoby w tej chwili raczej niepożądane. Poza tym nie jestem pewna, czy umiałabym z należyтым spokojem odeprzeć grad pytań, który spadłby na mnie nieuchronnie. Wyzwań, dalibóg, mi nie brakuje (również bez szkoły). Już sam widok mojej obandażowanej lewej ręki dręczy mnie od świtu do nocy, a codzienne, zwykle machinalnie i bezmyślnie wykonywane czynności nagle okazują się wskutek mojej jednoręczności problemami nie do pokonania. Jeśli ktoś twierdzi, że choćby w niewielkim stopniu radzę sobie z moim nowym zadaniem, czyli znoszę cierpliwie nieustanne frustracje, to kłamie wierutnie.

Nie opuszcza mnie uczucie, że uszkodziłam nie tylko moje własne wskazówki w postaci palców, ale również wskazówki zegarów. Sekundy, minuty, godziny wolno kuśtykają od cyfry do cyfry. Co mam ze sobą zrobić? A co z tym całym wydłużonym, ciągnącym się w nieskończoność czasem?

Zaliczam kilka rundek po pokojach i piętrach, wchodzę na górę po schodach, staram się usilnie przetrzeć nieznane dotąd szlaki – daremnie. Zawsze w końcu wracam w utarte koleiny, na tę niewidoczną, wydeptaną ścieżkę, która prowadzi mnie do pianina. Magiczna, absolutnie nierozzerwalna więź z instrumentem z góry skazuje na porażkę wszystkie moje połowiczne próby uwolnienia się i ucieczki. Jestem uwiązana do klawiatury i drewnianej obudowy jak pies na łańcuchu. Im dalej od pianina gnają mnie rozpacz

i wściekłość, tym gwałtowniej do niego doskakuję, pociągnięta za ciasną obrozę tęsknoty wokół szyi, i zasiadam na obitym skórą taborecie przy instrumencie.

Kłapa otwiera się sama. Siła przyzwyczajenia wiedzie moją prawą rękę tuż nad klawisze. Ich biel i czerń, i gładkość budzą wewnątrz mnie pragnienie. Małe, zwinne fale przemożnej chęci spływają do opuszek palców, które drżą, zatrzymują się w powietrzu z wahaniem. Nie mogę ich powstrzymać od uderzenia.

Prawa ręka drepcze po klawiszach – samotny, pięcionogi chrabąszcz w poszukiwaniu swojej towarzyszki. Mimowolne drgnienie pod opatrunkiem. Mumia ożywa, chce dołączyć, dopełnić, uczestniczyć, ale nie może. Jedyne, co potrafi, to sprawiać ból.

A teraz jeszcze te łzy. Jakby wydzielanie słonej cieczy było ostatnią zdolnością, która mi pozostała.

– Cholera! – walę łokciem w klawisze. – Cholera!!

Prawa ręka ucieka w popłochu, chroni się kilka oktaw wyżej, podczas gdy lewy łokieć dalej młóci czarne i białe klawisze.

– Cholera, cholera, cholera!!

Nagle czuję na ramionach dłonie, zdrowe, mocne dłonie ojca. Taboret kręci się wokół własnej osi. To te ręce mnie obracają. Za moimi plecami zamyka się pokrywa instrumentu. Nic nie słyszałam, kiedy do mnie podchodził. Przytula mnie mocno, ale to niczego nie zmienia.

55.

Jeśli przestanę chodzić, nigdzie też nie dotrę. Nawet do taboretu przy pianinie. Coraz rzadziej wybieram się na wędrówki po domu.

56.

Leżę na dywanie w salonie, mój wzrok niby szubieniczny stryczek oplata belki sufitu. Ten ciemny strop trzy i pół metra nade mną dźwiga moje pianino. Gdyby belki nośne się złamały, to instrument pogrzebałby mnie pod sobą z gromkim łomotem i dysonansowym okrzykiem. Pociesza mnie wizja takiego – stosownego według mnie – pożegnania ze światem: ostatni raz pokazać absurd życia, umrzeć śmiercią jakiejś postaci z kreskówki, pianino w roli kata...

Nie ostałaby się ani jedna myśl o dniu jutrzejszym. Tylko drewniane drzazgi, okruchy zębów, odpryski kości.

Na przekór letargowi, który mną owładnął, kilka razy dziennie zdobywam się na to, by wznosić skomplikowane konstrukcje w celu podparcia i ułożenia wysoko mojej rannej ręki. Nawet jeśli „brakiem ufności” – jak twierdzą rodzice – utrudniam mojemu ciału proces powrotu do zdrowia, to jednak czuję się zobowiązana stworzyć mu wszelkie „czysto konkretne” warunki, które mogłyby sprzyjać rekonwalescencji. Nie mogę narzekać na brak bolesnych wskazówek co do tego, jak należy pielęgnować rękę, doglądać jej i układać. Nieustannie odbieram meldunki nadawane z rany.

Tu, pod pianinem, leżę nieruchomo i cicho, martwieję w wyłożonej dywanem krypcie pokoju. Rozbłyskująca co minuta mieszanina bólu i żalu po stracie to jedyny dowód na to, że żyję. W rytmie uderzeń serca, spowolnionym przez zgryzotę, lęk i odrętwienie, bodźce bólowe wznoszą się poprzez nerwowe arterie do mózgu. Przysłuchuję się temu kołataniu. Żyję, dopóki wracają takt i ton.

Czasami mam wrażenie, jakby wszystko, co dotąd ożywiało moje pozostałe członki, opuściło swój dom, by zamieszkać w ręce. Tułów i nogi marnieją, zamieniają się w wymarłe miasta.

W ukryciu pozostaje to, co i jak dzieje się we mnie, ze mną. Moje ciało chodzi sobie własnymi ścieżkami. Dotkliwiej niż kiedykolwiek odczuwam swoje cielesne domostwo jako samowystarczalny, absolutnie samodzielny organizm; jako ustrój, który oddzielony i odosobniony od moich duchowych strapiień odmawia mi wglądu

w siebie. Gdy tylko próbuję się zbliżyć, natychmiast miliony komórek biją mnie po łapach. Wiedzą, co robią, czynią to od lat. Ostrzegają, żebym wraz ze swoimi ponurymi, próżnymi deliberacjami trzymała się z daleka, skazują je na wygnanie do czaszki. Nieupoważnionym wstęp wzbroniony. Ci, co nie uczestniczą w procesie zdrowienia, zostają wykluczeni.

Stoję więc na zewnątrz, przed drzwiami. Czekam.

Niedługo już jednak przyjdzie czas, kiedy moje ciało zaprezentuje rezultaty swoich regeneracyjnych wysiłków. ONO wie, co potrafi.

Ja natomiast wiem, czego już nie potrafię.

Zdejmują mi szwy wcześniej, niż przewidywali. Zależniona obserwuję dziób pęsety, której błyszczące końce zmierzają nieuchronnie do celu i łapią czarne, guzkowate łebki robaczków na mojej dłoni. Lekkie pociągnięcie, szybkie ciach i już nożyczki przecięły jeden z węzełków. Robaczki ze ściętymi łebkami, nie stawiając oporu, zsuwają się lekko po mojej dłoni wprost do srebrzystej miseczki.

Właśnie chcę zapytać, co się teraz stanie ze mną i z moją pozszywaną ręką, gdy chirurg wyciąga igłę. Nie wdając się w długie wyjaśnienia, przekłuwa paznokieć mojego lewego małego palca. Zamiast jednak założyć mi leczniczy kolczyk z błyszczącym oczkiem, przewleka przez dziurkę w paznokciu zwykłą, czerwono-pomarańczową gumkę. Następnie ją przycina, a luźne końcówki przywiązuje do agrafki, którą wpina z kolei w świeżo opatrzoną poduszkę dłoni. Po jego dumnej i zarazem szelmowskiej minie poznaję, że ta dziwna metoda jest najwyraźniej jego wynalazkiem. Kiedy jeszcze osłupiała lustruję bacznie miniaturowy ekspander, lekarz już recytuje instrukcję obsługi mojego nowego „przyrządu treningowego”.

Jak dotąd wszystko przebiega bez zarzutu – twierdzi. Teraz zależy tylko i wyłącznie ode mnie, ściśle mówiąc, od mojego „zapału do treningu”, w jakim stopniu ścięgna odzyskają pełną ruchomość.

– A co z grą na fortepianie?

Zadając to pytanie, czuję, że moje plecy się przygarbiają, że się odchylam, jakbym zamiast odpowiedzi spodziewała się uderzenia w twarz.

– Jak już wspomniałem, wszystko zależy od ciebie... od tego, na ile jesteś gotowa nad tym popracować.

– JESTEM GOTOWA! – wrywa mi się z gardła, a z reakcji dłubiącej w głębi sali przy instrumentach siostry, która aż drgnęła z przestraszenia, wnioskuje, że mój entuzjazm musiał najwyraźniej wpłynąć wzmacniająco na siłę mojego głosu. Chirurg kwituje moją

gotowość do pracy zadowoleniem i skinieniem głowy. Mimo to nie omieszkuje pouczyć mnie o konsekwencjach, z którymi muszę się liczyć na wypadek lenistwa. Z zamiłowaniem do detali kreśli słowami portret przykurczonych ścięgien, skutkiem czego moja ręka będzie z roku na rok coraz bardziej sztywnieć, karłowacieć, aż wreszcie przeobrazi się w szpon. Poza tym czuje się w obowiązku zwrócić mi uwagę na to, że mimo sumiennego treningu mogą pozostać pewne „dolegliwości”, a żeby je ewentualnie usunąć, trzeba będzie przeprowadzić kolejną operację. Koszmarne wizje gaszą promienny blask na mojej twarzy. Opadają mi skrzydła.

Chirurg dostrzega najwidoczniej, że znów popadam w zwątpienie, śpieszy się, by z powrotem przywołać uśmiech na usta.

– Wyprostuj palec! – nakazuje.

Z całych sił naciągam gumkę.

– No i proszę! Wychodzi ci to już całkiem nieźle! Dokładnie takie ruchy masz teraz wykonywać, i to tak często, jak się tylko da! A wtedy spokojna głowa, na pewno wszystko się powiedzie...

Na tym wizyta się kończy. Lekarz odprowadza mnie do drzwi.

– Najpóźniej za miesiąc będzie znów grała – z tymi słowami pełnymi optymizmu oddaje mnie rodzicom, którzy pieją z radości, usuwając w cień wszystkie chóry kościelne wyśpiewujące „Hosanna!”.

Ja natomiast mam głowę zbyt zajęta, żeby się cieszyć. W głębokim skupieniu usiłuję przekierować całą dostępną mi energię do ręki i skoncentrować się jedynie na ruchach, które mają mi umożliwić powrót do gry na fortepianie. Zginanie. Prostowanie. Zginanie. Prostowanie.

Nazajutrz wszystko jest odmienione. Nie tylko witam radośnie poranny brzask, światło i ptasi koncert, zrzucam z siebie koce, przesadam lekko krawędź łóżka i zeskakuję na podłogę – ale jest jeszcze coś...

To otwarta perspektywa na moje morze.

Wróciła mi wiara w długie rejsy po rozkołysanych oceanach dźwięków, które – wzbierając i opadając falami melodii – uderzają w bębunki moich uszu. Przeniesienie odpowiedzialności z rąk chirurga oraz losu na mnie i moją wolę wykrzesало ze mnie iskry, roznieciło wewnętrzny ogień.

Wiatr dokończył dzieła. Minionej nocy rozniósł płomienie po najgłębszych zakamarkach mojej duszy. Kiedy się budzę, wszystko płonie. Żar mojego postanowienia, aby uczynić możliwym to, co niemożliwe, spala na popiół wszelkie wątpliwości.

Moi rodzice odetchnęli, widząc, że znowu wstępuje we mnie otucha. Ulga wygładza im pobrużdżone zmartwieniem twarze.

Jakby ukryte okno stanęło otworem. We wszystkich pokojach powiało ożywczym wiatrem. Chociaż na zewnątrz wydłużają się noce, drzewa tracą liście, a coraz zimniejsze poddmuchy powietrza pędzą wędrownie ptaki na południe, to w naszym domowym zaciszu, odgrodzonym czterema białymi ścianami, wybucha wiosna. Ciężar dni stopniał. Lekko unosimy się i biegamy po piętrach.

Tego pierwszego poranka ojciec, ciesząc się z mojej nowej otwartości na niesioną mi pociechę i pomoc, zostawia obok miseczki musli wiadomość dla mnie. Wyjmuję spomiędzy kartek użytą w charakterze zakładki łyżkę i rozkładam książkę. W oczy rzucają mi się dwie linijki oznaczone jaskrawożółtym markerem:

„Na fortepianie gra się głową, a nie rękami”.

Glenn Gould.

Moje kącki ust mimowolnie podnoszą się niemal do uszu. Natychmiast odchylam głowę do tyłu, zwijam dłonie w trąbkę (lewa potrafi już całkiem nieźle wykonać ten ruch) i drę się na całe gardło w kierunku gabinetu na górze: „Ale też nie szkodzi, jeśli się ma je obie!!”.

I po raz pierwszy od długiego, nieznośnie długiego czasu jestem rzeczywiście przekonana, że będę w dalszym ciągu używać moich rąk i palców do tego, co jest dla mnie najdroższe. Z lubością pozwalam sobie nasycić się tą odzyskaną pewnością, przesiąkam nią jak kukurydziany płatek mlekiem. Otucha wzbudza głód. Po chwili miseczka jest pusta.

58.

Bóg Ojciec króluje na swoim krześle reżysera i zachowuje się jak w Starym Testamencie: najwyraźniej droga powrotna do całkowicie sprawnej ręki jest w Jego przeświadczeniu jeszcze nie dość ciernista. Swojemu jednorodzonemu Synowi surowo zabrania wszelkiej cudotwórczej interwencji. Czuję taką bliskość z ludem Izraela jak nigdy.

Skoro mój palec całe tygodnie naciągał gumkę, zginał się i prostował, męczył się strasznie, to teraz pora na pierwsze palcówki.

Gdyby zaledwie kilka miesięcy temu ktoś mi powiedział, że będę z tak wielkim zapalem oddawać się tym nużącym wprawkom, uznałabym, że to wykluczone. Bezgłośnie uderzanie w wyobrażone klawisze wydawało mi się kiedyś szczytem nudy. Dziś natomiast jako niewiarygodne dobrodziejstwo odbieram wszelkie równe podłoża – począwszy od ud, blatu stolika i oparcia kanapy, a na siedzeniu w autobusie i poręczy schodów skończywszy – dzięki którym mogę ćwiczyć na sucho.

Z życia szkolnego i rodzinnego ledwie co do mnie dociera. Rano i po południu, kiedy po intonacji głosu Egipcjanina i następującej przerwie poznaję, że zadaje mi pytanie, zmuszam się do kilku rozkojarzonych odpowiedzi. Poza tym całą pozostałą część mojej uwagi zajmują trzy palce. Wnikliwie obserwuję i analizuję przyrost ich sił i zręczności. Te trzy małe członki pochłaniają każdą myśl. Całe moje istnienie to trening.

W tym czasie JaśminaCelinaJustyna wielokrotnie próbowała nawiązać ze mną kontakt. Ja jednak nie odczuwałam żadnej potrzeby ani ochoty na ponowne spotkanie.

Brak zainteresowania nią ledwo się różnił od zubożenia na wszystko, od tej całkowitej apatii względem mojego otoczenia.

Mój świat skurczył się do wymiarów rozciągnięta z pięcioma podłużnymi wyrostkami. Żyłam tu, na tej płaskiej, mięsistej planecie otoczonej atmosferą, do której przenikały jedynie przeróżne maści na blizny.

Czeka na przystanku. Może uda się tym razem?

Jej złożone ręce, pocąc się, odmawiają ostatni akt strzelisty. W samą porę. Zza węgła sklepu z napojami nadjeżdża czerwony autobus, hamuje i zatrzymuje się łagodnie w szarej asfaltowej zatoce. Z jego wnętrza na Rathausplatz wylewa się kolorowy potok dzieci objuczonych tornistrami. Szuka twarzy siostry krwi, znajduje ją po drugiej stronie ulicy i pędzi do niej. Skinęła głową? Na przywitanie?

Maszerują wąskim chodnikiem tuż obok siebie. To dobrze, że idą pieszo. Równy krok, wytrenowany podczas tysiąca i jednej wędrówki, pozwala lepiej znieść kłopotliwe milczenie.

Żeby tylko nie ten blondyn... Co za niesprawiedliwość, że wolno mu nieść teczkę przyjaciółki!

Jak się ma? Jak było w szkole? Czy ma czas po południu?

Ale ona nawet nie raczy odpowiedzieć, wydaje tylko z siebie nieokreślony odgłos, wzrusza ramionami. To wszystko.

Gdzie są jej migdałowe oczy, gdzie się podziało jej jasne, uważne spojrzenie? Mruga tylko nerwowo miodową tęczówką z czarną źrenicą, co chwila ucieka wzrokiem w bok. Mało kiedy JaśminieCelinieJustynie udaje się znaleźć w polu widzenia przyjaciółki, wtedy jej siostra krwi musi nieuchronnie na nią popatrzeć. Kiedy tak spuszcza powieki i odwraca twarz, najchętniej by zaczęła krzyczeć.

Widzi pięć niestrudzonych palców, które wystają z opatrunku na jej lewej ręce: tańczą, podskakują jakby z radości, że raz jeszcze umknęły nieszczęściu.

Niewiele brakowało, bardzo niewiele, a Master by je zniszczył.

Nie powinna była jej narażać na szwank. Tak jej przykro, tak strasznie przykro.

– Gniewasz się na mnie?

Przyjaciółka milczy. Słyszczyć tylko ciche wystukiwanie rytmu palcami. Pukając, skacze od trzeciego do pierwszego i do drugiego palca, od małego do wskazującego, od serdecznego do

środkowego, palce biegają wte i wewte, tam i z powrotem, wypróbują nieprzebrane bogactwo możliwych wariantów.

– Nie chciałam, żeby to się stało...

Cisza.

Po chwili trzeci palec, czwarty palec, drugi palec, pierwszy palec.

Wystukiwane kombinacje. 3421 3421 4331 4231 4321 43 21 43
21 1234 3421.

– To... to wszystko jego wina!

52121212 52121212 521212 52132213 51232321 51323231
313 313.

– Powiedz coś!

Zaczyna płakać.

1234 1234 2134 5423 5432 1234 1234 5423 5423 1234
5432 5432 21.

Przytrzymuje siostrę krwi za rękaw, ale ta szybkim ruchem strząsa jej rękę.

Blondyn mierzy zapłakaną JaśminęCelinęJustynę chłodnymi, krokodylozielonymi oczami.

– Zostaw ją wreszcie w spokoju! Przecież widzisz, że nie chce z tobą gadać! – syczy do niej.

Siostra krwi potakuje zaciśnięciem warg. Milczy zawzięcie, ze wzrokiem wbitym prosto przed siebie, i skręca w ulicę o nazwie jakiegoś zwierzęcia.

Pukanie w udo to wszystko, co ma do powiedzenia.

JaśminaCelinaJustyna szuka po omacku nożyczek do paznokci w kieszeniach spodni, zwalnia kroku, zostaje z tyłu. Przyjaciółka z chłopakiem oddalają się, maleją coraz bardziej, aż w końcu znikają.

60.

Po południu.

Prawa ręka: 32 32 32 32 32 32 53 53 53 53 53 53

Lewa ręka: 321 321 3121 3121 312 312 3121 3121 3121 531
531

Prawa ręka: 12 12 12 12 12 12 12 12 12 12 12 12 12 12 12

Lewa ręka: 12 1325 12 1325 1212 1325 12 12 1523 12 12 1523
12

Prawa ręka: 21 21 21 21 21 21 21 21 21 21 21 21

Lewa ręka: 21 2513 21 2513 21 21 2512 2512 21 2515 21 21
2315

Dzwonek do drzwi. Raz. Drugi. Wiem, kto to jest.

Prawa ręka: 35 35 35 35 35 35 35 35 35

Lewa ręka: 35 3152 35 3152 35 35 3152 35 3251 35 3251 35 35

Po trzech dzwonekach zwykle daje za wygraną...

Prawa ręka: 53 53 53 53 53 53 53 53 53 53 53

Lewa ręka: 53 5231 53 53 5231 53 53 5132 53 5132 53 53 5132

Wreszcie dzwonek milknie.

Z okna salonu obserwuję jej odwrót, odprowadzam ją wzrokiem, kiedy idzie przez podwórze, chodnik i na drugą stronę ulicy aż do domu. Dopiero gdy klatka schodowa połyka jej głowę i wsysa również ostatni loczek niczym nitkę spaghetti, opuszczam moje stanowisko przy oknie i skupiam się na ćwiczeniu gam chromatycznych.

61.

Prawa ręka: 531531 531 531 531531531 521521 521521
521521521

Lewa ręka: 531531531 531531531 531531531 521521521
521521521

Zmartwiona twarz mojej mamy: bledsza niż zwykle, uniesione brwi. Tuż pod ciemną grzywką dwie poziome bruzdy przecinają jej czoło w rozpaczliwej bezradności.

– Słuchaj, skarbie...

Dyszy ciężko, wydaje z siebie odgłos podobny do trwożliwego westchnienia i zarazem stanowczego prychnięcia.

– Stało się coś strasznego...

Lewa ręka: 12342134 12342123 12342134 2314234
2341234 2341234

Waha się. Urywa w pół zdania, jakby pozostałe słowa uwięzły jej w gardle niczym rybie ości. Nietypowo surowym, gniewnym spojrzaniem karci moje palce.

– Nie możesz choć na pięć minut przestać i posłuchać, co mówię?

Z najwyższym niezadowoleniem, wywracając oczami, przerywam ćwiczenia, krzyżuję ramiona na piersiach i chowam palce pod pachami.

– Dziękuję. No więc... JaśminaCelinaJustyna... znaczy się, jest w KSP.

Kładę lewą rękę z powrotem na blacie stołu.

– ...to Krajowy Szpital Psychiatryczny...

– Wiem, co to jest.

– Oczywiście... myślałam tylko...

Lewa ręka: 1523123 1523123 1523 1523123 1525 1525
1523123 15

– Ona... ona usiłowała odebrać sobie życie.

Lewa ręka: 2315231523 15231523 1523152315 23152315
2315231523

– Czy do ciebie w ogóle dociera, co ja mówię?

Lewa ręka: 321 321 3121 3121 312 312 3121 3121 531 531
5131 5

Smukła, obręczkowana ręka wstrzymuje ruch moich palców, przyduszając je miękko poduszką dłoni. Podnoszę głowę w kierunku twarzy mojej osłupiałej mamy.

– Nie interesuje cię to wcale?

Nuta przygany w jej głosie rozpala mnie do czerwoności. Rumieńce gniewu i wstydu barwią mi twarz.

Wzruszając ramionami, uwalniam się z maminego uchwytu.

– ...w każdym razie jej życiu nie zagraża już niebezpieczeństwo...
Najwyraźniej połknęła mnóstwo tabletek, a potem wezwała pogotowie.

Lewa ręka: 54 54 54 54 54 54 54 54 54 54 45 45 45 45 45 45 45

Nawet bez kontaktu wzrokowego wyczuwam narastające w niej zdenerwowanie, które maskuje swoją rzeczową relacją, siłąc się na spokój.

– ...musieli jej płukać żołądek... w samą porę...

Lewa ręka: 2315231523 23152315 231523 231523 23152

Nagle dłoń mamy uderza z głośnym klaśnięciem w stół. Aż się wzdrygam z przestachu. Kręcąc głową, wstaje z miejsca.

– To nie do pojęcia! Naprawdę tego nie rozumiem... Co się, na litość boską, między wami stało?!

Prawa ręka: 123 1312 13132 3121 31321

Lewa ręka: 312 3132 31312 1323 13123 13

Mama znów mnie przytrzymuje. Jej głos drży.

– Na Boga! LottaLuizaŁucja! W życiu są jeszcze inne rzeczy oprócz fortepianu – rzeczy o wiele ważniejsze...

Zrywam się jak oparzona. Krzesło z łoskotem przewraca się na posadzkę. Szalona wściekłość spina mi zaciśnięte szczęki z pulsującymi skroniami.

– Dla mnie nie!

Z każdym krokiem, oddalając się od stołu, czuję, że moja czaszka pomału napętnia się czymś niewypowiedzianym. Straszne, mściwe, złe myśli kotłują mi się w głowie jak kocięta w worku. Z gardła wyrywa mi się przenikliwy, donośny wrzask:

– A JEŚLI ONA UWAŻA, ŻE JESTEŚMY ZE SOBĄ KWITA, TO SIĘ NACIEŁA!!

Huk zatrzaskiwanych drzwi mojego pokoju niczym uderzenie gromu kończy rozmowę.

62.

Halo! – przed moimi oczami szybki ruch czegoś w cielistym kolorze. – Halo, tu Ziemia do astronautki Braun, baza do Braun! Proszę wracać!

Moje spojrzenie, zastygłe na szkolnym podwórku, nieruchome jak słup soli, zaczyna się kruszyć, gdy mrugam powiekami.

– Pakujesz się wreszcie czy jak? Ucieknie nam autobus!

Egipcjanin ma rację. Biorę się w garść, pakuję moje rzeczy i idę w ślad za jego jasnowłosą głową przez szkolne korytarze oraz bramę wyjściową.

Słońce rzuca mi w twarz ostatek światła.

Z północnego zachodu nadciągają szybko chmury. Chłodny, wilgotny wiatr muska moje ramiona, podnosi włoski, trzęsie mną, aż się budzę. Próbuję przypomnieć sobie datę, którą zapisywałam dziś na górze po prawej stronie kartki w zeszytach – najpierw jakąś jednocyfrową liczbę, potem czerwiec, a potem 1996...

Wlepiam wzrok w nogi, które – rzecz dziwna – same mnie niosą w kierunku Charlottenplatz. Buty, które teraz noszę, wtedy by nie pasowały... Powoli dostrzegam szereg poszlak wskazujących jednoznacznie na to, że przetrwałam niewolę w południowym bunkrze obrazów mojego mózgu. A mimo to – coś wisi w powietrzu, co się ma nijak do wczesnego lata w teraźniejszości, do której przywrócił mnie Egipcjanin: w powietrzu czuć śnieg.

Czy to możliwe, żeby pora roku, wbrew wszelkim prawom rządzącym zjawiskami natury, towarzyszyła mi od danego momentu w przeszłości aż do dzisiejszego dnia? Zwały chmur, porywisty wiatr przynoszący mroźne aromaty – wszystko to jest niewątpliwie realne. Potwierdzają to przechodnie, którzy spoglądają w niebo nieufnie, chowają szyje w kołnierze, a ręce w rękawy.

Spóźniliśmy się na autobus. Musimy poczekać na następny. Gdy wkurzony Egipcjanin z ciężkim westchnieniem zajmuje jedno z niewygodnych plastikowych siedzeń na przystanku, ja krążę wokół wiaty i odkrywam nagle moją drugą pamiątkę z przeszłości.

Najwidoczniej nie tylko zima nie odstępuje mnie ani na chwilę – w ustach zalega mi coś jeszcze...

Przyciskam ostrożnie do podniebienia wieloletnie resztki słów i strzępki zdań. Mają gorzkawy, metaliczny posmak. Czuję, że od jadowitego nalotu powiedzianych kiedyś głupot kołowacieje mi język. Świadomość, że żadna siła już nie cofnie tego, co wyszło z moich ust, kładzie się kamieniem na mój narząd mowy. W milczeniu siadam na pomarańczowym plastiku i zmartwiona przypominam sobie setki wyrażań, które wypowiadam dzień w dzień: bezmyślne uwagi, pochopne opinie. Nieskończone szeregi liter, nierozważne słowa. A wszystkie nieodwołalne.

Jak dobrze, że czuję ramię Egipcjanina u boku. Dotychczas nie zraził się moją szorstkością. Jasne. On rozumie nie tylko to, co mówię, ale również to, co chcę powiedzieć. Zerkam ukradkiem na jego profil. Tak więc wygląda człowiek, który zna mnie i wszystkie moje humory, a który zawsze zachowuje spokój i niczego nie bierze mi za złe.

Prawdę mówiąc, powinno się chyba zastąpić tu słowo „spokojny” określeniem „cholernie wytrzymały”. A może dzięki kombinacji zupełnie innych cech charakteru Egipcjanina możliwa jest nasza przyjaźń? Cokolwiek to jest – pozwala mu tutaj siedzieć. Wszystko inne nie gra roli.

Czy przeczuwa, jak bardzo jego ramię pomaga mi w takich chwilach podnieść głowę?

Nadjeżdża autobus.

63.

Zbliżamy się wolno do sklepu z napojami na rogu i skręcamy w ostatnią prostą, gdzie kierowca dodaje jeszcze raz gazu. I już zajeżdżamy na Rathausplatz. Kiedy autobus staje i otwierają się drzwi, ogarnia mnie dziwne uczucie, ni to *déjà vu*, ni to intuicja. Z centrum dowodzenia moja speszona mózgowica wysyła drogami nerwowymi płątaninę różnorodnych impulsów. Narządy i mięśnie odpowiadają bezładnie jedno przez drugie. Drżą ze strachu, kołatają w oczekiwaniu, wiercą się niespokojnie – wszystkie części ciała, jak się zdaje, od czubka głowy do pięt, liczą się z jakimś wydarzeniem. Co się tyczy kwestii, czy to będzie szczęśliwy zbieg okoliczności, czy nie, członki nie są zgodne, ani obawa, ani radość jako wspólny mianownik nie wchodzi w rachubę.

Wysiadam z autobusu, wytyżam wzrok, rozglądam się na wszystkie strony, obracam się naraz wokół własnej osi – nie widzę nic. Jak daleko sięgnąć okiem – nigdzie ani jednego loczka. Czemu miałby tu być?

Ruszam wściekła, że dałam się zwieść nadziejom, które teraz nagle wydają mi się śmieszne i dziecinne. Gnana złością i zimnem pędzę co sił. Egipcjanin z trudem dotrzymuje mi kroku.

Droga do domu przypomina meridian na rysunku postaci w gabinecie naszej lekarki domowej, wiedzie nas, JaśminęCelinęJustynę i mnie, po niezliczonych punktach akupunkturowych. Wspomnienia wciąż kłują i dżgają. Cała wieś opowiada o nas.

Tu rosnące wzdłuż boiska sportowego kasztanowce, z których latem zrywałyśmy zielone wachlarze liści – wachlarze zamieniały się czasem w ryby, które oskubywałyśmy tak, że zostawały po nich tylko jasnozielone ości. Tam metalowe poręczce, banda na skraju boiska, gdzie wieszałyśmy się głowami w dół, z T-shirtami opadającymi nam na usta i nosy, aż dostawałyśmy mdłości. Idę dalej asfaltem, gdzie zostawiałyśmy kredowy ślad naszych sekretnych wiadomości, i dochodzę do łąki, która pochłonęła mój

tęczowy kalosz oraz Śnieżynkę. Jeszcze kawałek i zaraz zobaczę kamień krawężnika, który rozłupał ci czaszkę, oraz setkę kamiennych braci, na których się bawiłyśmy, siedziałyśmy lub czekałyśmy na coś. Mijam przydrożny krzyż, którego bałyśmy się o zmierzchu, kubły na śmieci, w które wrzucałam listy od Mastera, podnóże pagórka, gdzie roztrzaskał się nasz żółty wózek...

Przeminęłyśmy.

Ulica, przez którą kiedyś można było przejść z łatwością, przeobraziła się w rwącą, szarą rzekę. Nasze nastawienie wobec siebie stało się inne, co więcej, zamieniło się w swoje przeciwieństwo. O ile dawniej z radością się spotykałyśmy, o tyle teraz ze wstydem odwracamy się do siebie plecami.

Postanowiłam unikać smutnych oczu JaśminyCelinyJustyny kilka tygodni przed jej próbą odebrania sobie życia.

Jesteśmy na miejscu. Egipcjanin się żegna. A ja stoję jeszcze na podwórzu, po raz pierwszy od dłuższego czasu zdobywam się na uważne spojrzenie w okno za latarnią – w jej okno.

Firanki są nieme i nieruchome. Nie potrafiłabym powiedzieć, gdzie ona teraz może być, od dawna nie znam jej przyzwyczajień ani rozkładu dnia. Rzeczywiście tak się stało. Straciłyśmy się z oczu.

Zrywa się znowu wiatr. Pierwsze lodowate krople rozpryskują się na moim nosie. Wchodzę do domu.

Pokonanie przedziału czasu aż do chwili, kiedy dojrzeję do spania, przychodzi mi z większym trudem, niż się spodziewałam, tym bardziej że jakoś nie udaje się mi rozproszyć myśli graniem ponadczasowych melodii.

Każdy dźwięk, który wydobywam z instrumentu, brzmi jak dzień wczorajszy, porusza we mnie strunę dawno minionych lat, przypomina o tym, że już wtedy istniał. Jakby klawisze od wielu lat czekały z utęsknieniem na ton niby na szerpę, który zdejmie z nich bagaż wspomnień i poniesie w przestrzeń aż do utraty tchu.

Dojmująca świadomość, że cała moja zdolność odczuwania, widzenia, słyszenia obarczona jest przeszłością, przygnębia mnie głęboko.

Mija właśnie trzynaście lat, odkąd ruszyła w mojej głowie machina łączenia, wiązania i porównywania, a już, jak się zdaje, niemożliwe jest absolutnie nowe przeżycie – doznanie bez związku z czymś znajomym, wczorajszym, istniejącym dawniej.

Po raz pierwszy czuję się stara. To nagłe odczucie każe mi wstrzymać ruch palców na dwukrotnie przedłużony czas trwania pauzy. Potem dalszą grą kieruje raczej odruch niż wola.

Granie, oddychanie, starzenie się – temu wszystkiemu muszę się z natury rzeczy poddać. Poczucie nieubłaganej konieczności, którą nazywam moim życiem. Absurd.

Muzyka.

Siła.

Nierozwiązywalne zagadki, które istnieją we mnie i dzięki mnie, tajemnice, którymi zostałam obdarzona na czas nieokreślony. Myśl o tym, że moje dary będę musiała kiedyś zwrócić, oddać, porzucić, jest wręcz nie do zniesienia.

Czy JaśminaCelinaJustyna miała podobne myśli? Czy chciała uprzedzić okrutny bieg losu i zdecydować sama o tym, kiedy mają ustać jej oddech i bicie serca?

Potrząsam gniewnie głową, stanowczo odsuwam tę myśl, która zupełnie nie przystaje do rzeczywistości.

Zadzwoiła po pogotowie. Jeśli ktoś naprawdę sam postanawia wyznaczyć dzień swojej śmierci, to nie wzywa pogotowia.

A może jednak? Nie, to wszystko nie ma sensu.

Nasuwa mi się nieuchronnie powiedzenie „mądry poniewczasie” i znów się złoścę – w końcu od dawna jestem w „poniewczasie”, a mądrości ani śladu. Prawdopodobnie pozwoliłam, by minęło zbyt dużo czasu.

Mama i kolacja przerywają nagle grę oraz rozpamiętywania.

Gromadzimy się wszyscy przy stole. Śledzę widelce, wbijające się, nabierające i podnoszone do ust, a potem przeżuwanie i przełykanie.

Oto moi rodzice. Jedzą, piją, oddychają, posuwają się w latach.

Nie chcę. Naprawdę nie chcę. Czuję się niezdolna do tego, by wziąć na siebie dodatkowy ciężar. Ten dzień, który nie zamierza przeminąć, jest wystarczającym brzemieniem.

Brzuchy godzin napęczniały w dwójnasób od masy zapamiętanych dźwięków, obrazów, zapachów i myśli. Rozleniwione i ospałe rozpierają się na cyferblacie, ruszają się tylko wtedy, gdy to konieczne. O upływie czasu nie może być mowy. Nikt nie wie, kiedy i czy w ogóle wskazówka zegara szturchnie kolejną minutę. Narzuca się przypuszczenie, że takie jest właśnie prawdziwe oblicze czasu.

Tymczasem moi rodzice wymieniają się między sobą pełnymi zdziwienia uwagami na temat nagłego ochłodzenia. Drzewa chylą się za oknem. Pada. Na taflach ciemnych kałuż bryzgi deszczu tworzą białe miniaturki koron.

Przypominam sobie zapach śniegu, który towarzyszy moim myślom cały czas aż do dziś.

Załóżmy, że przeszłość nie przemija tak naprawdę nigdy, a każda przeżyta sekunda istnienia trwa równolegle z tym, co przeżywamy teraz. Wtedy przeskok z czasu do czasu, z dzisiaj do wczoraj byłby dziecinną igraszką. Przeżyte od przeżywanego dzieliłaby odległość zaledwie włosa. Przy takim założeniu jak najbardziej możliwe do wyobrażenia stałoby się przeniesienie rzeczy z czasu A do czasu B. Rzeczy takich jak śnieg.

To, co przeszłe, nie przemija tak naprawdę nigdy. Czy dałoby się w ten sposób wyjaśnić również nieskończoność czasu? Skoro nic nie przemija, nic nie zostaje spalone ani zużyte, to wszystko się w takim razie nawarstwia. Myślę o słojach rocznego przyrostu

drzewa jak o kołach ratunkowych. Obrosły w tłuszczuk na brzuszku czas, który od dawna już nie ma smukłej ani wysportowanej sylwetki. Aż dziw bierze, że jeszcze w ogóle posuwa się naprzód. Całkiem możliwe, że popycha go Bóg.

Okolo godziny dwudziestej trzeciej zmuszam się, żeby pójść do łóżka. Chłód w pokoju napawa mnie strachem. Zarówno kołdra, jak i produkowana przez mój mózg warstwa świadomości oddzielająca mnie od przeszłych wydarzeń są cienkie, o wiele za cienkie.

Jak bliskie są mi rzeczywiście loki JaśminyCelinyJustyny, jej listy, panika i płacz w lesie? Wilgotne liście, moja zakrwawiona ręka, jej twarz mokra od łez –

To wspomnienie jest teraz bardzo blisko. Zacisnąwszy powieki, usiłuję się skurczyć, nie wystawić ani palca, ani nogi, żeby niczego nawet nie musnąć! Tylko myśli kotłują mi się w głowie.

To, co minione, podstępnie rozwija łańcuchy obrazów, zastawia sidła i sieci, zakłada pułapki, w których płaczą mi się myśli, tymczasem ciemność zaciska węzły.

Rozpaczliwie walczę o miarowy oddech, łudząc się nadzieją na wyparcie, zapomnienie i spokój.

Upłyną godziny, zanim sobie uzmysłowię, że przed własną przeszłością nie mogę udawać, że śpię.

Raz, dwa – na trzy zbieram się na odwagę, żeby wstać.

65.

Ciche pstryknięcie u wezgłowia. Światło lampki nocnej załamuje się na krawędzi łóżka. Z głębi wyłaniają się kontury mebli.

Staję przed szafą i myślę: „drzewo orzechowe”. Odkąd wiem, że ta stuletnia starość w kształcie skrzyni, z kulistymi nogami, cokołami, gzymsami i kolumienkami wykonana jest z drewna tego rodzaju, za każdym razem, gdy wyjmuję z niej jakąkolwiek część garderoby, nie mogę uwolnić się od myśli o orzeszkach.

Konstatacja, że również orzech włoski, który rośnie sobie tak po prostu w naszym ogrodzie, może kiedyś skończyć jako skrzydło drzwi szafy, że ktoś ręcznie wypoleruje to drewno i zostawi potomkom w spadku, wydaje mi się zupełnie absurdalna.

Jaka jestem śmieszna, gdy tak stoję niezdecydowana przed prababcinym meblem i udaję, że dumam nad jego naturą i pochodzeniem!

W rzeczywistości od przekręcenia klucza w zamku powstrzymuje mnie tylko własne tchórzostwo. Strach przed tym, co schowane pod ubraniami, strach przed usuniętymi w pośpiechu i spoczywającymi od wielu lat w ukryciu świadectwami czegoś, co da mi odpowiedź na moje pytania.

Mijają kolejne minuty. Moje zlodowaciałe stopy domagają się decyzji.

Uprzedzając ewentualną zmianę nastroju, szarpnię w gorączkowym pośpiechu za drzwi szafy i rzucam się do najniższej półki, gdzie podczas letnich miesięcy przechowuję zimowe rzeczy. Pod ubraniami z wełny, na podszewce i wydzierganymi na drutach kryje się moja „piwnica”, mój sejf na wszelkie sekrety, obojętnie, czy dobre, czy haniebne.

Również listy od JaśminyCelinyJustyny w pudełku po butach pokrywa tam kurz.

Piwnica jest przepelniona, a światło nocnej lampki – zbyt słabe. Aby poszukiwania po omacku dały rezultat, wciskam prawe ramię

pod półkę i dźwigam ją do góry. Stosy ubrań na zimę zsuwają się po przechylonej desce i spadają.

Gdzieś tutaj musi być...

Wreszcie wyczuwam palcami karton i gdy mam pewność, że to, czego szukałam, leży bezpiecznie na dywanie, wrywam ramię spod półki. Cholera jasna! Huku zatrzasującego się wieka sejfów nie miałam w planie...

W nadziei, że hałas nie postawi na nogi pogrążonej we śnie mamy ani pogrążonego w pracy taty, wciągam pudełko w krąg światła lampki nocnej. W drodze do łóżka pokrywka ześlizguje się i spada, jakby listy same chciały się wydostać na wolność.

Biorę je do ręki, otwieram, rozkładam, czytam. Nadawca i data stempla pocztowego potwierdzają, że niemal codziennie pisała do mnie ze szpitala psychiatrycznego. Wszystkie listy zostały już kiedyś otwarte. Mimo to nie rozpoznaję ich treści.

Może słowa wydają mi się obce, bo czytałam je wtedy tak, jak się patrzy w słońce: krótko, pobieżnie, trwożliwie, łzawiącymi z bólu oczami.

Czytam dalej. Odczytuję zdania, których nie da się właściwie zapomnieć, ale moja pamięć upiera się przy tym, że nigdy ani jednego z nich nie widziała.

Może dlatego, że nigdy jej nie odpowiedziałam.

Siedzę przy fortepianie i gram melodię starej, starej pieśni...

Ostrzegano mnie, ale moim palcom to obojętne. Tworzą oddział w sile dziesięciu nieustraszonych żołnierzy, którzy z niezachwianą pewnością zmierzają po kości słoniowej i hebanie prosto ku zakazanej zwrotce. Ostatni ton, i stało się. Żarówki pękają, galeria pogrąża się w ciemności.

Dwie obdarte ze skóry, czerwone łapy rozmazują krew po klawiaturze, tłuką jej biel. Należą bez wątpienia do mnie, a jednak to, co do mnie należy, przestało mi być posłuszne. Poza nadgarstkami całe ciało rządzi udzielnie. W przedramieniu gromadzi się mnóstwo rozpaczliwych nakazów, tworząc klaster daremnych, niemających żadnych skutków poleceń – absurdalne starania o delikatność.

Zaczynam rozumieć, że przychylnie mi kiedyś narządy chwytne sprzysięgły się teraz przeciwko mnie i na tyle mnie ubezwłasnowolniły, że jestem ledwie dodatkiem, parą nóg, po których spodziewają się jakiegoś pożytku, niczego innego.

Brutalność uderzeń wzmaga się jeszcze. Klawisze pod naporem bezlitosnych palców rozkruszają się i zamieniają w proch. Wiecznie białe granulki sypią się na podłogę, gdzie niby czułki ukwiałów wyciągają się po nie czarne, kosmate włókna dywanu. Kaskada osiemdziesięciu ośmiu śnieżnobiałych kryształków spada wysokim, skrzącym się łukiem z fortepianu, dotyka ciemności i daje się pochłonać. Podmuch wiatru uwalnia drewno od ostatniej cząstki klawiszowego proszku. Gra staje się niemożliwa. Siedzę bezsilna przy trumnie dla strun i młoteczków.

Tylko łapy wiedzą, co robić. Ostrożnie składają i zmniejszają prostokąt dywanu, w którym na moich oczach zniknął rój klawiszy. Nie można uronić ani jednego z tych drogocennych ziarenek, inaczej wszystko skończone, koniec i kropka. Jedyna szansa, żeby kiedykolwiek wrócić do dźwięków, kryje się w kompletności tych drobinek proszku.

Łapy dalej składają dywan.

Kurczy się las włókien. Z wnętrza dobywają się trzaski i zgrzyty, jakby tysiące zębów trzonowych wykonywało tam swoją robotę. Kolejne okamgnienie i dzieło dokonane: na mojej wilgotnej, ognistoczerwonej łapie widnieje chropowaty, kruczoczarny romb, zmniejszona do rozmiarów znaczka pocztowego masa – to wszystko, co pozostało po przestrzeni i dywanie.

Chłód szarego asfaltu odczuwany pod stopami wskazuje na to, że jestem na wolnym powietrzu. Widzę beżowy dom ze szczytem kłującym roziskrzony błękit. Okno za latarnią pokazuje swoje szyby. Ani żaluzja, ani firanka nie zasłaniają mi widoku na oszklone, otwierające się powoli okienne skrzydła.

Czeka na mnie.

Poniżej moich bioder ruszają się nogi. Muszę za nimi podążać. Gdy idę, moja lewa dłoń napętnia się owalnym, żwirowym kruszywem. Co...?

Siła nacisku wewnątrz skompresowanej czerni dywanu spaja w tabletki granulat klawiszy.

Nie! To niemożliwe...

Z płątaniny myśli kłębiących się w mojej czaszce nie da się już utworzyć ani jednego zdania.

Przeraźliwe, wymuszone NIE! – więcej nie jestem w stanie z siebie wydobyć.

Ledwo wybrzmi ostatnia głoska, w oknie pojawia się JaśminaCelinaJustyna, zwabiona moim okrzykiem. Jeszcze tylko dwa kroki i jestem u niej.

Przede mną rozwiera się czerwona gardziel. Jej twarz jest ostrym, szeroko otwartym dzióbkiem.

Nie robię tego, co chcę, lecz to, co muszę.

Z dziwną obojętnością obserwuję moje łapy, które karmią kędzierzawe, piszczące z głodu ludzkie pisklę. Po osiemdziesięciu ośmiu tabletkach dzióbek zamyka się na zawsze.

Jej śmierć wpada do wody jak kamień. Rozchodzące się koliste fale spychają mnie z drogi. Woda sięga daleko, nieskończenie daleko.

Gdy mrużę oczy, czas jakby się spłisnia do jednej chwili.

Osiadam gdzieś na mieliźnie. Miękki piasek i rytmiczny chlupot łagodnych fal błękitu. Półksiężyc morza grzeje sobie plecy złotem. Chciałabym tu zostać. Leżeć tak zawsze, na tej piaszczystej macie grzewczej. Ogołociona z myśli. Otulona szumem fal.

Kto mnie podnosi? Dlaczego? Dokąd niosą mnie nogi? Ociemiam dłońmi oczy, rozglądam się dookoła. Widzę coś, co jest mi znajome.

Zatoka i domek na plaży są, jak się zdaje, wciąż takie same. Zapuszczam oko do ogrodu, gdzie nasłonecznione poręczce, słupki i palmy rzucają cień na jednakowe wycinki powierzchni. Bez wahania wchodzę na werandę, rozsuwam oszklone drzwi – nagle wiem, czego szukam.

Rzeczywiście. Nie ruszył się z miejsca, oczekuje mnie od wielu lat, tam, oświetlony plamą słońca. Głaszczę drewno. Nasze ponowne spotkanie aż prosi się o melodie! Pod wpływem chwili podnoszę wieko i zamieram z przerażenia.

Przede mną rozwiera się niema czerń. Pokrywa nie kryje już niczego, na czym można byłoby grać. Bezzębna paszcza wydziela odór zgnilizny i rozkładu. Zbliżam twarz ku ciemności. Pośrodku coś się wybrzusza. Wyciągam rękę, dotykam czegoś delikatnego, upierzonego... Pazur! Z przeraźliwym wrzaskiem zataczam się do tyłu, załamuję ręce drżące z obrzydzenia.

Ptaka w środku fortepianu jest martwy. Martwy, martwy, martwy.

Wiem, kto to jest. Wiem, wiem, wiem!

Mówią, że jestem winna.

Budzę się z krzykiem.

67.

Powrót do rzeczywistości, spocone czoło. Dysząc ciężko, postrzegam obrazy; elementy puzzli, które po dobraniu powinny ułożyć się w całość mojego łóżka, mojego pokoju, mojego domu. Na razie brak jakiegokolwiek związku, nie istnieje nic oprócz odłamków; skrawki, które moje rzęsy, wygięte niczym szabelki, podczas mrugania wycinają z filmu, gdzie zarejestrowane jest moje otoczenie. Pierwsze spojrzenie – pierwszy skrawek – pokazuje moją klatkę piersiową pod kołdrą, a na niej szeleszczą zapisane niebieskim pismem kartki i koperty, które współcierpiały podczas mojego niespokojnego snu, są tak zmięte, tak pogniecione, jakby wyjęto je z kosza na śmieci.

Zerkam ku nocnej lampce i jasnożółtemu kręgowi światła. Przez wiele godzin czuwała ona u mojego boku. Skrawek filmu z dostrzeżoną lampą uchwycił również budzik pokazujący dziwnie wczesną godzinę, która przeczy jasności panującej w pokoju.

Muszę zmienić kąt widzenia, żeby zobaczyć coś więcej niż tylko kołdrę i nocny stolik. Opieram się na łokciach.

Przez cienki, lekko przezroczysty materiał zasłon przeświecają dwa mlecznobiałe prostokąty. Blade światło sączy się do pokoju, niczym biel kryjąca, miesza się z kolorami ścian, mebli oraz podłogi, rozjaśnia je i schładza. Sinawe cienie przypominają drżące z zimna wargi.

Dopiero teraz wyłania się pierwsza myśl i nabiera kształtu: listy!

Listy muszą zniknąć!

W pośpiechu wpycham kartki z powrotem do pudełka po butach. Gdybym chciała zachować kolejność stron i odszukać pasujące koperty, musiałabym zdobyć się na coś więcej niż na ich zgarnianie i wpychanie do kartonu. Musiałabym popatrzeć uważnie.

Musiałabym je przeczytać.

Ale to nie wchodzi w rachubę. W żadnym wypadku. Nie chcę widzieć tych linijek nigdy więcej.

Ręce znajdują listy na ślepo, polegając tylko na szeleście papieru. Idę po parkiecie na czubkach palców. Lodowata gładź

szczypie mnie w podeszwy stóp. Unikam kontaktu z podłogą, na ile się da, i ratuję się, wchodząc na wyspę dywanu przed szafą.

Podważanie dna garderoby sprawia jak zwykle trudności. Wciskam prawe ramię pod półkę, podnoszę ciężar drewna i zimowej odzieży, wsuwam karton z powrotem w najdalszy kąt „piwnicy”. Huk zatrzasującego się wieka sejfów przypieczętowanie ostateczne zniknięcie listów. Spokój na powrót ogarnia moje ciało.

Ustaje poczucie winy, które w ciągu ostatniej doby obgryzało mi kości i chrząstki mostka z zawziętością wygłodniałego szczura. Nie chcę wiedzieć, w których się chowa zakamarkach.

Moją uwagę pochłaniają teraz całkowicie okna, które w zasłonowej tkaninie tkwią niby dwie dokładnie wygumkowane plamy. W pełnym napięciu, gestem, jakbym odsłaniała rzeźbę jakiegoś wielkiego mistrza, odkrywam szyby.

Na zewnątrz leży śnieg.

Brakuje mi odwagi, żeby wrócić do łóżka i marzeń sennych. Ten dzień będzie się dłużyć.

Idę w dół po schodach, po drodze robię mały wypad do łazienki, gdzie otulam się w płaszcz kąpielowy mojego ojca. Skarpetek nie potrzebuję, bo najwidoczniej ogrzewanie podłogowe uruchamia się niezawodnie również latem.

Siadam w kuchni i włączam radio. Prezenterzy i dzwoniący do studia słuchacze nie ukrywają zaskoczenia nagłym załamaniem pogody. Synoptyk mówi o „owczym zimnie”, znacznym ochłodzeniu po stryżeniu owiec w pierwszej połowie czerwca. Słuchając wyjaśnienia tej „meteorologicznej osobliwości”, przyglądam się uważniej warstwie jakby białego cukru pokrywającego kamienne płyty za oszklonymi drzwiami kuchni. „Śnieg” okazuje się nagromadzeniem krupiastych kuleczek wielkości żelków *jelly bean*. Jednak warstwa to warstwa, a według radiowych informacji podłoga w kuchni, na której siedzę, znajduje się na wysokości jedynie dwustu metrów poniżej granicy opadów śniegu z ostatniej nocy.

Im dłużej patrzę na biel, w której pierwsze ukośne promienie słońca rozpalają małe, skrzące się ogniki, tym większej nabieram pewności: tam na zewnątrz dzieje się MÓJ cud.

Bóg wejrzał w moje sny. I tak jak nie ujdzie Jego uwadze nawet czarna mróweczka łażąca po czarnym gładzie w najciemniejszą noc, tak zauważył również moją stratę. Skoro tylko mój drogocenny granulat klawiszy znikł w dzióbku JaśminyCelinyJustyny, rozkazał chórom niebieskim, by roztrzaskały swoje organy, ażeby esencja anielskiej muzyki przyprószyła ziemię. To, co straciłam, wróciło do mnie pomnożone tysiącokrotnie.

Zbliżam się do szyby, aż czubkiem nosa dotykam zimnego szkła i widzę odbicie oczu. Moje okienka w oknie. Ozdobione tęczęwką i źrenicą szklane gałki, w których prześwieca dusza, gdy dni są jasne.

W mojej głowie odbijają się echem głos brzuchatego dziekana i magiczne, wielokrotnie powtarzane wraz nim zdanie. Moje usta bezwiednie wyszeptują formułę pocieszenia: „...ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”.

Zastanawiam się, jakim On sprawił to słowem, że dzisiejszej nocy chmury spuściły z nieba białe jak bepanthen kuleczki... Ale w przypadku takich błahostek Bogu wszechmogącemu wystarczy zapewne kiwnąć palcem lub głową. Palcem wskazującym wodzę w powietrzu po konturach domów oraz wzgórz i przyswajam sobie biel, która kładzie się na mojej zranionej duszy jak balsam.

Ale chyba aż tak niewinna jak ta biel pokrywająca dachy to nie jestem... Dziewczyna w szybie wzrusza ramionami. No i co?

Cokolwiek uczyniłam, dziś w nocy Bóg sięgnął po korektor i to zamalował, wymazał, usunął.

Wbijam wzrok w topniejące już grudki lodowych kryształków i powtarzam słowa, w które muszę uwierzyć, które są moją modlitwą, mantrą, zaklęciem: „NIE JESTEM WINNA”.

Dowód mojej niewinności, widoczny znak, że dostałam wyrok uniewinniający, leży na ulicach, dachach, liściach i źdźbłach trawy. Dziewczyna w szybie poświadcza to skinieniem głowy.

Tak, to, co dzieje się na zewnątrz, nie może znaczyć nic innego.

W radiu narzeka kolejny słuchacz. Cichy, odległy szum opowiada o porannym prysznicu mojej mamy. Po drugiej stronie jeżynowego żywopłotu zapalają się pierwsze światła. Sąsiedzi budzą się ze snu. Dziesiątki ziewających postaci podchodzą do okien i przecierają oczy, ujrzawszy znak, który jest dla mnie. Tylko dla mnie.

Nasz nauczyciel matematyki dostał w weekend udaru mózgu, jesteśmy więc zwolnieni z ostatniej lekcji. Czas, który zwykle mamy z Egipcjaninem do odjazdu autobusu, wydłuża się nagle wielokrotnie, dlatego pozwalamy sobie na luksus, żeby pójść spacerkiem w kierunku śródmieścia.

Gruntowne przeszukanie wszystkich kieszeni spodni i kurtek tudzież plecaka oraz skórzanej teczki dało ten skutek, że zgromadzone przez nas drobniki wystarczą zarówno dla Egipcjanina na odbiór jego dawno już wywołanych zdjęć z obozu letniego, jak i na kawę w Il Cappuccino.

Jestem pełna podziwu dla umiejętności przyjaciela, który potrafi gromadzić fotograficzne świadectwa swoich przeżyć, gdyż mimo że sama mam od jakiegoś czasu aparat, to nigdy nie udaje się mi przebyć do końca tej pełnej przeszkód drogi do gotowych odbitek.

W ciągu minionego roku zaliczyłam całą serię fotograficznych wpadek – to zapomniałam włożyć film do aparatu, to schowałam gdzieś już wypstrykaną kliszę, to znów prześwietliłam niechcący błonę albo dałam sobie od razu spokój z robieniem zdjęć.

Umieram wprost z ciekawości, gdy koperta z rąk fototechnika przechodzi do rąk Egipcjanina.

To dla mnie nieustannie fascynujące przeżycie, kiedy porównuję własne impresje i zapamiętane obrazy ze śladami, które poszczególne sceny pod wpływem światła pozostawiły na zwyczajnie brązowej, podziurawionej taśmie.

Mojej fascynacji nie da się bynajmniej oddzielić od obiektu na zdjęciu, i tu muszę przyznać, że interesuję się przeważnie takimi fotografiami, na których widać mnie samą. To przedziwne uczucie, mały przestрах, który mnie ogarnia, gdy dostrzegam gdzieś swoją twarz, to niebywałe napięcie, które towarzyszy zmianie perspektywy, przeobrażeniu się widzenia w bycie widzianym... Wszystko to działa niekiedy na mnie z niemal hipnotyczną siłą. Zdumiewające, jak długo potrafię patrzeć w oczy obcej dziewczynie na zdjęciu, nie dowierając, że to ja.

Egipcjanina natomiast nie cechuje zbyt duża ciekawość. Gdybym znów nie nalegała, żeby zaraz otworzył kopertę, to byłby gotów czekać spokojnie z obejrzeniem fotek aż do popołudnia. Jak dobrze, że wychłęptałam już moją połowę filiżanki kawy, na którą jeszcze możemy sobie pozwolić, i dlatego mam teraz obie ręce wolne.

Po pierwszych czterech, pięciu zdjęciach krajobrazów zwiększam znacznie tempo przeglądania stosiku fotografii, przy czym moja nadzieja na ciekawy kadr kurczy się z każdym motywem nieba–gór–jeziora. Widocznie Egipcjanin wolał doświadczyć tego, co przytrafiło się nam, saksofoniście, wiolonczeliście i mnie, na własnej skórze, a nie obserwować to za pomocą jakiegoś trzeciego oka. Właściwie nie powinno mnie to irytować. W końcu nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek przy namiocie, na mostku czy na odkrytej pływalni błysnął flesz... Moje wypatrywanie oczu mogę sobie wytłumaczyć tylko w ten sposób, że chociaż tamta sytuacja zdawała się snem, to wierzyłam w światłoczułość błony fotograficznej, dzięki której mógł przecież zostać utrwalony przynajmniej ułamek tego, co się wtedy zdarzyło.

Teraz, gdy rumienię się po uszy, trzymając fotografię numer siedemnaście w rękach, zapominam błyskawicznie o szesnastu poprzednich rozczarowaniach. Barwna, błyszcząca odbitka w formacie 10 x 15 cm całkowicie usprawiedliwia moje podekscytowanie.

Zdjęcie numer siedemnaście

Ostatni wieczór, ostatnia noc. Poszliśmy w ślad za gwiazdami do jeziora, pływamy razem, nasze mokre, ciemne czupryny pomiędzy mrugającymi, jasnymi oczami. Od pomarańczowych plam światła, które jak oliwa kładą się na płycizny niedaleko hałaśliwego zachodniego brzegu, dzieli nas rozległa, cicha toń. Na naszej plaży trwa cisza nocna, wszystkie ogniki pogasły. Przytłumione lśnienie latarni wzdłuż drogi wiodącej do pola namiotowego nie dociera ani do pomostu, ani do wody.

Tuż obok mnie ramiona Wiolonczelisty młocą czerń. Odgarniają wodę na tyle blisko mnie, że staram się machać nogami ostrożnie i przezornie. Nie chcę go kopnąć.

Dopływamy do boi, przywieramy do kulistego plastiku, z jego czerwieni noc pozostawia skromne resztki. Moje dłonie między jego rękami. Miejsce naszego odpoczynku jest ciasne, chłodne i cudowne. To nic, że usta drżą z zimna. W drodze powrotnej do pomostu mam nadzieję, że Egipcjanin już śpi. Dziś nie ma miejsca dla trojga.

Wycieramy się do sucha. Gęsia skórka na całym ciele. Dygoczące ramiona. Mokre, oblepione piaskiem stopy na śliskich balach, które prowadzą aż do asfaltu, latarni i drogi do pola namiotowego.

Obok nas wynurzają się umywalnie. Jego ręka nagle chwyta za mój nadgarstek.

– Chodź, idziemy pod prysznic.

Męska kabina z natryskiem to wyłożony kafelkami sześcian o krawędziach długości dwóch metrów. Nie włączając światła, odkręcamy wszystkie kurki, zamieniamy się w cienie spowite parą, które przyciskają się do przeciwległych ścian, ja po prawej, a on po lewej. Przesuwamy się na ślepo od strumienia do strumienia wody, aż docieramy pod dwa prysznice tuż obok siebie, oddalone ledwie na wyciągnięcie ramion. Zatrzymuję się, ale on nie. Mój bark dotyka jego klatki piersiowej.

– Ten tu wydaje mi się najlepszy – stwierdza, wskazując ręką na pozostałe, „gorsze”. – Będziemy musieli się nim podzielić – uśmiecha się szelmowsko.

– Nie ma sprawy, przeżyję to jakoś – odpowiadam na luzie, choć rozpiera mnie witalność aż do granic szaleństwa, gdy czuję miłe ślizganie się skóry po skórze i delikatne muśnięcia naszych brzuchów.

Setki litrów wody później. Po raz kolejny wycieramy się do sucha.

Szorstki ręcznik frotté pod pomarszczonymi, rozmiękłymi opuszkami palców, ohydny w dotyku.

Potem cackam się z przebieraniem. Najpierw wkładam T-shirt i dopiero pod nim zdejmuję górę od bikini.

Wiolonczelista szpera w swojej płóciennej torbie i wydobywa z niej aparat fotograficzny Egipcjanina.

– Żeby zobaczyć, co przespał.

Cieszę się, że to, co przespał rzeczywiście i dzięki temu umożliwił, nie będzie widoczne na zdjęciu. Nie byłby zachwycony.

Chłopak wyciąga rękę z aparatem. Kładę głowę na jego ramieniu. Błysk flesza.

A więc to jednak nie był sen. Dowodem tego jest wyłożona kafelkami ściana umywalni za naszymi głowami.

Nie odpowiadam na pytania Egipcjanina o historię powstania fotografii i usiłuję skupić się na pozostałych odbitkach. Jednak zdradzają mnie rumieńce, które nie znikają z moich policzków. Krokodylozielone oczy lustrują mnie nieufnie z boku.

Najpóźniej w autobusie, gdy nie udaje mi się tonem luzackim poprosić o zdjęcie numer siedemnaście, Egipcjanin już wie, w czym rzecz. Nie wiadomo, co o tym myśli.

W dalszej drodze do domu sprawia wrażenie, jakby jego uczucia w tym względzie zmieniały się co minutę. To uśmiecha się szyderczo, to marszczy czoło, tak że między brwiami powstaje pionowa rysa; najpierw ramiona zwisają mu smętnie, a po chwili siedzi prosto jak świeca, zaciskając usta na znak stanowczości. Tylko jego oczy szukające w środku autobusu punktu oparcia, którym nie jestem ja, zachowują ten sam wyraz, co na widok mojej radości z podarowanego zdjęcia numer 17. Wyraz wodnistych oczu o tęczęwkach barwy jaśniejszej niż krokodyla zieleń – trawiastej i gorzkiej jak piołun.

70.

W niektóre wieczory ojciec odwiedza mnie na galerii, kiedy nie daje sobie rady z kluczowymi zagadnieniami matematyki i czuje, że sufit wali się mu na głowę, że musi wyrwać się ze swojego osamotnienia i opuścić gabinet. Wtedy siada w milczeniu na stopniach schodów, które wiodą z korytarza do miejsca, gdzie stoi pianino, i przysłuchuje się mojej grze. Lubię, kiedy zdejmuje okulary i swoimi krótkowzrocznymi oczami wpatruje się we mnie, zatopiony w sobie i w muzyce.

Rzadko pozwala sobie na przerwę dłuższą niż trzydzieści minut. Gdy ten czas mija, wkłada znów okulary. Jeśli potem chodzi po pokoju wte i wewte, z założonymi na plecach rękami, to wiem, że nabrał na nowo ducha i przez resztę nocy pograży się w pracy.

Zanim się pożegna, machając do mnie jakby z lekkim roztargnieniem, jeszcze przystaje zwykle przed korkową tablicą wiszącą po lewej stronie od pianina.

Zastanawiam się często, czy interesuje go jakiś określony szczegół czy raczej całość złożona z kartek, nut, pocztówek i fotografii. Nigdy go o to nie zapytałam. Zawsze wydawało mi się ważniejsze, że potrafimy razem tak pięknie milczeć, wtedy do głosu dochodzi tylko muzyka.

Tym bardziej jestem zaskoczona, gdy wyprostowany palec wskazujący skierowuje na zdjęcie numer siedemnaście, które dopiero od wczoraj wisi na tablicy, i pyta, kto to jest.

– Nasz wiolonczelista.

– Aha.

Wzrok mojego taty wędruje wte i wewte między fotografią a płomiennymi rumieńcami na moich policzkach.

– Aha, aha...

Rozbawiony, z uśmiechem kiwa głową na pożegnanie i opuszcza galerię. Tymczasem ja przeklinam szczerą malującą się na mojej twarzy i jego przenikliwość.

Kiedy następnego dnia przychodzę ze szkoły, znajduję stos książek na podłodze pod korkową tablicą. Odręczny liścik ojca zasłania pierwszy tytuł. „Może to ciekawa lektura dla ciebie. Pa, Twój tato”.

Nie mogąc wyjść ze zdumienia, że dobrowolnie i bez jakiegokolwiek przygany ojciec pozostawia mi górę swoich świętych książek, rozkładam przed sobą na dywanie prastare, zaczytane do szczytu wydania niczym karty do tarota.

Nazwiska Karol Marks czy Fryderyk Engels słyszałam już kiedyś. Nie mam pojęcia, kim są inni autorzy i co mogliby mieć ze mną wspólnego. Na dywanie leżą: *Kaleb Williams* Williama Godwina, *Zdobycie chleba* Piotra Aleksiejewicza Kropotkina, niemiecki przekład *Mémoires d'un révolutionnaire* Victora Serge'a, a także *Kapitał* Karola Marksa i *Manifest partii komunistycznej* w broszurowej oprawie.

Poza tym niemieckie tłumaczenie *Enquiry concerning Political Justice and its Influence on Modern Morals and Manners* Williama Godwina, skopiowany artykuł z nagłówkiem „Symbolika anarchistyczna”. Muszę przyznać, że dopiero widok czarnej flagi i wielkiego A wpisanego w okrąg pozwala mi zrozumieć głębszy sens tego szczególnego wyboru książek. Mimowolnie podnoszę oczy ku zdjęciu numer siedemnaście na tablicy.

Mokre, ciemne kosmyki opadają Wiolonczeliście na czoło. Na samej górze małżowiny lewego ucha małe, srebrzyste kólecčko lśni w świetle lampy błyskowej.

Moja głowa leży tuż nad rozdartym przy szyi czarnym T-shirtem, na którym widnieje niewiele większa niż pięciomarkówka, biała, wpisana w okrąg litera A.

Dzień, w którym moi rodzice po raz pierwszy beze mnie wyjeżdżają na weekend za granicę, to czwartek. W piątek rano ojciec ma wygłosić wykład na uniwersytecie w Warwick. Dotychczas te piątkowe odczyty były rzadkimi, dobrymi okazjami, żeby spędzić parę dni w rodzinnym gronie. Nie lada gratka, która skracala tydzień w szkole, pozwalała na wagary i przywożenie dziwnych pamiątek z podróży.

Tym razem wszystko będzie inaczej.

Gdy macham ręką w kierunku cieni rodziców na tylnym siedzeniu odjeżdżającej taksówki, uświadamiam sobie, że do niedzieli wieczorem mam cały dom dla siebie. Tylko dla siebie.

Myśl o trzydniowym samowładztwie, wolności zamiast lotu samolotem (Frankfurt–Birmingham), o odkrytym basenie zamiast zamku w Warwick (który zwiedziłam już trzy razy), marzenie o *fortissimo* zamiast *pianissimo* (zarówno na pianinie, jak i na talerzu gramofonu) oraz perspektywa rozmaitych niespodzianek napełniają mnie euforią.

Nachodzi mnie nieodparta chęć, żeby roztrąbić wszem wobec, że mam wolną chatę. Tym, co zataję przed wszystkimi (przed moją klasą), będzie cel, który wyznaczyłam sobie na ten weekend.

W rzeczywistości dwadzieścioro siedmioro klasowych koleżanek i kolegów odegra w moim planie jedynie rolę królików doświadczalnych, na których sprawdzę działanie różnych sformułowań, aby w końcu najładniejsze z nich zastosować wobec Wiolonczelisty.

Od czasu naszego nocnego wypadu nad jezioro i sceny pod prysznicem nic się między nami nie wydarzyło, pomijając wymianę kilku długich, mniej lub bardziej wymownych spojrzeń.

Zresztą co mogłoby się wydarzyć? Nie chodzimy do tej samej szkoły, widujemy się tylko dwa lub trzy razy w tygodniu na próbach orkiestry, w których uczestniczymy we troje – Egipcjanin chodzi za mną od niedawna jak cień – co udaremnia wszelkie formy zbliżenia, które wykraczałyby poza zwykłe flirtowanie.

Minęły już trzy tygodnie od obozu wakacyjnego, a moje obawy, że mógłby zapomnieć o naszym wspólnym przeżyciu, rosną z każdym dniem. Jednocześnie srodze niewystarczająco potrafię odpowiedzieć sobie na pytanie, czego tak naprawdę od niego chcę... „Związki” chłopaków i dziewczyn, które obserwuję w mojej klasie, wydają mi się bezdennie śmieszne, a chodzenie ze sobą za rączkę tygodniami po szkolnym podwórzu, aby przy pierwszej lepszej okazji rozstać się z powodu jakiejś błahostki, budzi we mnie opory.

Bycie połową takiej „parki” nie odpowiada ani temu, kim jestem, ani kim chcę być, bo przede wszystkim pragnę pozostać niezależna.

Tym bardziej niepokoi mnie, że pod wpływem intensywności doznań w jeziorze i pod prysznicem po prostu za burtę zostały wyrzucone moje rozterki, moja ostrożność i nieufność, jakby nigdy nie istniała JaśminaCelinaJustyna, jakby nigdy nie było jej próby samobójczej ani mojej zranionej ręki – wszystko razem to skutki nieobliczalnych gwałtownych uczuć.

Wiolonczelista wywołał falę, która z łatwością zburzyła twierdzę wzniesioną przeze mnie po to, by chronić moje czułe miejsca w sercu.

Przestraszył mnie.

Ten przestрах nie może niczego powstrzymać ani udaremnić, wręcz przeciwnie: strach i zdenerwowanie potęgują tylko podniecie.

Na koniec takich rozmyślań odpowiedź na początkowe pytanie przychodzi mi nagle łatwo. No powiedz, czego od niego chcesz? Chcę tego uczucia, jakie miałam pod prysznicem. Nic więcej.

73.

W piątek wieczorem przychodzi Egipcjanin. Rozwalamy się na ułożonym przeze mnie legowisku z materaców w salonie i ogłuszamy się hukiem z głośników nastawionego na cały regulator adapteru mojego ojca. To, jaka płyta ląduje na obrotowym talerzu odtwarzacza, jest mniej lub bardziej kwestią przypadku. Wybieramy po prostu tylko te albumy, których okładki nam się podobają. W ten sposób nasz wybór to w przeważającej mierze nagrania z końca lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, które na półce mojego taty mają odrębny dział zatytułowany „Rock psychodeliczny”.

Okolo północy skaczemy po kanałach prywatnych stacji telewizyjnych w poszukiwaniu erotycznych szmir i decydujemy się w końcu na film *Zemsta Laury Gil*. No cóż, tę zemstę wyobrażałam sobie bardziej interesująco. Pod koniec filmu zasypiam niespokojnym snem. Tymczasem telewizor migocze niewzruszenie dalej, a program nocny stacji RTL2 steruje moimi snami aż do białego rana.

Kiedy otwieram oczy, zegar magnetowidu pokazuje godzinę 7:01. Szara kiszka śpiwora nadziana egipskim farszem chrapie sobie w najlepsze.

Jestem zawiedziona. Obiecywałam sobie po tej pierwszej nocy wolności od moich starych czegoś więcej i teraz czuję, jak wzbierają we mnie pretensje do Egipcjanina, którego czynię odpowiedzialnym za nudę ostatnich godzin.

Czym jest ta kiszka, jeśli nie ucieleśnieniem nudy?! Miarowe odgłosy wdechów i wydechów dochodzące z wnętrza szarego worka działają mi na nerwy tak, że nie wytrzymuję ani sekundy dłużej na materacu. Muszę wstać.

Wściekła szukam pilota, podrywam koce i materace, wyładowuję frustrację na poduszkach leżących na kanapie, rozglądając się, którą z nich mogę zaraz potem przywalić z całej siły w oparcie i siedzenie.

Tymczasem ze śpiwora dobiegają jęki na znak sprzeciwu. Widocznie moje hałaśliwe zachowanie nie pozwala Egipcjaninowi

spać dalej.

– Cholerny śpioch – klnę pod nosem i postanawiam spędzić dzisiejszy wieczór zupełnie inaczej.

Jednak na widok błyszczącej zieleni pasty do zębów, takiego samego koloru trawy i bezchmurnego, jasnego nieba humor mi się poprawia. Udobruchana pogodą i świeżym smakiem mięty postanawiam zrobić śniadanie.

Cztery wyciśnięte pomarańcze, dwa jajka ugotowane na twardo i dwie grzanki, później ściągam „cholernego śpiocha” z postania.

O tak wczesnej porze nie jest on niestety w stanie podzielać mojego zachwyty cudownie równiutkimi plasterkami takiej samej grubości, w które krajalnica przemieniła kurze jaja...

Zapowiada się błękitny, gorący dzień. Dzień, kiedy nie będę robić nic innego, jak tylko łudzić się nadzieją na wieczór.

74.

Sobota, godzina 21:05, krótko po próbie orkiestry. Egipcjanin poszedł akurat do toalety.

Ostatnia szansa.

WIOLONCZELISTA Co robisz dziś wieczorem?

PIANISTKA Nic.

Przechyliła głowę na bok i uśmiecha się znacząco.

WIOLONCZELISTA A gdzie właściwie mieszkasz?

Stara się mówić możliwie rzeczowo, spokojnie.

Podaje mu ulicę o nazwie jakiegoś zwierzęcia oraz numer swojego domu, a na jego uwagę, że mieszka „na zadupiu”, przytakuje skinieniem głowy.

Z głębi korytarza nadchodzi Egipcjanin.

Pod wpływem nagłego impulsu zapomina o wszelkiej ostrożności, bo chce jak najlepiej wykorzystać jeszcze te kilka sekund we dwoje.

PIANISTKA A tak w ogóle, zdjęcie pod prysznicem wyszło całkiem niezłe.

WIOLONCZELISTA (szczerząc zęby) To mnie wcale nie dziwi.

Patrzę na siebie przez chwilę długości pauzy ćwierćnutowej.

PIANISTKA (lekko speszona) Mnie też nie.

75.

Wciąż jest jeszcze sobota, ale o dobrą godzinę później. Zapada na razie zmierzch, nie noc.

Ciepło unosi się nad rozgrzanym asfaltem. Termometry wskazują 22 stopnie na plusie.

Schodzę z chodnika i skręcam w nasze podwórze. Oparty o mur domu stoi rozklekotany rower męski marki Kirsch. Moje serce jest czerwoną pięścią, która wali jak bokser w żebra.

Od drzwi wejściowych dzieli mnie siedemnaście schodków.

Stoi we wnęce obok skrzynki na listy. Gdy odrywa się od ściany i wychodzi mi naprzeciw, ogarnia mnie uczucie, o którym nie wiem, czy to radość, czy panika.

Co teraz? To w końcu rzecz jasna i niewarta wzmianki, że rowerem jedzie się do wsi szybciej niż autobusem...

Otwieram drzwi i oprowadzam go po naszym domu, zostawiając piętro z galerią, pianinem i atutem – zdjęciem numer siedemnaście – świadomie na deser. Ostatecznie jednak nie fotografia, lecz kolekcja płyt mojego ojca wybawia nas z kłopotliwego milczenia.

Wiolonczelista zna najwyraźniej sporo albumów i nie musi dokonywać wyboru na podstawie okładek. Tym bardziej cieszę się, że pierwszej płyty, którą nastawia, słuchałam już ze sto razy. To *Rocket to Russia* zespołu Ramones. Kiedy leci „Cretin Hop”, zastanawiam się przez chwilę, czy mu opowiedzieć o mojej dawnej fascynacji Wernherem von Braunem. Ale nie.

Powinam zaproponować wreszcie coś do picia... Tylko co?

Nie namyślając się długo, proszę Wiolonczelistę, żeby poszedł ze mną do piwnicy i sam sprawdził zawartość półek i skrzynek.

Obowiązkowo musi być piwo, ale jego poszukiwania spelzają na niczym.

Buszujemy więc dalej po piwnicy, studiujemy etykiety i roczniki, pokazujemy sobie butelki wina i głośno myślimy, którą z nich dałoby się niepostrzeżenie buchnąć.

Po dłuższej chwili Wiolonczelista wyszukuje pod świetlikiem brzęczący czymś karton, który zawiera, jak się okazuje, szampana.

– Dwie butelki na dwie głowy?

Przytakuję skinieniem głowy.

Nasz wybór pada na Champagne Pommery Cuvée Louise
i Champagne Barons de Rothschild Brut.

76.

Minuta zostaje do niedzieli. Na talerzu obraca się płyta *Desintegration* zespołu The Cure.

Siedzimy po turecku na dywanie w salonie. Świeczka wetknięta w szyjkę pustej butelki po Louise Pommery jest jedynym źródłem światła. W oczach Wiolonczelisty tli się odblask płomienia. Lekka jak piórko opadam w migotliwą czern jego źrenic jak w studnię. Nie potrzeba słów, wystarczy nam smutny śpiew Roberta Smitha.

Niedziela.

Pierwsze krople wosku plamią dywan. Nagle bierze mnie przemożna tęsknota za świeżym powietrzem i ruchem, za tym, by poczuć swoje ciało, wziąć je w posiadanie, zrobić użytek z tego, co się w tym patrzeniu rozplywa, roztopia i znika. Ślinię palce i chwytam płomyk, który z sykiem wydaje ostatnie tchnienie.

Tym razem to ja łapię go za nadgarstek:

– Chodź, wyjdziemy...

Pewnie prowadzę nas oboje przez noc prosto do celu – do kloca, którego ciepła, kamienna powierzchnia przypomina o upale poprzedniego dnia. Trawa i chaszcze rosną i plenią się tu jak szalone od zawsze. Działki tej jeszcze długo nikt nie kupi.

Wiolonczelista otwiera Barona.

Gadamy o wszystkim i o niczym, śmiejemy się z byle czego, a nad naszymi głowami perlą się niczym bąbelki szampana i unoszą ku niebu dymki naszych słów.

Opowiada mi, że jest chłopakiem z miasta. Pokazuję mu więc moje pola.

Trawa porastająca górkę do zjeżdżania na sankach sięga mi do ud. U naszych stóp falują jasne i srebrzyste łany pszenicy. Pachnie ziemią.

Z rozłożonymi szeroko ramionami upadam do przodu i turlam się po zielonym wzniesieniu. Raz góra, raz dół, i tak na przemian, póki nie zatrzymam się na równym terenie. Wszystko się kręci. Ze środka wirującej ziemi i trawy wyłania się twarz Wiolonczelisty.

Lśniący biały kulka ruletki, którą jest księżyc, wraca na swoje miejsce. Spędzamy noc wśród łąk.

Ptaki zaczynają ćwierkać i świergotać wcześniej, niż można było się spodziewać.

Na wschodzie ciemność znika. Za kulisami widnokręgu słońce już czeka na swój występ. Wkrótce jest tak jasno, że nawet plamy z trawy na moich kolanach zaczynają lśnić. Stoimy na podwórzu.

Odgarnia mi włosy z czoła i przywiera swoimi ustami do moich. Zamykam oczy i poddaję się myślom o jagodach za naszym domem, o czerwieni truskawek i miękkości malin, a także o tym, że czasem robi mi się czarno przed oczami i pojawiają się mroczki, gdy po zebraniu plonów zbyt szybko się wyprostowuję – tak, właśnie tak smakuje Wiolonczelista.

Idę, chwiejąc się, po kamiennych płytach, które uginają się pod moimi stopami jak ziemia w ogrodzie.

Gdy dotyk się kończy, otwieram oczy.

Widzę płyty, szare i twarde jak zawsze. Kolana mam jednak wciąż jak z waty.

Kiedy pcha rower w kierunku chodnika, po przeciwnej stronie ulicy podnosi się żaluzja. Drugi pocałunek zasłania mi widok. Ale potem on ma jechać, a ja mu machać.

W oknie za latarnią rusza się cień.

Odwracam się.

Tłumaczka dziękuje funduszowi Deutscher Übersetzerfonds za stypendium twórcze oraz fundacji Kunststiftung NRW za stypendium na pobyt w Europejskim Kolegium Tłumaczy w Straelen.

NOWY EUROPEJSKI KANON LITERACKI

HAŁYNA KRUK *Ktokolwiek, tylko nie ja*

(przekład Bohdan Zadura)

MAREK VADAS *Ucieczka*

(przekład Weronika Gogola)

NAJAT EL HACHMI *Ostatni patriarcha*

(przekład Anna Sawicka)

ALEŠ ŠTEGER *Księga rzeczy*

(przekład Miłosz Biedrzycki)

CLAUDIU KOMARTIN *kobalt*

(przekład Jakub Kornhauser)

MAJA URBAN *Statua wolności*

(Miłosz Waligórski)

BÉRENGÈRE COURNUT *Z kamienia i kości*

(Hanna Igalson-Tygielska)

FRÍDA ÍSBERG *Świerzb*

(Jacek Godek)

MARIA NAVARRO SKARANGER *Emily forever*

(Karolina Drozdowska)

BENEDEK TOTTH SKARANGER *Trupi bieg*

(Elżbieta Sobolewska)

JAN ŠKROB *Real*

(Zofia Bałdyga)

RADMILA PETROVIĆ *Moja mama wie, co się wyprawia w miastach*

(Aleksandra Wojtaszek)

MATTEO BUSSOLA *Viola i Niebieski*
(Katarzyna Skórska)

CHARLOTTE VAN DEN BROECK *Rozcierki z ziemi*
(Olga Niziołek)

RUMENA BUŽAROVSKA *Mój pan mąż*
(Dorota Jovanka Ćirlić)

IEVA TOLEIKYTĖ *Czerwony śliski pałac*
(Dominika Jagiełka)

LISA KRÄNZLER *Poniewczasie*
(Dorota Stroińska)

Spis treści

CZEŚĆ I

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.
- 6.
- 7.
- 8.
- 9.
- 10.
- 11.
- 12.
- 13.
- 14.
- 15.
- 16.
- 17.
- 18.
- 19.
- 20.

CZEŚĆ II

- 21.
- 22.
- 23.
- 24.
- 25.
- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.

- [31.](#)
- [32.](#)
- [33.](#)
- [34.](#)
- [35.](#)
- [36.](#)
- [37.](#)
- [38.](#)
- [39.](#)
- [40.](#)
- [41.](#)
- [42.](#)
- [43.](#)

CZĘŚĆ III

- [44.](#)
- [45.](#)
- [46.](#)
- [47.](#)
- [48.](#)
- [49.](#)
- [50.](#)
- [51.](#)
- [52.](#)
- [53.](#)
- [54.](#)
- [55.](#)
- [56.](#)
- [57.](#)
- [58.](#)
- [59.](#)
- [60.](#)
- [61.](#)
- [62.](#)
- [63.](#)
- [64.](#)
- [65.](#)
- [66.](#)
- [67.](#)

68.

69.

70.

71.

72.

73.

74.

75.

76.

Od tłumaczki

Nowy europejski kanon literacki

Karta redakcyjna

NOWY EUROPEJSKI KANON LITERACKI 17

LISA KRÄNZLER: *Poniewczasie*

PPRZEKŁAD Z JĘZYKA NIEMIECKIEGO • Dorota Stroińska

REDAKCJA • Magdalena Kurkowska

REDAKCJA I KOREKTA • Joanna Mueller

ILUSTRACJA NA OKŁADCE • Gosia Herba

PROJEKT LAYOUTU OKŁADKI • Mikołaj Pasiński

PROJEKT TYPOGRAFICZNY ŚRODKA KSIĄŻKI • Artur Burszta

Copyright © by Lisa Kränzler 2013

Copyright © by Verbrecher Verlag, Berlin, 2013

Copyright © by Dorota Stroińska, 2024

Copyright © by Gosia Herba, 2024

Copyright © by Biuro Literackie, 2024

BIURO LITERACKIE

poczta@biuroliterackie.pl

www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-67706-73-5



Zrealizowano dzięki wsparciu finansowemu Goethe-Institut



Kreatywna
Europa
Kultura

Ten projekt został zrealizowany przy wsparciu finansowym Komisji Europejskiej. Projekt lub publikacja odzwierciedlają jedynie stanowisko ich autorki i Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za umieszczoną w nich zawartość merytoryczną.



KOŁOBRZEG
Wydanie książki wsparło Miasto Kolobrzeg

KONWERSJA: [eLitera s.c.](#)